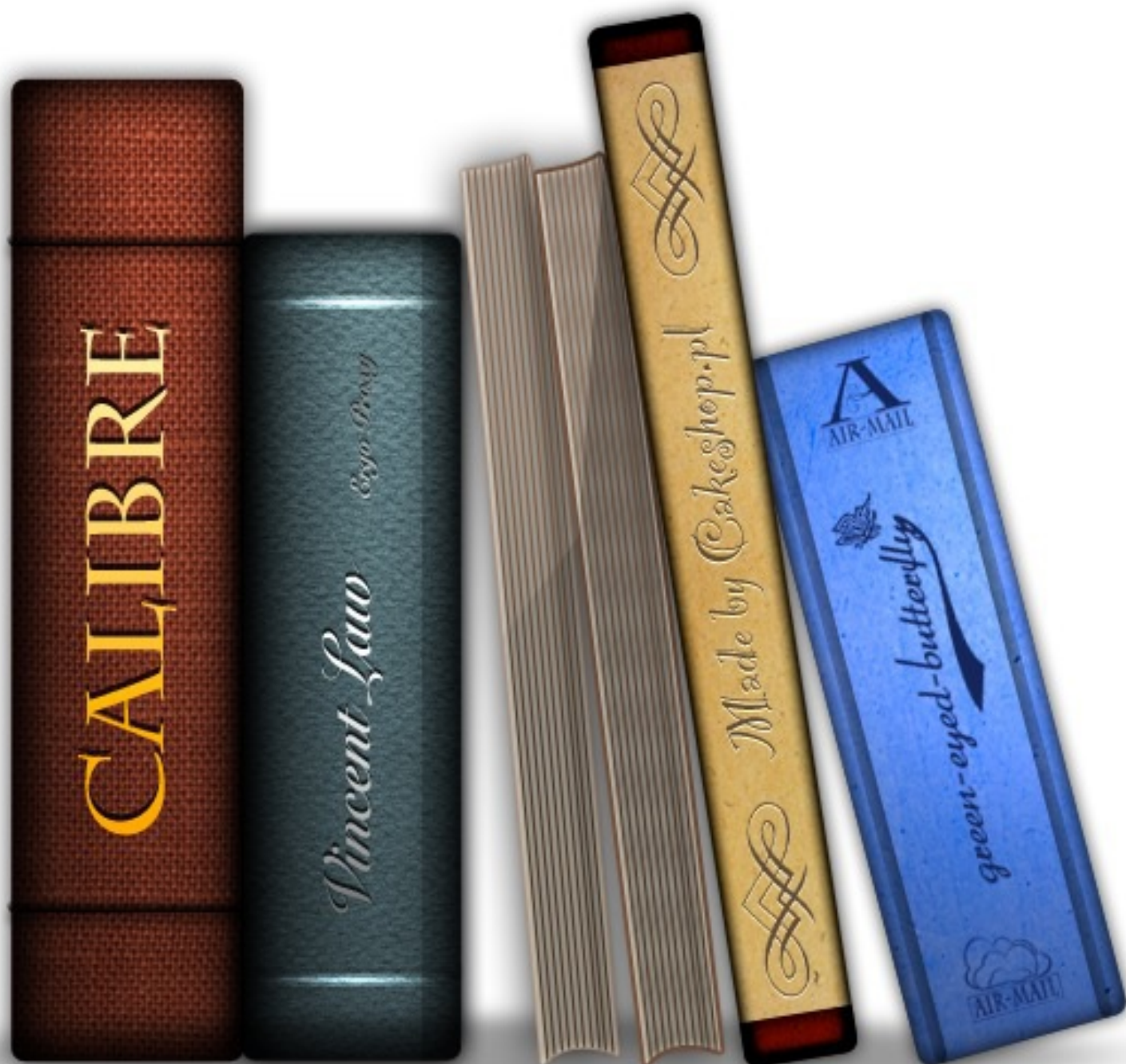


# Dziennik Czasu Plagi

ZIEMIANSKI ANDRZEJ



calibre 0.7.27

**"Dziennik czasu plagi"**

**Dziennik Czasu Plagi**

Ciężkie, kanciaste bryły budynków z czerwonej niegdyś cegły były coraz mniej widoczne na tle ciemniejącego nieba. Śnieg z deszczem przestał już padać, ale jego topniejące powoli połacie w dalszym ciągu pokrywały znaczną część oczyszczonego przez niemrawych dozorców placu przed uczelnią. Gdzieś tam tylko zasilane dopływem z rynien strumyczki czarnej wody żłobiły kręte ścieżki w brudnej pokrywie, odsłaniając czasem niewielkie skrawki granitowych płyt.

Ramsay odwrócił się od okna.

–No i co pan tam stworzył? – podszedł do siedzącego przy jego biurku studenta.

Młody chłopak sprężył się nagle. Jego twarz przybladła lekko, a szybkie ruchy palców najprawdopodobniej były efektem nagłego potnięcia dłoni. Pewne ośrodki w mózgu zasygnalizowały niebezpieczeństwo i wiedziony instynktem organizm zareagował odpowiednio. Adrenalina szalała we krwi, która odpłynęła z głowy, mięśnie napięły się powodując drżenie rąk. Ciało studenta było gotowe do walki. Do walki za pomocą pięści, zębów lub pazurów. On sam jednak zdawał się nie wiedzieć, co ma robić. Ramsay zabrał do połowy zapisaną kartkę. Zawsze zastanawiała go ta atawistyczna reakcja i to, że zinstytucjonalizowane w jego osobie niebezpieczeństwo za każdym razem było interpretowane w ten sam sposób. Szybko przebiegł wzrokiem wypełnione koślawym pismem linijki.

–Nie wygląda to na dwutomową encyklopedię – przysiadł na rogu biurka. – Nie zamierzam pana zabijać – dodał widząc jego strach – a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Tamten uniósł głowę. Widać było, że gorączkowo szuka możliwości zmiany tematu rozmowy. To również należało do rytuału. Każdy z nich sądził, że im dłużej wysiedzi w gabinecie, tym większą ma szansę.

–Przepraszam – wskazał leżący na przykrytym szybą blacie wycinek z jakiejś gazety. – Co to za fotografia? Ramsay uśmiechnął się, biorąc zdjęcie do ręki.

–Przedstawia ślub Arthura Millera i Marylin Monroe – schował wycinek do szuflady. Przez chwilę zastanawiał się, czy tamten wie, kto to jest Arthur Miller.

–Przepraszam – student na moment zagryzł wargę. A kto to jest Marylin Monroe?

Ramsay wcale nie wzdychał – powietrze uszło z niego samo.

–Od tej chwili będzie się z panem męczył kolega wskazał na sąsiednie biurko. – Ja wyjeżdżam.

–W środku semestru?

–Zdarza się i tak.

Ramsay, nie czekając aż chłopak zdąży się zebrać, chwycił swoją kurtkę i zostawiając otwarte drzwi wyszedł na korytarz. Po raz pierwszy od momentu otrzymania odpowiedzi na swoje podanie czuł zadowolenie, że opuszcza te mury. Kumulujące się od wielu tygodni zmęczenie i wszyscy wokół nie interesujący się niczym ludzie, powoli wpędzający go w rutynę, to wszystko sprawiało, że miał ochotę choć na chwilę opuścić, wydawałoby się, utarte już koleiny swojego życia. Na razie jednak mijający dzień pozwolił mu poznać wszystkie złe strony obecnego statusu. Rano lawina formalności związanych z wyjazdem, zamiast lunchu przekazywanie grup swoim kolegom, a potem jeszcze poprawki kolokwiiów...

Przywołał windę, ale kiedy kabina dotarła wreszcie na jego piętro, przypomniał sobie, że musi jeszcze wpaść do szefa. Zniecierpliwionym kolejnym przystankiem pasażerom odpowiedział równie złym spojrzeniem jak te, którymi oni zmierzli jego, i cofnął się dając do zrozumienia, że nie zamierza powiększać tłoku. Zanim zamknęły się drzwi, widział jeszcze, jak wściekłość w ich oczach zamienia się w zdumienie. Idąc korytarzem w stronę sali konferencyjnej wyobrażał sobie, jak mknących w dół pracowników opuszcza szok. Pewnie świętowano tam teraz zwycięstwo. Teren windy został obroniony przed agresorem.

Niewielkie, niezbyt pasujące do swej funkcji pomieszczenie, pełniące rolę pokoju zebrania, było wypełnione dymem wielu papierosów. Wszystkie wolne powierzchnie zajmowały porzucane niedbale kubki z sokami i herbatą, porzucone skoroszyty, pliki dyskietek i raportów, wypełnionych odręcznym pismem formularzy i luźnych kartek. Zdawało się, że wszystko to przygotowano dla co najmniej legionu naukowców. W rzeczywistości siedziało tam zaledwie kilkanaście osób. Aldworth, górując nad wszystkimi z wysokości swojej katedry, sprawiał wrażenie mistrza dworskiej ceremonii. Raczyl jednak zauważyć otwarte drzwi i stojącego w nich człowieka.

–Witamy naszego pogromcę smoków – potrafił samą intonacją głosu sprawić, że cichły wszystkie rozmowy. – Mam nadzieję, że nie zrezygnował pan w ostatniej chwili.

Ramsay uśmiechnął się z wytrenowaną nieśmiałością. Zawsze w instytucie grał rolę łagodnego idioty, co oszczędzało mu nadmiaru nikomu niepotrzebnej pracy, powierzanej przez kierownictwo zaufanym osobom.

–Potrzebuję pańskiego podpisu – wyjął z kieszeni pomięty formularz. – Magazynier nie uznaje żadnego autorytetu poza pańskim – rozgrzeszył się w myślach z niepotrzebnego pochlebstwa.

Aldworth podniósł pióro, biorąc do ręki wypełnioną gęstym drukiem stronę. Tu też obowiązywały rytuały. Zgodnie z nimi musiał przebiec wzrokiem każdą linijkę.

Ramsay słyszał, jak tuż za nim otwierają się drzwi. Odwrócił głowę krzywiąc się na widok Kay, dziewczyny zatrudnionej na innym wydziale, którą znał skądś przelotnie.

Kay przeprosiła uśmiechem obecnych, tuląc do siebie opatulone jak kukła niemowlę.

–Słuchaj Warren – jej sceniczny szept na pewno słycać było w najdalszym kącie sali. – Mogę u ciebie zostawić dziecko? Tylko na pół godziny, muszę...

–Właśnie wyjeżdżam – przerwał jej brutalnie, zastanawiając się jednocześnie, który z kolegów da się wrobić w to zadanie.

Kay jednak nie zamierzała walczyć.

–Nie masz żadnych wujków, mały – powiedziała do dziecka zamykając drzwi.

–No, no, ma pan ładnego dzieciaka – Aldworth złożył wreszcie swój zamaszty podpis.

–Ależ... To w ogóle nie jest moja żona.

–Przecież nic nie mówię – dyrektor podał mu złożony na nowo formularz. – W końcu to ostatnia dekada dwudziestego wieku. Nie ma się czego wstydzić.

–Ale to dziecko... Ja nawet nie wiem, czy to chłopak, czy dziewczynka...

Aldworth spojrział na niego z wyrzutem.

–No, trochę pan przesadził. Jednak wypada znać chociaż płć własnego dziecka.

Ramsay wściekły, odprowadzany chichotem prawie połowy sali, wycofywał się na korytarz, gdzie dogonił go jeszcze głos dyrektora.

–Chciałbym jednak, żeby mimo wszystko pan wrócił – w jaśniejszym prostokącie wejścia widać było jego nagle spoważniałą twarz. – Życzę powodzenia.

Ramsay skinął głową domykając drzwi. Skrzywiony, rezygnując z próby wciśnięcia się do przepelnionych wind, powlókł się w stronę schodów. Pozostało mu już tylko pobranie sprzętu. Transportem oraz załatwieniem wszystkich pozostałych dokumentów, dokumentów i jeszcze raz dokumentów, miał zająć się Cadish. Nie, nie nachodziły go żadne głupie myśli o schyłku Cesarstwa Rzymskiego. Właściwie powinien być dumny, że w ich sprawie zużyto kilka ton papieru, a przepływające z jednych do drugich terminali zbiory milionów bitów informacji są sygnowane jego nazwiskiem.

Na dole jakby prawem kontrastu, w przeciwieństwie do wrzących pośpieszną ucieczką z pracy górnych pięter, panował prawie idealny spokój. Pracującym tu ludziom wizja weekendu nie mąciła rutyny wyznaczonej grafikami dyżurów. Niewielki, boczny hall, z którym łączyły się klatki schodowe, zawierał dwa rzędy stojących pod ścianami ławek, ozdobionych ciętymi ręcznie boazeriami, i absolutnie nie pasujący do utrzymanego w wiktoriańskim stylu wnętrza mały bufet z drzemającym jak zwykle sprzedawcą. Zauważył tylko jeden odmienny szczegół od zapamiętanego z okazji rzadkich tu wizyt obrazu. Wysoka, atrakcyjnie ubrana kobieta, czytająca coś na jednej z informacyjnych tablic. Jej kształty, a konkretnie jej nogi widoczne spod krótkiego, raczej wiosennego niż zimowego płaszcza, a także to, że była odwrócona, sprawiło, iż Ramsay wlepił w nią wzrok bez żadnej żenady. Specyficzny instykt, dzięki któremu mężczyźni obserwujący kobiety mogą, nie patrząc pod nogi, chodzić boso między odłamkami szkła bez najmniejszego zadraśnięcia stopy, doprowadził go do szerokiej lady. Z rozpędu o mało nie sforsował zagrodzonego przepierzeniem przejścia na zaplecze, przerywając drzemkę starszemu sprzedawcy. Korzystając z jego chwilowej przytomności, zamówił kawę i dopiero teraz odwrócił wzrok.

–Proszę – kubek z parującym płynem wylądował tuż przed nim. – Ta pani... – sprzedawca zrobił coś, co mogło uchodzić za porozumiewawczy wyraz twarzy czeka właśnie na pana. Uśmiechnął się z tą przedziwną mieszaniną wyższości i czegoś w rodzaju taniego sprytu, jaki charakteryzuje ludzi niezbyt inteligentnych.

–Na mnie? – Ramsay rzucił drobne i znowu spojrział w bok. Kobieta istotnie szła w jego stronę. Rozbudzona chwilowo nadzieja trochę przygasła. Ładna, nawet więcej niż ładna, sympatyczna twarz nie była mu znana. Ponieważ piękne nieznanome kobiety z reguły nie czekają na obcych mężczyzn, żeby dać się zaprosić do domu, bezpieczniej było przyjąć, że zaszła pomyłka. Nieznajoma jednak zatrzymała się tuż przed nim.

–Pan Warren Ramsay?

Nadzieja nie chciała się obudzić ponownie. Interesy? Skąd wiedziała, że będę wychodził właśnie tędy? Skinął głową.

–Chciałam przekazać panu pozdrowienia od przyjaciela w podróży – jej uśmiech był równie sympatyczny jak cała reszta. W ogóle słowo "sympatyczna" w związku z nią bez przerwy cisnęło się na usta.

–Jacqueline Settgest – przedstawiła się, zabawnie przekrzywiając głowę na bok.

–Skąd pani wiedziała, że będę wychodził właśnie tędy? – to pytanie wyrwało mu się prawie z bólem. Wszystko w niej było tajemnicze, a jednak w dziwny sposób budziła zaufanie. Wydawało się nietaktem zadawanie takich pytań.

–Pójdzie pan ze mną? – wyminęła odpowiedź. Terrorystka? Boże... Umysł Ramsaya pod wpływem wszechogarniającej impregnacji doniesieniami o ciągłych porwaniach, bombach, granatach, czających się w każdej dziurze snajperach, przypominał już umysłowość obłąkanego. Dopiero po dłuższej chwili rozsądek przypomniał mu, że jest nic nie znaczącym wykładowcą i upatrzenie właśnie jego jako specjalnej ofiary świadczyłoby o znacznym niedorozwoju planowania u terrorystów.

–Czy my się znamy?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

–Pójdzie pan ze mną? – powtórzyła pytanie.

Ramsay jak urzeczony odstawił nietkniętą kawę i ruszył za nią.

–O jakiego z moich przyjaciół pani chodzi?

Kolejny uśmiech, tym razem łobuzerski i przepraszający zarazem. Jak u kilkunastoletniej dziewczyny.

–Nie chciałam, żeby powstały plotki – kiwnęła głową w stronę odprowadzającego ich wzrokiem sprzedawcy. –

Ktoś chce panu zaproponować spotkanie.

Ramsay wzruszył ramionami. "Uniknąć plotek"... Dlaczego w takim razie nie czekała na niego na ulicy? Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. O nadanie odpowiedniej rangi? Zainteresowanie go? Jeśli tak, to dziewczyna dobrze spełniła swoje zadanie. Był cholernie ciekawy, kogo przyjdzie mu ujrzeć.

Pani lub panna Settgast wyprowadziła go na niewielki, usytuowany tuż za budynkiem gospodarczym, parking. Stał na nim tylko jeden samochód. Nie żadna limuzyna, jak można było oczekiwać, ale dość duży europejski sedan, kuszący dyskretną elegancją. Jacqueline otworzyła mu tylne drzwi, a sama zajęła miejsce za kierownicą. Ramsay usiał obok niewysokiego, sądząc po tym, jak tonął w lotniczym fotelu, mężczyzny.

–Velpeau Pastier – wyciągnięta w kierunku gościa ręka zawisa nieruchomo w powietrzu. Ramsay uznał, że należy mu się jakieś zadośćuczynienie.

–Proszę wybaczyć formę zaproszenia – tamten cofnął rękę dopiero wtedy, kiedy samochód ruszył z cichym odgłosem rozchlapujących topniejącego śnieg opon.

Niepotrzebna demonstracja – Ramsay obserwował Pastiera spod oka. O ile można było ocenić, tamten był w tym samym wieku co i on. A więc również należał do pokolenia lat sześćdziesiątych. Nie, nie tego sławnego, które zrodziło hippisów i pop art. Mianem pokolenia Ramsay określał ludzi, którzy urodzili się w latach sześćdziesiątych. Wszystkie istotne dla kultury ruchy skończyły się, kiedy byli jeszcze dziećmi. Za młodu obudzono w nich wielkie nadzieje, które później ugrzęzły w kolejnych, eskalujących kryzysach. Wszelkie idee, fermenty, które tak poruszały starszych kolegów rozprysły się, zamiast nich nie pojawiły się nowe. Dawne ruchy karłały na ich oczach, ludziesprężyny poruszający masy dogorywali o kilka lat, o rok wcześniej; zanim mogli się do nich przyłączyć. Było to jedyne naprawdę stracone pokolenie. Nie przeżyło co prawda żadnej wojny, żadnego głodu, ale nie przeżyło też żadnej rewolucji, nie doświadczyło żadnej wielkiej, uniwersalnej idei.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się do Pastiera.

–Mógłbym się chociaż dowiedzieć, gdzie jedziemy?

–Musi się pan przecież dostać do magazynów – tamten podchwycił uśmiech. – Podwieziemy pana. A ja chciałbym przy okazji trochę porozmawiać.

Wszystkie elementy łamigłówki zaczęły się powoli układać w głowie Ramsaya.

–A więc jest pan pracownikiem wywiadu – z westchnieniem ulgi opadł na miękkie poduszki. O Boże, nareszcie...

Pastier dał się złapać. Zrobił dość głupią minę.

–Słucham?

–Mówiłem, że nareszcie zainteresowałam się mną wywiad.

Wyraz zaskoczenia nie pozwalał zastygłym rysom przyjąć normalnego wyglądu.

–Nie rozumiem.

–Och, tyle się mówiło, że pewne służby sporządzają listy wykładowców, inwigilują, przesłuchują... Mnie to nie dotyczyło i fakt, że FBI uznało mnie za godnego zaufania, zaczynał mi już grozić towarzyską infamią.

Pastier przyjął żart lekkim skrzywieniem warg.

–Nie jestem pracownikiem wywiadu – podkreślił ostatnie dwa słowa. – Gdybym nim był, nie zwracałbym się do pana o pomoc.

–Mmmm... – widok mijanych ociekających wodą elewacji wprawiał go w nastrój nie skłaniający do żartów i miał już na końcu języka jakąś cierpką uwagę, ale tamten nie dał mu czasu.

–Dowiedziałem się, że otrzymał pan pozwolenie na wyjazd do Strefy.

–I tam mam panu pomóc?

–Tam zaginął nasz...

–Funkcjonariusz? – wpadł mu w słowo Ramsay.

–Kolega – zachnął się Pastier. – Tylko kolega.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, przez chwilę przyglądał się jej zamyślony, a potem jakby nie mogąc się zdecydować schował ją do kieszeni.

–Istnieje wiele instytucji, które zajmują się zbieraniem czy przetwarzaniem informacji – podjął po chwili. – Nie wszystkie dysponują własnym aparatem śledczym. Nie jest tu potrzebne.

–Rozumiem, że pana służba – Ramsay zauważył lekkie skrzywienie twarzy na dźwięk słowa służba – nie dysponuje własnymi agentami.

–Nie. A jednak posłaliśmy do Strefy kogoś. Pewne sprawy... – zawahał się – utrudniają nam zwrócenie się z tym problemem do odpowiedniej instytucji, które mają pieczę nad Strefą. Nie mamy też dobrego kontaktu z Armią –

Pastier spojrział w bok marszcząc czoło. – Jak pan widzi, jestem zupełnie szczery.

–Czy wszystkich udających się w tamtym kierunku prosi pan...

–Wszystkich? A wie pan, ile osób dostało pozwolenie na dotarcie do Strefy w ostatnim kwartale? – Pastier na moment pochylił głowę, ukazując pasma rzadniejących włosów. – Owszem, prosiłem jeszcze kogoś uśmiechnął się nagle. – Najlepszy dowód, że nie pracuję w wywiadzie. Nie musiałbym wtedy nikogo o nic prosić.

Ramsay zastanawiał się, czemu mają służyć te wybiegi. Nie przychodziło mu do głowy żadne realne rozwiązanie. W to, że poplecznicy człowieka, który wiozł go teraz po zaśnieżonych ulicach, rzeczywiście mają związane ręce, jakoś nie mógł uwierzyć. Czyżby sprawa była aż tak delikatna?

–Czy chce pan, żebym go znalazł?

–Nie. Nie mam zamiaru werbować pana do czegokolwiek. – głos Pastiera nagle spoważniał. – Chciałbym tylko, żeby dał mi pan znać, jeśli przypadkiem pan go spotka – szare oczy były ledwie widoczne spod przymkniętych powiek. – Nie chcę, żeby pan go szukał, żeby przekazywał pan mu cokolwiek, może pan nawet nic mu nie mówić o naszej rozmowie... Jeśli oczywiście spotka pan go przypadkiem – paczka papierosów znowu pojawiła się w wypielęgowanej dłoni i zaraz znikła na powrót. Ten kraj pękał w szwach od nadmiaru byłych nałogowców. – Po prostu proszę mi dać znać – wyjął z kieszeni elegancką wizytówkę, na której poza nazwiskiem widniał tylko numer telefonu. – Będę zobowiązany za każdą wiadomość – położył kartonik na kolanie Ramsaya. – Tylko proszę mnie dobrze zrozumieć: nie chcę, żeby pan się pakował w cokolwiek, nie chcę nawet, żeby pan mu pomagał, chodzi mi tylko o wiadomość – podkreślił.

–Mówi pan tak, jakbym się już zgodził – Ramsay nie mógł nie wetknąć szpilki.

Tamten skinął głową.

–Mogę panu bardzo pomóc po powrocie, że zaproponuję ordynarne przekupstwo. Tym razem uśmiechnął się Ramsay.

–Zwykle po takim zdaniu pada i następne: ale mogę i zaszkodzić.

–Nie bądźmy dziećmi – Pastier pochylił się do przodu. – Zatrzymaj się tutaj – a kiedy Jacqueline zgrabnie zaparkowała samochód przy wylocie jakiejś bocznej uliczki, dodał: – Pospacerujemy trochę?

Wysiedli na nie odmieciony chodnik. Ramsay włożył trzymaną dotąd w rękę kurtkę. Zauważył, że nieprzyjemnie kontrastuje z eleganckim płaszczem tamtego. Ruszyli w głąb uliczki wchodzącej na portowe nabrzeża.

–Dam panu dowód mojej dobrej woli – Pastier mówił teraz powoli, jakby ważył każde słowo. – Podam panu nazwisko człowieka, który sprawił, że cały Meksyk, że spore połacie Stanów są wyjęte spod kontroli rządów – głos Pastiera regularnie przybierał na sile. – Powiem panu, jak nazywa się człowiek, za którego głosem poszły miliony ludzi, który rozpętał nie znaną w dziejach falę terroryzmu i sprawił, że część naszego własnego terytorium trzeba było otoczyć nieprzenikalną strefą bezpieczeństwa.

Trzeba przyznać, że umiał sprzedawać swoje wiadomości z odpowiednim efektem.

–A jeśli powie mi pan, że on nazywa się John Smith, to jak będę mógł to sprawdzić? – spytał Ramsay.

–Nie jestem aż tak głupi – skrzywienie warg odsłoniło nieskazitelne zęby.

–Wiem, że wymyślił pan coś lepszego. Na przykład: Mahabharatha Eisensteiersein.

–Pan jest niepoprawny. Musi mi pan uwierzyć na słowo.

Ramsay bawił się coraz lepiej.

–Więc rząd ustalił już jego nazwisko...

–Tak. Ujawnią je niedługo. Nawet jeśli podjęte przeciwko niemu działania zakończą się fiaskiem... znowu przerwał na chwilę. – Pan będzie po prostu pierwszy.

–I mogę się dowiedzieć o tak sobie?

–Szczерze mówiąc to rzecz bez większego znaczenia – przystanęli pod witryną małego sklepu. – Człowiek, który stworzył nową religię, nazywa się Viggo Duckworth.

Ramsay patrzył na siną powierzchnię morza, widoczną za barierą chroniącą koniec ślepej uliczki. Jakiś niewielki okręt w asyście dwóch holowników zasłaniał właśnie widok na wyspę. Ruszyli dalej wzdłuż rozsypujących się frontonów dawno zamkniętych małych sklepików, magazynów i składów konsygnacyjnych.

–Czy wiecie o nim coś jeszcze?

–Coś jeszcze wiemy – poła eleganckiego płaszcza o mało nie zaczepiła o ociekający brudną wodą kikut jakiejś latarni. – Ale to wszystko, co mogę powiedzieć.

Ramsay przygryzł wargę.

–Kogo mam szukać? – spytał po chwili.

–To Glenn Chira – Pastier podał mu wyjętą z kieszeni fotografię. – Ale proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie chcę, żeby szukał pan kogokolwiek. Natomiast gdyby przypadkiem... – Zawiesił głos i nie powrócił już do przerwane go zdania.

Zdjęcie przedstawiało starszego już, lekko posiwiatego mężczyznę. Nieśmiały uśmiech, zmrużone, jakby pełne wątpliwości oczy zupełnie nie pasowały do agenta wywiadu. Fotografia musiała być powiększeniem czegoś z rodzinnego albumu, ucięte u nasady ramię mężczyzny obejmowało kogoś niewidocznego, kto rzucał cień na jego

twarz.

Zatrzymali się przed staroświecką, żeliwną barierką. Poniżej ogromny hangar, należący do kompleksu budynków nabrzeża, poprzez poszarpane poszycie dachu ukazywał swe wnętrze zrujnowane niedawnym wybuchem bomby. Dokładnie odmieciony śnieg pozwalał dostrzec spękany asfalt z wyrysowanymi na nim kredą kilkunastoma sylwetkami ludzi. Gdzieś tam widać było jeszcze nieregularne brunatne plamy.

Przyprowadził mnie tu specjalnie? – Ramsay schował zdjęcie do przegródki portfela. Robiło się coraz chłodniej, więc zapiął kurtkę pod samą szyję.

–Wyznawcy Duckwortha – Pastier odwrócił się, chowając dłonie do kieszeni płaszcza. – Czasami mam wrażenie, że racjonalizm umarł w chwili, kiedy osiągnąłem dojrzałość. Że wszystko się wtedy wypaliło – spojrzał na Ramsaya. – Nam pozostała już tylko pożywka dla bigotów.

No więc zaczynam pisać ten dziennik... Chryste, przecież zdaniu nie zaczyna się od "no więc." Jeszcze raz. Mój psychoanalityk, kiedy dowiedział się o planowanym wyjeździe, oświadczył, że nie będzie w stanie rozdzielać mi porad na odległość (bardzo odkrywczel!). Żeby jednak nie odwykł od regularnych z nim konsultacji, zasugerował mi prowadzenie dziennika, który on później przeczyta... Cholera, co za bzdury.

Panie doktorze, przecież będzie pan jedynym czytelnikiem tych notatek, więc chyba nie muszę pisać o panu w trzeciej osobie. Ale naprawdę nie wiem jak zacząć. Może tak:

Wypada wspomnieć, że już na wstępie wplątałem się w paskudną aferę wywiadowczą. Cóż, trudno. Skoro życie prezydenta i los tego biednego kraju spoczywa w moich rękach... Niech się paro nie śmieje, doktorze. Pańska kariera też zależy teraz ode mnie.:. Przepraszam, że na chwilę przerwę. Frank Cadish, z którym jedziemy na lotnisko, zagląda mi do zeszytu i pyta, co ja tuk zawzięcie gryzmołę. Powiedziałem, że zapisuję naszą rozmowę, by później ogłosić wspomnienia z wyprawy, i żeby zwolnić trochę, bo rzeczywiście piszę niewyraźnie.

–Wiesz jak prowadzisz? – powiedziałem.

–Jak?

–Jak wariat.

–Nie wydrukują ci tego – od razu się nadał. – Słowo "jak" powtarza się trzy razy w trzech kolejnych zdaniach. Teraz już cztery. Trudno.

Cadish, który ma mi towarzyszyć, jest moim... moim... No, znam go bardzo długo. To fatalny facet z gatunku tych, którzy tak naprawdę to nigdy cię nie słuchają, czekając jedynie na możliwość wypowiedzenia własnej kwestii. Łatwo to poznać po szybkości jego odpowiedzi – często zaczyna mówić, zanim jeszcze skończysz swoje pytanie. Rozumiem, że są odpowiedzi nie wymagające namysłu. Trudno się zastanawiać, kiedy ktoś spyta, która godzina, albo czy boli cię właśnie ząb. Jeśli jednak zapytać, co sądzi o przemianach w świadomości społecznej spowodowanych wprowadzeniem uproszczonych zasad prawnych, albo czym dla niego jest miłość, a facet strzela ci z miejsca jakieś okrągłe zdanie, to znaczy, że w ogóle nie słucha, co się do niego mówi, albo po prostu ma cię głęboko w... A propos, doktorze, co pan. sądzi o używaniu w tym tekście nieocenzurowanych słów? Mam się powstrzymać?

Nawiasem mówiąc szkoda, że to właśnie nie Cadish będzie prowadził ten dziennik. Ma duże doświadczenie. W różnych magazynach drukuje opowiadania por... o miłości. Może pan coś czytał, używa pseudonimu Jack I... Cholera, zapomniałem nazwiska. Kiedyś, przed tą całą zawieruchą, odelegowano nas z Cadishem na konferencję do któregoś z południowych stanów. Frank stanowił nieciekawe towarzystwo. Już pierwszego wieczoru jakimś cudem poderwał wysoką, rudą dziewczynę i trudno go było o cokolwiek zahaczyć. Parę dni później wszedłem do jego pokoju z pilną sprawą, a ponieważ go nie zastałem, postanowiłem poczekać. Usiadłem w fotelu za rozłożystą palmą w kącie – zna pan, doktorze, te południowe hotele i zauważyłem, leżący na stoliku obok, świeżo ukończony maszynopis. Zawierał opis erotycznej sceny, w której główną rolę grała właśnie ta poznana wcześniej ruda dziewczyna. Zaczytałem się do tego stopnia, że nie zauważyłem, kiedy wszedł Cadish z miłością swego życia. Ich zachowanie sugerowało, że zaraz mogę być świadkiem czegoś, o czym przed chwilą czytałem. Siedziałem jak trusia, nie zauważony za swoją palmą – byłem zafascynowany możliwością zaobserwowania, w jaki sposób fakty z życia wpływają na twórczość Cadisha.

Był bardzo niecierpliwy. Drżącymi rękami rozpinął guziki przezroczystej bluzki, ale zatrząsk biustonosza zatrzymał go na dobre dwie minuty. Przewrócił ją na łóżko, wydawało się, że nie istnieje nic poza żądzą, ale sam zaczął rozbierać się powoli, starannie układając swoje rzeczy na poręczu krzesła. Wreszcie położył się obok, raz szybko pocałował ją w usta i... Mogłem się mylić, te cholerne liście zasłaniały sporo szczegółów, ale miałem wrażenie, że widzę zdziwioną twarz dziewczyny. Przeniósłem wzrok na leżący na kolanach maszynopis.

"Jej ciało drżało nieustannie, wijąc się w spazmatycznych skurczach. Głęboki, gardłowy krzyk, wydobywał się gdzieś z samego dna jej trzewi. Długie paznokcie ryły krwawe bruzdy na moich plecach..."

Spojrzałem na łóżko. Dziewczyna istotnie głaskała go po plecach, choć to może niezbyt adekwatne określenie. Zdążyła przejechać dłonią może dwa razy, kiedy Cadish zwałił się na bok z cichym westchnieniem.

"Jej krzyk paraliżował wszystko wokół – zwierzęce, nieartykułowane dźwięki wibrowały w pokoju jeszcze długo po tym, kiedy zapłakana, nie mogąc złapać oddechu trzymała mnie ze wszystkich sił nie chcąc, nie mogąc dopuścić

**do rozłączenia..."**

**Dziewczyna stłumiła ziewnięcie i zapaliła papierosa, a ja zastanawiałem się, czy zdołam wyjść tak, żeby mnie nie zauważyli.**

Wielki samolot transportowy dotknął kołami powierzchni pasa startowego tak gładko, że siedzący we wnętrzu ciemnej ładowni ludzie odczuli tylko lekki wstrząs. Kołowanie nie było długie. Już po kilku minutach rozwarły się dwie wielkie kłapy i żołnierze w nierównych szeregach zaczęli opuszczać samolot. Ramsay i Cadish wyszli dopiero wtedy, kiedy wokół zrobiło się pusto. Na zewnątrz siąpił deszcz. Nieliczne zabudowania lotniska, otaczający je las i hałdy zgromadzonego wszędzie sprzętu nikły w rozmazującej kontury mgłę. Nie było jednak zimno. Stali chroniąc się od zmoknięcia pod ogromnym skrzydłem, ale mimo upływających minut nie nadchodził nikt, kto mógłby się nimi zająć. Po kilku kwadransach Cadish zdecydował się ruszyć na rekonesans.

Wyłonił się jednak na powrót z mgły, jeszcze zanim Ramsay zdążył wypalić kruszącego się papierosa. Spotkał co prawda jakiegoś żołnierza i dwóch techników, ale żaden z nich nie potrafił udzielić sensownej informacji. Bali się zostawić samolot – nie dlatego, żeby raptem ktoś miał go ukraść – ale nie chcieli, żeby odleciał z ich samochodem ciągle zaparkowanym we wnętrzu ładowni.

–Wyciągamy go sami? – Ramsay nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

–Kłapa nie dotyka ziemi. Jest prawie metrowy uskok.

–Mówisz o trapie? Range Rover powinien to pokona.

Cadish wzruszył ramionami. Wrócili do ładowni, w której ktoś tymczasem wygasił mgłę, oznaczające granice segmentów lampki. Po omacku odnaleźli swój samochód i dopiero w świetle reflektorów zorientowali się w systemie mocujących go do podłogi lin. Po kilku kwadransach, kierując na boki światło reflektorów za pomocą wypolerowanej pokrywy menażki, zdążyli odłączyć blokujące je karabinki. Cadish zajął miejsce za kierownicą, a Ramsay pobiegł na zewnątrz, żeby nakierować go mniej więcej na środek trapu.

Terenowy samochód wyłonił się z ładowni, hamując na skraju uniesionej nad płytą lotniska metalowej powierzchni.

–Cholera – Cadish wysunął głowę z szoferki. – Tu jest więcej niż metr.

–Jedź!

–Zawieszę się na przednim moście. – Musisz się rozpędzić. Jedź!

Silnik zawarczał mocniej cofając maszynę, potem zgrzytnęły zmieniane biegi i prawie dwutonowa masa ruszyła do przodu. Huk, jaki rozległ się, kiedy przednie koła opadły na beton, nie wróżył niczego dobrego. Samochód zarył zderzakiem w powierzchnię pasa i utknął zawieszony tylnymi kołami na trapie. Cadish, krzywiąc się niemiłosiernie, odpiął pasy i z jakąś złowróżbną powolnością wyszedł na zewnątrz.

–Tu było więcej niż metr – powtórzył.

Ekipa, która miała wyładować ich wóz, przybyła dosłownie w chwilę potem. Dwóch żołnierzy kierowanych przez jakiegoś kaprała ściągnęło go specjalnym podnośnikiem i odholowało na pobliski parking. Tam kapral, już osobiście, stwierdził złamanie przedniej osi i rozbicie mechanizmu różnicowego.

–Kiedy go będzie można naprawić?

Ramsay unikał wzroku Cadisha.

–Naprawić? A skąd niby mamy wziąć angielskie części? – kapral kopnął przekrzywione koło. – Jeśli przyjechaliście tu naprawiać cokolwiek, trzeba było zabrać wóz krajowy.

–Co w związku z tym mamy robić?

–Zgłoście się do oficera – żołnierze kończyli okrywanie podnośnika brezentem. – To tam – podniósł rękę, pokazując coś między hałdami zabezpieczonego plastikowymi płachtami sprzętu.

–Na lewo.

Ramsay powłókł się we wskazanym kierunku, ale widok barczystego kapitana, który urzędował w budynku skleconym z pomalowanych w ochronne barwy segmentów, rozwiewał wszelkie nadzieje na pomoc. Dowiedział się, że nie dostaną żadnego samochodu, że nie mogą skontaktować się z uczelnią – linie wojskowe nie są dla nich, a wszystkie połączenia cywilne dawno odcięto, a w ogóle to w ich sprawie nie przyszły jeszcze żadne rozkazy. Kulturysta w mundurze okazał się nieczuły na jakiekolwiek argumenty. Urwał wszelką dyskusję oświadczając, że ma inne sprawy na głowie. Stanowczo zbyt wielu ludzi dźwigało na swoich ramionach ciężar odpowiedzialności za los całego kraju.

–Idźcie do celi numer sześć – oświadczył wreszcie, przystawiając pieczęć na jakimś blankiecie.

–Do celi? Za co? – przestraszył się Ramsay.

–Przerobiliśmy więzienie na hotel – zdenerwował się tamten. – Cieszcie się, że woda nie będzie wam kapać na głowy.

Ramsay wyszedł niepokieszony. Przechodząc przez poczekalnię zauważył, że ktoś wydrapał gwoździem na ścianie napis: *Towarzysze niedoli, wdepnęliście w straszne bagno. Osiewiejecie, zanim was wypuszczę.*

Razem z Cadishem, z zupełnie już skwaszonymi humorami, powlekli się do małego baraku, który kiedyś był tymczasowym więzieniem przy lotnisku. Dwie sąsiednie cele zajmowała ekipa telewizyjna, która tkwiła tu już od



miesiąca. Starszy, lekko posiwiły operator powiedział mi, że otrzymanie pozwolenia na przyjazd do Strefy nie jest jednoznaczne z prawem poruszania się po niej, które musi wydać miejscowy kacyk. Dowiedzieli się też, że zakazane jest pisanie listów, wychodzenie z baraku po zmroku i jakiegokolwiek rozmowy z żołnierzami, a także że whisky można dostać u pewnego sierżanta z zaopatrzenia, ale on strasznie zdziera, natomiast samogon dostępny jest praktycznie wszędzie. Co zresztą potwierdziło się na wspólnej kolacji, którą ekipa zorganizowała z okazji pojawienia się nowych twarzy. Wyśmiano ich, kiedy pytli o możliwość skorzystania z wojskowej łączności albo o celowość złożenia jakiegoś odwołania. Jeden z dziennikarzy poradził im, żeby porozmawiali z obsadą jakiegoś wozu bojowego, ale właściwie i to na nic, bo za pomocą ich radiostacji można się co najwyżej połączyć z jakimś upartym radioamatorem. Poza terenem koszar, za rzędem wykopanych w niewiadomym celu, nie używanych, latryn jest co prawda zapomniana przez likwidatorów budka telefoniczna podłączona do federalnej sieci. Ale kolejka do niej jest ogromna, bo zdezelowany aparat jest dla żołnierzy jedyną możliwością porozumienia się z rodzinami czy narzeczonymi, a poza tym chłopcy z karabinami niechętnie widzą tam cywilów, bojąc się, że ci mogą wygadać się przed którymś z oficerów.

Ramsay i Cadish udali się tam, mimo że zmrok zapadł już dawno. Błądząc między stosami rdzewiejącego na deszczu sprzętu, dziesiątkami baraków, namiotów, a nawet okazałych budynków stwierdzili, że życie nocne obozu nie ogranicza się bynajmniej do kilku pijatyk, które spodziewali się ujrzeć. Obaj pochylali głowy, chcąc ukryć zatknięte za paski od czapek dwudziestodolarowe banknoty (też rada kogoś z ekipy; żebyście nie musieli tarzać się w błocie, jeśli złapie was jakiś patrol). Nie byli pewni, czy to nie kawał spleatany im przez zanudzonych na śmierć dziennikarzy, ale okazało się, że nie. Kiedy nie bez trudu odnaleźli wreszcie zakamuflowaną w rzadkim lasku budkę, otaczając ją żołnierze nie powitali ich może okrzykami radości, ale prawie od razu podeszło do nich kilka osób proponujących sprzedaż swoich miejsc w kolejce. Najlepszy z nich chciał co prawda tylko sto dolarów, ale za siedemdziesiątą szóstą pozycję.

–Ile będziemy musieli czekać? – spytał Cadish.

–Pół nocy, albo więcej.

–Ja wam sprzedam czwarte miejsce – odezwał się ktoś z przodu. – Ale za pięćset. Do ręki.

–Chryste, skąd weźmiemy tyle gotówki?

Wreszcie po kilkuminutowych pertraktacjach dobili targu. Ramsay chyłkiem wrócił na parking i pod czujnym okiem śpiącego wartownika obrabował ich własny samochód. Wrócił biegiem, żeby nie stracić miejsca i już po chwili ich doskonały profesjonalny magnetofon z podwójnym kompletem taśm zmienił właściciela.

Nie było sensu telefonować na uczelnię. Jeśli nawet Aldworth zechciałby im pomóc, możliwości jego manewru były wysoce ograniczone. Kiedy wreszcie dopuszczono go do zaparowanej od wielu oddechów szklanej klatki, połączył się z Pastierem. Tamten od razu ostudził jego zapał mówiąc, że niewiele może mu pomóc. Spróbuje, owszem, ale na razie muszą czekać.

–Zaraz, ale właściwie skąd pan dzwoni? – zważywszy jego inteligencję, Pastier zorientował się dość późno.

–Ze Strefy.

–Skąd?! Przecież odcięto całą łączność, a pan... – słowa nie chciały przejść mu przez gardło – po prostu telefonuje.

–Nie wspominałem panu, że jestem dość energiczny? – Ramsay usiłował dobrze rozegrać każdą kartę. Chce w ten sposób zasugerować, że wybrał pan właściwego człowieka – wolał go nie wprowadzać w szczegóły sposobu, w jaki uzyskał połączenie.

Cisza po drugiej stronie mogła być czymś w rodzaju okazania szacunku.

–Pomogę panu – powiedział wreszcie Pastier. – Jeśli będę mógł...

Ramsay odłożył słuchawkę. Miał cholerną ochotę na papierosa, wolał jednak nie zdradzać się przed ewentualnym patrolem. Miał nadzieję, że tamten zdoła zrobić coś, co pozwoli im uniknąć spędzenia tu reszty życia. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego Pastier wybrał właśnie jego. Czy zdecydowały o tym dwa lata spędzone w Europie w szkole taktyki piechoty? Wzruszył ramionami. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby podejrzewać, że otrzymał tam jakieś specjalne przeszkolenie. Skoro nic takiego nie było, więc co? Rzeczywiście uznali go za godnego zaufania? Bzdury. Tylko jakiś zramolały, biurkowy oficer mógł się doszukać jego krótkiej wojskowej przeszłości.

–Z kim rozmawiałeś? – spytał Cadish, kiedy wracali do baraku.

Ciągle pogrążony w rozmyślaniach mruknął coś niezobowiązującego.

Rano obudził ich sierżant. Zaspani i nie ogoleni wyszli przed budynek, żeby dowiedzieć się, że właśnie podpisano rozkaz o ich wyjeździe. Dostali zarekwirowany komuś cywilny samochód, do którego żołnierze przenosili właśnie ich sprzęt, oraz mapę z zaznaczoną trasą do punktu dowodzenia następnym odcinkiem.

–No, no – Cadish z ukosa spojrzął na Ramsaya. – Czasem dobrze podróżować z facetem, który ma znajomości.

Ale jego wzrok był niczym w porównaniu z tym, jak patrzyli na nich dziennikarze. Przyniesione przez żołnierza przepustki długo leżały na stole, bo Ramsay potrzebował czasu na zaakceptowanie poczucia winy wobec ekipy filmowej, w jakie wprawiały go zdobyte na lewo papiery.

–Hej – operator, którego poznali wczoraj, podszedł bliżej. – Jeśli to nie tajemnica, powiedzcie, jaką dziedzinę reprezentujecie?

–Jesteśmy z katedry językoznawstwa – powiedział Cadish.

–Co? – mina operatora świadczyła, że pewne rzeczy nie mieszczą się w jego głowie. – W jakim celu przyjechaliście do Strefy?

–Podobno pojawiły się tu nowe dialekty. Mamy je zbadać.

–Mówicie poważnie? – spytał ktoś z tyłu.

Ramsay skinął głową. Otaczający ich ludzie byli zaszokowani. Spojrzenia, które wymieniali, nie świadczyły o tym, że rozumieją cokolwiek.

–Zawsze wiedziałem, że biurokracja działa na ślepo – operator przysiadł na brzegu stołu z westchnieniem. – Przed nami siedział tu doktor epidemiolog i nie dostał pozwolenia wjazdu. Nie obrażcie się, ale czułem, że jeśli przepuszczą kogokolwiek, to będzie to właśnie ktoś realizujący zadanie bez żadnego znaczenia.

–Lepsze to niż dzienniki telewizyjne – mruknął Cadish.

–Spokojnie – Ramsay uniósł ręce. – Rozstańmy się w zgodzie.

W pośpiechu, bojąc się nagłej zmiany podjętej w dowództwie decyzji spakowali podręczny bagaż. By udobruchać dziennikarzy zgodzili się wziąć od nich aparat fotograficzny wraz z filmem, żeby zrobić choć kilka zdjęć, i prowadzeni przez milczącego żołnierza przeszli do baraku przed parkingiem. Tam poddano ich pobieżnej rewizji, w wyniku której aparat został skonfiskowany, i dopiero potem pozwolono im zapoznać się z przydzielonym samochodem. Była to jaskrawoczerwona limuzyna nadająca się do wszystkiego oprócz jazdy po spodziewanych bezdrożach. Woleli jednak nie tracić czasu na jałowe kłótnie. Jak tylko mogli najszybciej, zapakowali swój bagaż na tylne siedzenie i ruszyli w kierunku bramy wyjazdowej. Tu jednak czekała ich kolejna przykra niespodzianka – kapitan, którego zdążyli poznać poprzedniego dnia z nie najlepszej strony.

–Przykro mi, panowie – prawą ręką leniwie dotknął daszka. – Ale nie mogę wam przydzielić odpowiedniej eskorty i przewodnika. Będziecie musieli zostać jeszcze przez jakiś czas.

–Przecież dostaliśmy mapę.

–Zgubicie się – widać było, że nie wypuści swych ofiar tak łatwo. – Po zimie dużo dróg jest nieprzejezdnych.

Ramsay prawie do połowy wychylił się z bocznego okna.

–To pan jest odpowiedzialny za wszystkich cywilów w jednostce, prawda?

–Tak i dlatego właśnie...

–W nocy ukradziono nam magnetofon – Ramsay przerwał mu brutalnie. – To bardzo kosztowny sprzęt.

Krople deszczu kapąły z daszka jego czapki.

–Pan żartuje.

–Nie, jest wpisany do listu przewozowego. Skoro mamy zostać, to proszę mi pokazać drogę do komendanta jednostki.

–Ale... – mina oficera zmieniła się zasadniczo. – To niemożliwe. Tam był wartownik.

–Może chce pan powiedzieć, że sam go ukradłem, co? – Ramsay cofnął głowę do środka. – Jedź – szepnął do Cadisha. – Nie zatrzyma nas.

Ten ruszył ostro, trąbieniem wymuszając uniesienie szlabanu. Limuzyna zgrabnie przeskoczyła wzgórze z wartownią, by o mało co nie wbić się w zaporę drogową ustawioną tuż za nim. W ostatniej chwili wyminęła betonowe krzyżaki i pomknęła zalaną deszczem drogą wśród lasu.

–Cholera, udało się – Cadish, mimo że było dość jasno, włączył pełne światła. – Udało się! Nie wytrzymałbym w tej dziurze ani chwili dłużej.

–Tak. Nie jest jednak pewne, czy dotrzemy na miejsce.

–Myślisz o patrolach?

–Mhm.

–Przecież mamy papiery. Ramsay wzruszył ramionami.

–Przecież widziałeś, że żaden dokument nie robi na nich zbytniego wrażenia.

–Szlag – Cadish przyhamował trochę. – I co teraz? – Trzeba jechać bocznymi drogami – podniósł do oczu trzymaną w ręku mapę. – Może tam ich nie będzie.

–A jeśli się zgubimy?

–Przecież nie będziemy rzucać monetą. Tak czy nie?

Cadish przeżuwał jakieś przekleństwa. W końcu westchnął ciężko.

–Tak.

–To skręć w lewo na najbliższym skrzyżowaniu.

*Panie doktorze, to straszne, ale w każdej chwili grozi mi utrata życia. Walimy właśnie osiemdziesiątką po wąskiej, krętej drodze wśród podmokłych pól i nic nie wskazuje na to, żebyśmy zdążyli zahamować, jeśli napotkamy jakąkolwiek przeszkodę. Być może bawiłoby to mojego ojca, który jeździł w cyrku na motocyklu, ale ja – mimo dzieciństwa spędzonego w siodełku na ścianie śmierci nie widzę w tym niczego zabawnego. Cadish z miną*

*zawodowego samobójcy opowiada mi o swoich dziewczynach – wszystko to wierutne bujdy. Natomiast w moją autentyczną historię nie chciał uwierzyć. Właśnie... Nie pamiętam, czy panu o niej opowiadałem. Było to, kiedy rozwód z moją żoną wisiał na włosku. Popeliłem błąd prenumerując jej kobiece czasopisma. Gdybym miał pieniądze, mógłbym wysłać ją na Hawaje, znaleźć jej przyzwoitą pracę, albo przynajmniej zapisać na kurs karate. Chociaż nie... to chyba przesada. W każdym razie wystawiłem jej dziwaczy umysł na ostrzał dewiacyjnych idei redaktorów z bastionów wojującego feminizmu. Linda atakowała mnie codziennie, aż doszło do tego, że sam zacząłem czytać te pisma, żeby choć w części zrozumieć, o co jej chodzi. Przesiąknąłem ich słownictwem jak gąbka. Kiedyś oboje w silnej depresji poszliśmy wreszcie do seksuologa. Pierwsza zaczęła jak zwykle Linda. Oskarżyła mnie o regresje powstałe w wyniku konfliktu między li-bido i superego. Musiałem zripostować mówiąc, że ma kompleks kastracji po uświadomieniu sobie braku członka. Potem zarzucaliśmy się nawzajem teoriami naruszania praw własności, urazami powstałymi w którejś z faz przedgenitalnych czy startu postorgastycznego Havasaerta. Kiedy postawiliśmy sobie diagnozy i zaproponowali wzajemne terapie, lekarz z trudem nam przerwał.*

*–To wszystko przez artyfikacyjną multifazowość redukcji – zdołała jeszcze powiedzieć Linda.*

*–Przepraszam, ale czego właściwie państwo ode mnie oczekują – spytał seksuolog.*

*Spojrzeliliśmy po sobie i trzeba przyznać, że wyszliśmy od niego raczej zawiedzeni. Chwilę potem, kiedy wróciłem do gabinetu po zapomnianą zapalniczkę, przyłapałem specjalistę na szukaniu w słowniku, co to jest artyfikacyjna multifazowość redukcji. Sam też sprawdziłem po kilku dniach. Lindzie musiało się coś pomylić.*

*Nawiasem mówiąc, jeśli pozwoli pan, doktorze, że wrócę do spraw mojej podróży – nie wiem, czy wspominałem, że mapa, którą otrzymaliśmy na lotnisku, jest do niczego. Razem z Cadishem zagubiliśmy się zupełnie.*

Strumień, przed którym stanęli, rozlewał się wśród drzew tworząc spienioną, szeroką strugę. Jej brudne wody wydawały się przeszkodą nie do przebycia.

–I co teraz? – Cadish wystawił głowę przez okno. – Dowództwo rejonu powinno być za tym lasem.

–Tak – facet za kierownicą zgodził się z podejrzaną skwapliwością. – Albo o sto mil dalej.

–Cholera, to nie moja wina, że napotykamy jedynie wysiedlone farmy i nie ma kogo spytać o drogę. W życiu nie widziałem takiego pustkowiecia.

Obydwaj jak na rozkaz spojrzeli na tylne siedzenie. Worek z konserwami zawierał już tylko kilka opakowań z nienaruszoną zawartością.

–Nie dajmy się zwariować, przecież nie umrzemy z głodu.

–Doprawdy?

–Zawsze można wrócić po śladach.

–Tak – Ramsay zapalił papierosa. – Jeśli wystarczy benzyny.

Cadish postukał w blachę ukrytego pod siedzeniem kanistra.

–Z tyłu wszystkie puste... Hej – urwał nagle i gwałtownie zaczął zakręcać szybę. – Tam! Wilk!

Jakieś zwierzę rzeczywiście pojawiło się tuż obok ich samochodu.

–Jak myślisz, wskoczy do środka przez szybę?

–Bzdury, przecież to zwykły pies – Ramsay obserwował, jak rozrośnięty, choć wyraźnie wychudły, owczarek alzacki kilkunastoma skokami przedostaje się na drugi brzeg. – Tam jest zupełnie płytko.

–Może wybierał co wyższe miejsca.

–Więc co chcesz zrobić? Tam musi być jakaś szosa. Cadish machnął ręką. Widać było, że jest zupełnie zrezygnowany. Puste wiejskie drogi, rzadkie domy o otwartych, od dłuższego czasu nie używanych okiennicach i absolutny brak ludzi w normalnie poza tym wyglądającym kraju nie działały kojąco na nerwy.

–Żeby to wszystko trafił szlag! – szarpnął dźwignią biegów i dodał gazu.

Powoli, słysząc jak wartki prąd omywa koła, wjechali do strumienia. Nagła fala uderzyła o dno.

–Cholera, żeby tylko nie zalało silnika. – Zwolnij.

Posuwali się centymetr po centymetrze zaciskając zęby, jakby chcieli w ten sposób powstrzymać przybór wody. Byli już w połowie szerokości strumienia, kiedy Cadish nagle krzyknął:

–Tu coś jest!...

Przód samochodu osunął się gwałtownie. Maskę znikła pod wodą i w nagłej ciszy po ustaniu pracy silnika usłyszeli coraz mocniejszy szum wody.

–Szlag – Ramsay dotknął czoła, którym uderzył o szybę. – Wskoczę na bagażnik: Spróbujmy go rozhuścić!

Otworzył drzwi dokładnie w chwili, kiedy przednie koła osunęły się głębiej. Samochód jak rasowy koń stanął dęba, znowu szarpnął w dół i ustawił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni do poziomu. Brunatna woda wtargnęła do kabiny zalewając ją w jednej chwili. Ramsay wyskoczył na zewnątrz, grzęznąc po pas w paraliżująco zimnym strumieniu. Silny prąd pchał go wprost pod uniesioną karoserię.

–Pchaj! – nie widział, czy Cadish zdążył też wysiąść. Z całych sił naparł na ramę, ale nogi zagłębiły się w grząskim dnie. Nie byli w stanie ruszyć tej cholernej limuzyny.

–Bagażnik! Otwórz bagażnik! – krzyknął wdrapując się na dach. Mokre ubranie krępowало wszystkie gwałtowne

ruchy. Skostniałe z zimna dłonie z najwyższym trudem utrzymywały go na pochyłej powierzchni.

–Bagażnik!

Jaskrawoczerwona klapa z cichym zgrzytem uniosła się do góry. Ramsay podpełzł do niej i niezgrabnym skokiem dostał się na tylną szybę. Nie wiedział, jak długo wytrzyma jego ciężar. Wyciągnął ręce chwytając drzwi i zsunął się do zawalonego sprzętem wnętrza.

–Odbieraj! – rzucał Cadishowi wszystko, co było choć w miarę suche. Gdzieś w głębi powoli zaczęła pojawiać się woda. Kiedy samochód osunął się znowu, Ramsay wyskoczył na zewnątrz uderzając nogami o grunt. Wstał ciężko, żeby stwierdzić, że w tym miejscu strumień sięga mu zaledwie do kolan. Szczękając zębami wybiegł na brzeg. Całe jego ubranie było mokre, zlepione szlamem włosy powoli przekształcały się w schnącą powoli, parzącą zimnem skorupę.

–Wyciągnijmy go... – Cadish nie wyglądał lepiej. Wyciągnijmy...

–Chyba za pomocą czołgu – Ramsay też nie mógł zebrać myśli. – Spróbujmy rozpalic ognisko.

–Jak? Wszystkie zapalki były pod wodą.

–Benzyna, akumulator... Nie, też był pod wodą, może baterie od latarek... Szlag, przebierzmy się w coś, zanim zamarzniemy.

Podeszli do rzuconych pod drzewo pakunków. Wytarli się z grubsza gazetami, które znaleźli w jednej z toreb, potem zaczęli się ubierać. Ramsay kłął, bo jedyną jego suchą rzeczą był zabrany przez roztargnienie elegancki, wyjściowy garnitur. Odruchowo przetarł czarne lakierki i zawiązał wysoko krawat. Znalazł też wytworną walizeczkę z ciemnej skóry, zawierającą składany parasol i na szczęście nie rozpieczętowaną jeszcze piersiówkę whisky. Wypili ją po połowie, starannie odmierzając porcje.

–I co teraz? – Cadish znacznie się uspokoił. Miał przynajmniej na sobie dość gruby sweter.

–Idziemy dalej.

–Nigdy – jego ciągle jeszcze sinawa twarz skurczyła się w nagłym odruchu. – Nigdy w życiu.

–A co proponujesz?

–Wracać na lotnisko.

–Oszalałeś? – Ramsay znalazł gdzieś rozmokniętego papierosa, ale przypomniał sobie o braku zapalek i odrzucił go z powrotem.

–Nie. To trzy dni szybkiego marszu. Może cztery. A jeśli napotkamy jakiś patrol – jeszcze szybciej.

–A jeśli nie?

–W każdym razie to jedyna pewna droga. Wolę parę dni dawania sobie w kość plus pewność, że w końcu dojdę, niż szarganie się po tych bezdrożach. Idąc dalej nie mamy szans.

–Przecież to będzie koszmar. Co na przykład zrobisz w nocy?

–Spędzę ją przy ognisku. Do tego czasu podsuszają się zapalniczki.

–W ogóle bez spania? – Ramsay spojrzał w stronę samochodu. Mapa tkwiła gdzieś w jego wnętrzu albo płynęła właśnie w kierunku morza. – Gdzieś tu musi być to cholerne dowództwo.

Cadish potrząsnął głową. Jego twarz ciągle była zacięta.

–Nie – powiedział dość spokojnie. – Nie będę już słuchał twoich pomysłów.

Ramsay zagryzł wargi. Czuł, że tamten jest typowym wytworem wychowania i zasad, które mu wpojono. Miał dość produktów społeczeństwa spektaklu, których jedyną miarą jest sukces – jeśli nie ma go dotychczas, znaczy to, że całe dążenie było bez sensu. Miał dość mitów jednorazowego użytku..

–Wygląda na to, że się rozchodzimy. Cadish skinął głową.

W okolicznych zaroślach wyszukali długi kij, do którego przymocowali specjalną pętlę ze sznurka. Za jego pomocą nie mocząc się więcej, wyciągnęli worek z tylnego siedzenia. Szybko podzielili pozostałe konserwy i stanęli naprzeciw siebie.

–Kto pierwszy napotka patrol, poinformuje go o drugim... – zaczął Cadish, ale urwał, bo było to oczywiste. – Powodzenia.

–Wzajemnie.

Rozeszli się w przeciwne strony, nie patrząc więcej za siebie. Ramsay długi czas posuwał się brzegiem strumienia w stronę przeciwną do tej, w którą płynęły jego wody. Potem zmienił kierunek. Wydawało mu się, że słyszy odgłosy domowych zwierząt. Jakaś ferma? Las wokół był tak samo gęsty jak dotąd, ale skądś z przodu docierało więcej światła. Nie mylił się. Już po kilkudziesięciu krokach drzewa przerzedziły się trochę i chwilę potem wydostał się na dość szeroką, asfaltową szosę. Farmy nie było jednak nigdzie widać. Odruchowo oczyścił buty wiechciem trawy i po krótkim namyśle ruszył w lewo. Deszcz znowu zaczął siąpić, więc otworzył parasol. Zdawał sobie sprawę, że wygląda idiotycznie, zagubiony gdzieś w absolutnie bezludnej Strefie, w eleganckim garniturze z parasolem i teczką. Uśmiechnął się na myśl o minach ewentualnie spotkanych żołnierzy. Przyśpieszył kroku, potem nieco rozgrzany zwolnił znowu. Nie mógł przypomnieć sobie szczegółów zagubionej mapy, ale o ile dobrze pamiętał główne zarysy, droga, którą szedł, powinna go doprowadzić do skrzyżowania ze stacją benzynową. Może tam będą jakieś drogowskazy. Nagle wydało mu się, że z tyłu dobiega go odgłos kroków. Zwolnił

czując lekkie dreszcze. Odgłos był coraz bliższy i coraz bardziej wyraźny niemiłosiernie walenie podkutek buciorów. Żołnierze...

–Przepraszam – zaczął odwracając się jednocześnie. – Zdaje się, że zgubiłem drogę na Times Square...

Głos uwiązał mu w gardle. Dwóch mężczyzn, jeden z myśliwskim karabinem, drugi z wielkim, pamiętającym jeszcze chyba czasy Dzikiego Zachodu rewolwerem w dłoni, w najmniejszym stopniu nie przypominało żołnierzy. Ze swoimi długimi, skudłacnymi włosami, w poszarpanych kurtkach, mogliby mieć pewność, że żaden sierżant nie wypuściłby ich na przepustkę. Teraz stali wpatrując się przed siebie wybaluszonymi oczami.

–Ty, to chyba jakiś wariat – odezwał się wreszcie wyższy, z nieprzyjemnym liszajem na twarzy.

–Hej – drugi podniósł swój rewolwer. – Skąd cię tu przyniosło?

Ramsay miał dwie możliwości. Wykorzystując swój niecodzienny strój mógł powiedzieć, że jest wysokim urzędnikiem państwowym, który nagle musiał iść w krzaki, a jego ochrona czeka tuż za zakrętem, mógł też powiedzieć prawdę. Ponieważ jednak obaj przeciwnicy nie wykazywali śladów inteligencji pozwalającej docenić ów manewr, a droga jak na złość nie miała zakrętu, przedstawił się zgodnie z prawdą.

–No i co? – lufa rewolweru wylądowała nagle w Tego ustach. – Dawaj wszystko, co masz.

Ramsay usiłował napluć do lufy, żeby w razie strzału wywołać eksplozję, ale zabrakło mu śliny. Ponieważ pozbawiono go możliwości dyskusji, wyjął swój portfel. Drugi z napastników powoli, jakby z niechęcią, przełożył pieniądze do swojej kieszeni.

–Dobra, ale co naprawdę masz przy sobie? – odebrał mu teczkę, rzucił na ziemię i otworzył jednym kopnięciem.

– No, no.

Szybko pakował konserwy do swoich przepastnych kieszeni. Skądś z dali dobiegł ich stłumiony ryk motoru. Wojsko! Umysł Ramsaya zaczął pracować gorączkowo. Nie wiedział co zrobić, żeby nie zastrzelili go do przybycia pomocy. Rzucić się na ziemię? Uciekać?... Obaj mężczyźni usłyszeli to także. Lufa rewolweru powróciła do normalnej pozycji. Wszyscy patrzyli teraz na sylwetkę samotnego motocyklisty, którego rozpięty, czarny płaszcz powiewał z tyłu.

–Ale ruch dzisiaj – szczęknął zamek karabinu, lecz mężczyzna nie ustawił go w bojowej pozycji. – Ty, patrz...

–Cholera, sami wariaci.

Motocyklista zatrzymał swój ogromny, obciążony wieloma pakunkami i kanistrami pojazd tuż przed nimi. Jeden rzut oka na wystający spod płaszcza czarny garnitur i kontrastującą z nim koloratkę wystarczył, żeby rozpoznać w nim księdza. O ile można było się zorientować na podstawie siedzącej sylwetki, był to człowiek bardzo wysoki i, co było już pewne, bardzo chudy. Jego ostrą, jakby wklęsniętą twarz okalały krótko przycięte, rude włosy, łączące się z tego samego koloru, krótką brodą i wąsami.

–Co tu się dzieje? – ksiądz zatrzymał wzrok na wybebeszonej teczce.

–Hej, ty, zsiadaj i możesz iść – napastnicy traktowali go z wyraźnym lekceważeniem.

Na widok Ramsaya ocienione wąsami usta rozciągnęły się w uśmiechu.

–Jak miło w tej głuszy spotkać kulturalnego człowieka – skinął głową. – Incy Sprenger.

–Cała przyjemność po mojej stronie – Ramsay przedstawił się również, pokonując opór ściśniętych strachem szczęk.

–Hej, co to za gadki?! Złaż zaraz... – mężczyzna z rewolwerem urwał w pół słowa.

Ksiądz jednym szarpnięciem zerwał okrywający bagaże brezent. Błyskawicznie sięgnął do tyłu i odwrócił się znowu, ukazując trzymany w rękach ogromny karabin maszynowy. Widok wielkiego jak prostokątny garnek magazynka, otoczonej perforowaną chłodnicą lufy i odwiedzonego do tyłu suwadła zamka sprawił, że napastnicy zamarli w bezruchu.

–Rzućcie wasze żelastwa – głos Sprengera nagle stwardniał. – Opróżnić kieszenie i won.

Patrzył na rzucone na mokry asfalt przedmioty.

–Szybciej, chyba że chcecie dostąpić łaski odkupienia już tutaj. – Lufa erkaemu uniosła się o centymetr.

Ramsay odwrócił głowę, żeby nie bez satysfakcji obserwować ucieczkę tamtych. Kiedy po kilkudziesięciu krokach skręcili, by ukryć się w lesie, ponownie spojrzął na swego wybawiciela.

–Weź swoje rzeczy – lufą wskazał leżące na ziemi przedmioty. – W gruncie rzeczy nie są to źli ludzie. Umknęli przymusowej ewakuacji i teraz wegetują jak mogą.

–Ksiądz ich zna?

–Nie jestem księdzem, tylko pastorem... Powiniennem chyba raczej powiedzieć: byłem pastorem, zanim zmieniłem nazwisko. Mów mi Incy.

–Sprenger nie jest twoim prawdziwym naz... Zaraz – Ramsayowi otworzyła się jakaś komórka w pamięci. – Czy Incy to skrót od Institoris?

–Zgadłeś.

–W takim razie ta śmiercionośna broń powinna nazywać się "Młot na czarownice".

–Nie przesadzajmy. To Cetme-Ameli kalibru 5,56. Według europejskiej miary oczywiście.

Ramsay uśmiechnął się zbierając swoje rzeczy.

–Coś w tym jednak musi być, że wybrałeś broń hiszpańskiej produkcji. Musi być bardzo ciężka.

–Ponad sześć kilo – przypominający niemieckie konstrukcje z lat wojny karabin wyładował z powrotem na swoim miejscu za plecami właściciela. – Tyle co nic, odrzut też umiarkowany.

Ramsay zatrzasnął zamek walizki zastanawiając się, co teraz będzie. Jego wątpliwości rozwiał zapraszający gest Sprengera. Zajął miejsce na tylnym siedzeniu.

–Nie spadniesz?

–Nie powinienem. Mój ojciec jeździł w cyrku na ścianie śmierci i sporo mnie nauczył.

–No to uważaj – silnik zawył nagle. Gwałtowne puszczenie sprzęgła sprawiło, że motocykl skoczył do przodu, przez chwilę jadąc na tylnym kole. Ramsay, którego tylko resztki refleksu uratowały od wypadnięcia, chwycił mocno obudowy przymocowanych łańcuchami kanistrów. Podmuchy rozpędzonego, zmieszanego z wodą powietrza, chłozzące twarz i wszystkie nieosłonięte części ciała, sprawiły, że znowu zrobiło mu się zimno.

–Dokąd jedziemy? – krzyknął.

–Co? – Sprenger na chwilę odwrócił głowę. – Zaraz. Jedną ręką zdjął osłonę z ogromnego głośnika, takiego jakie czasem umieszcza się na policyjnych samochodach, przymocowanego nad reflektorem. Podniósł do ust mikrofon.

–Możemy rozmawiać w ten sposób – jego nieco zniekształcony przez aparaturę głos bez trudu wybijał się ponad ryk silnika.

–Gdzie jedziemy? – Ramsay nachylił się do mikrofonu.

–Do grupy nomadów. Zdamy przez ten kraj w poszukiwaniu prawdy.

–Kto to są nomadowie?

–To coś w rodzaju trubadurów zarabiających na życie grą dawnych sztuk na postojach albo krzyżowców dążących z mroczną misją, by wprowadzić po drodze swe przekonania w życie.

Ich głosy wzmocnione przez aparaturę wznosiły się nad lasem, powodując panikę wśród zamieszkujących go ptaków. Ściany drzew odbijały echem końcówki słów, które mimo pędu wracały do nich w bezsensownej pogoni za utraconym znaczeniem.

–Może spotkamy człowieka, który rozpętał to wszystko.

–Wiem, jak się nazywa – Ramsay uznał, że za pomoc należy mu się ta informacja. – To Vigg Duckworth.

Dźwięk poniósł słowa nad rozległą polaną, którą mijali. Sprenger zastanawiał się nad czymś. Nagle jeszcze zwiększył moc aparatury.

–Błogosławieni głusi – natężenie hałasu powodowało ból w uszach. – Błogosławieni ślepi, którzy nie widzą majaków zrodzonych w jego głowie.

–Przestań.

–Błogosławieni ci, którym pomieszał się rozum... Motocykl zatańczył na jakiejś kałuży. Strugi wody runęły na dwie strony, zamoczony silnik buchnął kłębamii pary. Sprenger zwolnił trochę, ściszył też swój diabelski wzmacniacz.

–Dojeżdżamy – rzucił przez ramię.

W perspektywie drogi, przy ocienionym drzewami skrzyżowaniu ukazał się rząd ludzi i pojazdów.

–Czy to krzyżowcy?

–Nie.

Ramsay uspokoił się trochę. Zbliźali się wolno do małej wysepki z wyróconym, potrzaskanym na drzazgi drogowskazem. Ramsay przyglądał się zaparkowanym na poboczu drogi motorom najróżniejszych typów. Były tu Harleye, Hondy, BMW, Yamahy, Suzuki... Wszystkie niemiłosiernie obładowane sprzętem, jakimiś pakunkami, kanistrami, skrzynkami z amunicją. Z każdej maszyny sterczała antena radiostacji i ogromny głośnik. Zauważył też kilka samochodów: dwa wojskowe jeepy, rozklekotany Land Rover i furgonetkę. Otaczający je ludzie także różnili się między sobą. Obok kilku młodych w skórach i panterkach byli też starsi ubrani w jakiś przypadkowy, zupełnie nieprawdopodobny sposób, było też kilkanaście kobiet – jedna w luksusowym nawet, choć dość brudnym futrze, i jedno dziecko. Praktycznie każdy miał przy sobie jakąś broń. Rewolwery, pistolety maszynowe, karabiny i granatniki tworzyły eklektyczną mozaikę różnych rodzajów i systemów.

Sprenger jadąc coraz wolniej przedstawiał niektórych.

–To Allen DeLuca, Włoch, był nauczycielem śpiewu. Kiedy cała rodzina przeszła na wiarę Duckwortha, zastrzelił żonę i przystał do nomadów. Rudi Schirmer prowadził jedną z tak zwanych *szkół przeżycia*, kiedy zorientował się, że przez ostatnie lata szkolił właściwie samych terrorystów Duckwortha, rzucił wszystko i zaczął pić, z nim lepiej uważać. Tamten z ogromnym Thompsonem to Notley Parks, młodociany gangster, ale ponoć zerwał z tym i zaczął studiować, zakochał się, coś jednak nie wyszło i jeździ z nami. Jest kompletnie stuknięty. Tamte dwie dziewczyny to Idris Palmer i Suzette Rankine, obie do wzięcia, ale Suzette razem z dzieckiem...

Zatrzymali się przed niskim mężczyzną w poszarpanej lotniczej kurtce. Jego wygląd, a szczególnie twarz o subtelnym, intelektualnym wyrazie klóciła się z trzymanym w rękach automatem.

–Leroy Vella – szepnął Sprenger. – To ktoś w rodzaju przywódcy.

–Jak droga? – Vella zmrużył oczy, co nadało jego twarzy zaskakujący wyraz stanowczości.

–Pusto.

–Zupełnie?

–Tak. Wszystko wymiecione do najdrobniejszej rzeczy. O benzynie nie ma co marzyć.

Vella skinął głową.

–A ten tutaj? – wskazał na Ramsaya.

–Nie widzisz, do cholery? To kulturalny człowiek.

Twarz Velli wykrzywiła się w grymasie, w którym jednak trudno było doszukać się cienia uśmiechu.

–Rząd? Wyznanie? – spytał.

–Słucham? – Ramsay nie wiedział, o co mu chodzi.

–Czy pracujesz dla rządu i jakiego jesteś wyznania powtórzysz Sprenger.

–Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: nie, na drugie: żadnego. Jestem ateistą.

Ramsay zastanawiał się, jaką przyjąć postawę. Nie miał pojęcia, co sądzić o tych ludziach. Najbezpieczniejsza

była chyba rola, którą narzucał sobie w pracy i w sytuacjach, w których chciał uniknąć jakiegokolwiek

odpowiedzialności. Rola idioty była ponadto zawsze rolą najłatwiejszą do odegrania.

–Jak mógłbyś nas o tym przekonać? – spytał Vella, mając zapewne na myśli pracę dla rządu.

–Mam dowód – Ramsay zeskoczył z siodełka sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki. – To moja legitymacja

z uczelni – powiedział z tak naiwnym przekonaniem, że tamtego dosłownie zatkało. Vella wydawał się inteligentnym

człowiekiem, ale nawet dla niego pancierz durnia okazał się rzeczą nie do przebicia. Obracał w dłoniach

obciążony skórą kartonik nie mogąc uwierzyć własnej myśli, że ktoś mógłby odstawić aż taki cyrk. Społeczeństwo

spektaklu... Wszyscy grali jakieś role, występowali przed publicznością w każdej chwili swojego życia, usiłując

przedstawić się jako zwycięzcy. Nikt nigdy nie mógł uwierzyć, że jakikolwiek człowiek mógłby świadomie

przedstawić się głępszym niż jest. Było w tym coś zadziwiającego. Albo po prostu Ramsay miał talent.

–Dobra – Vella oddał legitymację. – W takim razie ruszamy do Cherryh Point – pokazał otaczającym go ludziom

jakis punkt na turystycznej mapie.

*Przeglądałem tych kilka stron notatek, jakie uczyniłem poprzednio, i nie mogę pojąć, jak w tak krótkim czasie*

*sytuacja mogła zmienić się tak drastycznie. Nie wspominałem, panie doktorze, że rozstałem się z Cadishem po*

*paskudnej katastrofie, która nastąpiła z mojej zresztą winy. Splot przypadków, o którym nie chcę teraz wspominać,*

*sprawił, że zmuszony byłem przystać do grupy dziwnych jeźdźców. Nie byłem tak naiwny, żeby sądzić, że*

*zaprowadzą mnie do żołnierzy, ale sądziłem, że z ich pomocą wydostanę się ze Strefy. Istotnie, wydostałem się...*

*Nomadowie przemykając na swoich cholernych motocyklach wśród drzew, zdołali ująć wszystkim patrolom.*

*Drugiego dnia podróży znaleźliśmy się poza obszarem kontrolowanym przez armię. Ale do cholery... Chryste,*

*jestemy teraz wewnątrz pierścienia, jaki wyznacza Strefa – na terenach zajętych przez ludzi, którzy wyznają wiarę*

*Duckwortha.*

*Jestem przerażony, rozbity, nie mogę skupić myśli. Obozujemy w jakimś lesie – jutro ma nastąpić atak. Nie*

*wiem na co i w jakim celu. Nie wiem nawet, czy mamy być napastnikami, czy ofiarami. Nie wolno palić ognisk,*

*używać latarek ani prowadzić głośnych rozmów. Panuje głód.*

*Nie mogę pisać dalej. Ludzie patrzą na mnie dziwnie, kiedy zaczynam notować.*

Ramsay zapalił papierosa ukrywając żar w rękawie marynarki. Mimo pożyczonego od kogoś koca, którym był

otulony, dokuczał mu coraz większy chłód. Nie mógł zasnąć, ale widział, że nie jest jedyny. Przyzwyczajone do

rozświetlonego tylko księżycową poświatą mroku oczy mówiły mu, że spała może co czwarta osoba. Po chwili żar

zaczął parzyć go w palce. Zduślił niedopałek dziwiąc się, że papieros skończył się tak szybko. Musiał zaciągać się

raz po razie. Czuł, że jeśli teraz z kimś nie porozmawia, resztę nocy spędzi bezsennie, walcząc z narastającymi

myślami. Sunąc na czworakach przebył kilka kroków, o mało nie rozbijając sobie głowy o zaparkowany w krzakach

wielki motocykl.

–Incy, śpisz? – dotknął palcami owiniętego w płaszcz człowieka.

–Nie, do cholery. Nie krzycz tak głośno.

–Czemu wszyscy są tacy zdenerwowani? – Ramsay usiadł obok, opierając się o pochyły pień drzewa. Zauważył,

że tamten wzruszył ramionami.

–To normalni ludzie – rozległ się cichy szept. Poza kilkoma wariatami wszyscy czują to samo co ty przed tym, co

ma jutro nastąpić.

–Co to będzie?

–Zobaczysz.

Zapadła cisza ciążyła mu coraz bardziej. Miał ochotę na następnego papierosa, ale w paczce, którą wycygał

od Velli, zostały już tylko dwa. Tymczasem noc zapowiadała się na bardzo długą.

–Słuchaj... Jak myślisz, co spowodowało, że tak wielu ludzi poszło za tym, co głosi Duckworth? – wiedział, że

taka uwaga, obojętnie czy wygłoszona w zacisznym gabinecie uczelni, czy w leśnej głuszy, musi spowodować

dłuższą dyskusję.

–A co chcesz usłyszeć? – Zdanie pastora.

Tamten roześmiał się cicho.

–Myślę, że Duckworth oferuje ludziom pozbycie się strachu. W perfidny ale i absolutny sposób.

–W jakim sensie?

–Może pamiętasz, to chyba u Lukana występuje taka postać: biedny rybak Amyklas. Żył w takim ubóstwie, że nie miał absolutnie niczego do stracenia. Kiedy Cezar zapukał do jego drzwi, co w tamtych czasach nie należało do faktów zwyczajnych, Amyklas nie wykazał nawet śladu zdenerwowania, wiedział, że nie ma po co go atakować. Zaraz, jak to szło... Jakie świątynie, jakie fortece mogły być równie bezpieczne?

Ramsay potrząsnął głową.

–No i co z tego?

–Duckworth, zabierając swoim wyznawcom dosłownie wszystko, zakazując im jakiegokolwiek własnej inicjatywy, stawia ich w sytuacji Amyklasa. Nie mają o co się bać.

Z góry dobiegł głos jakiegoś nocnego ptaka. Kilka otaczających ich osób poruszyło się niespokojnie.

–Myślę, że ze strachem masz rację, ale w zupełnie innym sensie.

–Tak?

–Sądzę, że sprzyjały mu pewne ogólne prawidłowości kultury europejskiej, zwanej później kulturą Zachodu. Duckworth wzoruje się na rozwiązaniach wypracowanych przez religię jeszcze w średniowieczu lub nawet wcześniej.

–No tak, ale sytuacja ludzi w średniowieczu była zasadniczo inna niż dzisiaj. Między czternastym a siedemnastym wiekiem nastąpiła taka akumulacja agresji, taki dopust wojen, rabunków, klęsk zarazy, głosu i żywiołów, że doprowadziło to do prawdziwego szaleństwa rozpacz, do głębokiego zachwiania równowagi psychicznej społeczeństw, które wypełniały obraz rzeczywistości coraz bardziej chorobliwymi urojeniami. Jean Delumeau używa wprost określeń: *kraina strachu i umysłowość obłąkanego*.

–Akurat to samo mamy dzisiaj. Spójrz na pierwszą lepszą gazetę: totalna zagłada, szalejące zarazy, chyba dla niepoznaki nazywane nieuleczalnymi chorobami, rak dziesiątkujący ludzi, ciągłe kryzysy, terroryzm – podsycany zresztą przez wyznawców Duckwortha, zatrucie, zniszczenie, nieustanne stresy, niedostosowania, alienacje...

–Dość – przerwał mu Sprenger. – No więc mamy społeczeństwo równie podatne jak w średniowieczu. I co z tego?

–Mamy więc następującą sytuację: i wtedy, i teraz panują całkowicie realne lęki. Na płaszczyźnie rzeczywistej nikt nie jest w stanie ich opanować. Ale tak jak można wyleczyć raka poprzez wszczęcie do organizmu raka jeszcze bardziej złośliwego, który wraz ze zdrowymi tkankami pochłonie i poprzednika, tak samo można postąpić ze strachem. W miejsce lęku rzeczywistego można podstawić lęk większy, lęk nierealny. Nie jest już ważne, co stanie się z tobą w życiu doczesnym, przede wszystkim obawiać się należy życia wiecznego. Rzeczywiste cierpienie i ból cielesny powinny budzić mniejszą groźbę niż grzech jako droga do piekła. Duckworth korzysta z tego samego mechanizmu.

–No dobrze, mamy wpajanie winy – Sprenger potarł brodę. – Jak mówisz, duszpasterstwo strachu podstawia lęk wyimaginowany w miejsce naturalnego?

–Tak. A na ten strach wyimaginowany – mamy już lekarstwo. Potrafimy go zmniejszać i łagodzić czy poprzez praktyki religijne, czy przez to, co każe robić ludziom Duckworth. Osoby, które to potrafią, automatycznie skupiają w rękę władzę. Wokół nich gromadzą się ludzie gotowi zapłacić podporządkowaniem za roztaczane wizje przyszłego odkupienia, za wyimaginowaną pomoc.

–Jednak samo wprowadzanie pocieszających czy niosących ukojenie mitów nie może sprawić, żeby ludzie zaczęli skupiać się wokół artykułującej je jednostki.

Ramsay złamał się jednak i zapalił przedostatniego papierosa. Kilka osób syknęło, kiedy ogień wydostał się na moment z okrywającego go rękawa.

–Masz rację – powiedział zaciągając się dymem. Dlatego potrzebne jest jeszcze coś. Coś, co zachwieje ufnością jednostki wobec samej siebie.

–Ach – Sprenger splótł dłonie. – A więc pojawia się Szatan.

–Właśnie. Piekielnie sprytny demon wziął się na rodzaj ludzki i każdy mógł znaleźć się w jego władzy. I tu powstaje lęk przed samym sobą. Skoro nie zgadzam się z dogmatami, skoro nie przyjmuję głoszonych prawd, to być może nie jest to mój własny wybór – może kieruje mną Szatan. – Ramsay zaciągnął się lekko, chcąc zachować papierosa jak najdłużej. – Nie wolno mi być pewnym własnych myśli, własnego sumienia. Tak tworzy się kolejny lęk, lęk przed samym sobą – kolejne pociągnięcie sprawiło, że zaczął kaszleć. Podciągnął nogi pod siebie i opatulił się bardziej kocem. – Zachwianie tej podstawowej pewności może oczywiście doprowadzić do psychicznej dezintegracji, ale tu właśnie znowu otwiera się pole do działania dla twórcy mitu, który może to wszystko okiełznać, złagodzić... Ale biorąc coś w zamian.

–Dobrze, w średniowieczu był Szatan – Sprenger spojrzał wprost na prześwitującą między koronami drzew tarczę księżycy. – A co mamy u Duckwortha?



Ramsay, zajęty gaszeniem swojego papierosa w taki sposób, żeby można było potem jeszcze wykorzystać resztę, odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

–Nie wiem.

Sprenger uśmiechnął się tajemniczo.

–To dość prosta interpretacja.

–Masz inną?

–Tysiące. Ale nie o to mi chodzi – urwał, przez dłuższy czas zastanawiając się nad czymś. – Usiłujesz znaleźć rozwiązanie wyłącznie racjonalne.

–A jakie inne można? Znowu tajemniczy uśmiech.

–Może Duckworth znalazł jednak swojego Boga. – Jakiego? – Ramsay spojrzał na tamtego uważnie.

–Och, nie wiem. Na przykład u Stacjusza w *Tebaidzie* jest wzmianka o pewnej anonimowej sile, o Bogu, którego imienia nie można wymówić, którego imienia nie wolno nawet znać.

–Przecież to było jakieś nieporozumienie. O ile pamiętam, to był zwykły błąd u następców wzorujących się na Stacjuszu...

–Chodźmy spać – przerwał mu Sprenger. – Chyba nie mówiłeś poważnie?

–Naprawdę spróbujmy zasnąć – Sprenger ułożył się wygodniej poprawiając poły płaszcza. – Czeką nas ciężki dzień.

*Piszę leżąc w zaroślach na skraju lasu. Dowiedziałem się wiele. Nie mamy benzyny ani żywności i dlatego zaatakujemy małe miasteczko czy wieś (kilkanaście czy kilkadziesiąt domów) leżące przed nami. Wbrew pozorom nie jest ono zamieszkałe przez wyznawców Duckwortha, podobno ci ludzie zostali tu tylko dlatego, że nie objęła ich Strefa.*

*Jestem potwornie głodny, trzęsę się z zimna i strachu, a z niewyspania zamiast głowy mam kłęb waty. Pieką mnie zapuchnięte oczy. Wiem, że wyglądam śmiesznie z ogromną dubeltówką, którą ktoś wetknął mi do rąk.*

*Nie mam pojęcia, co będzie dalej.*

Kilka sielankowych ulic między drewnianymi budynkami, szarymi w rozproszonym świetle przedświt, tonęło we mgle. Białe, gęste opary zajmowały praktycznie całą dolinę, toteż wszystkie drzewa, budowle czy martwe teraz rolnicze maszyny wyłaniały się z niej niczym ruiny starożytnych świątyń z opadających wolno wód jakiejs monsturalnej powodzi. Główna ulica czy może droga (nie sposób było określić nawierzchni) ginęła wśród wijących się na peryferiach płotów, jakby przejrzystych w zawiesinie mikroskopijnych, białych kropelek, by pojawić się nagle na niewielkim wzgórzu zajętym przez kilka drewnianych domów.

Nomadowie zaszyli się w lesie dokładnie po przeciwnej stronie. Najprawdopodobniej nikt nie układał żadnego planu, z ustawienia maszyn wynikało jednak, że wąski klin napastników ma wbić się między zabudowania i przestrzelić je główną arterią. Ramsay, przydzielony (jeśli można nazwać przydzieleniem skinienie ręką przez kierowcę) do jednego z jeepów, zastanawiał się, w jaki sposób ludzie zamierzają w tak niewielkiej odległości od osady zapalić jednocześnie przechłodzone w nocy silniki i ruszyć do ataku nie tracąc efektu zaskoczenia. Zapytał o to kierowcę, ale Lyne tylko wzruszył ramionami.

–Zobaczysz – mruknął. – Sprawdź broń.

Ramsay bez przekonania otworzył komorę naboju dubeltówki. Żeby sprawić dobre wrażenie spojrzał pod światło w obie lufy – wydawały się czyste, ale nie był w stanie stwierdzić, czy nadają się do otrzymanych naboju. Wyjął z kieszeni dwie ciężkie brenneki i wsunął w odpowiednie miejsca, zatraskując zamek. W tej chwili Vella podniósł rękę.

–Mamy dzisiaj piękny dzień – jego słowa wzmocnione przez głośnik musiały być doskonale słyszalne w dole. – Może urządzimy sobie zabawę? Może pokażemy komuś naszą sztukę?

Ramsay zauważył, jak skacze na starter. Ryk uruchamianego silnika zagłuszył na chwilę wszystkie inne dźwięki. Vella zwiększył moc swojego wzmacniacza.

–Zapalać! – ten zwielokrotniony mocą wzmacniacza krótki rozkaz, jak grzmot, przetoczył się nad uspioną doliną.

–Chryste, nie będzie zaskoczenia – pomyślał Ramsay. – To atak psychologiczny.

–Hej, tam na dole – rozległ się czyjś zniekształcony przez zdezelowaną aparaturę głos. – Mamy dla was specjalne przedstawienie.

Wycie rozgrzanych silników i pomieszane okrzyki wielu ludzi unosiły się teraz nad całą pogrążoną we mgle krainą. Ramsay usiłował wyobrazić sobie, co czują wyrwani ze snu mieszkańcy osady.

–Uwaga, nadchodzimy!

Wycie gazowanych na jałowych biegach silników zmniejszyło się na moment. Ława jeźdźców ruszyła, powoli wyłaniając się zza pasa drzew.

–Hej, pokażcie im, gdzie ich miejsce!

Ryczące maszyny przyspieszały na łagodnym, pokrytym trawą stoku. Umilkły wszelkie okrzyki. Narastający mechaniczny warkot zdawał się pochłaniać wszystkie inne dźwięki, panować nad pogrążoną w bezruchu doliną, biorąc w posiadanie zamarły krajobraz z łatwością równą tej, z jaką ciekły hel zamrażał wrzucone doń żdźbło.

Ramsayowi wydawało się, że ryk obejmuje we władanie umysły pędzących z coraz większą szybkością ludzi. Pierwsze zabudowania były coraz bliżej. Ktoś z boku nie wytrzymał rosnącego napięcia i wyrwał się do przodu. Nierówny klin rozerwał się jeszcze na zboczu tak, że między niskie budynki motocykliści wpadali w niewielkich grupach. Okrzyki rozległy się z nową siłą. Ktoś odpalił pocisk z granatnika, skądś z boku dobiegły karabinowe strzały. Jeep Ramsaya wpadł między jakieś garaże, zdruzgotał drewniany płot i wydostał się na główną ulicę. W niesamowitym pędzie minęli przewrócony motocykl i leżącego przy nim człowieka. Obrońcy strzelali do nich spoza ledwie uchylonych okiennic. Główna fala ataku była już dalej – z gęstniejącej wraz z odległością mgły wyłaniał się jedynie jaskrawy płomień miotacza ognia. Natężenie wystrzałów rosnęło z każdą chwilą. Ramsay, jak zahipnotyzowany, przyglądał się opętańczym scenom rozgrywającym się w bocznych uliczkach. Manewrujące w gęstym mleku maszyny zderzały się i rozchodziły ze zgrzytem giętych blach, masakrowały barierki flankujące podjazdy, rozwalały stosy skrzynek, kubłów i butelek zgromadzonych przy rogach budynków. Motocykliści pochylali się w siódłach, unikając rozpiętych na wysokości szyi drutów. Ich sylwetki rozplywały się w kłębiastym oparze, który to gęstniał, to rozpraszał się trochę, pozwalając w kolejnych odśłonach dostrzec choć cienie, choć ślady konturów. Kryjąc okna ogniem broni maszynowej nomadowie szarżowali w najmniej prawdopodobnych kierunkach. Nie istniał żaden plan, żaden zorganizowany atak. Toczące się według onirycznych prawideł walki odbywały się jakby według założeń jakiegoś paranoicznego scenariusza teatralnej sztuki. Zagubieni ludzie nie tworzyli już zwartej gromady. Oczy podrażnione niemożnością skupienia na czymś stałym, wyrwującym się spod władzy wszechobecnej bieli, piekły i łzawiły, nie pozwalając dostrzec niczego poza odosobnionymi pojedynkami toczonymi pomiędzy jeźdźcami a niewidzialnymi duchami. Skojarzenie z niesamowitym, zrodzonym w na wpół uśpionej, zamroczonej narkotykami wyobraźni widowiskiem przybierało na sile. Pędzący rozchybotanym jeepem Ramsay miał wrażenie, że mgła wciska się do jego umysłu, zwiększając napór z każdą chwilą. Mijane domy składały się tylko z parterów. Piętra nikły w niebie, które chciało dotknąć ziemi, tworząc nieprzeniknione, białe sklepienie już na wysokości kilku metrów.

–Patrz!

Nagły okrzyk tuż przy uchu wyrwał go z odrętwienia. Ramsay odwrócił głowę widząc, jak Rudi Schirmer wyjeżdża na chodnik i mknie tuż przy rozjarzonej ogniem ścianie. Ale ręka Lyne'a wskazywała inny kierunek.

–Fryzjer!

Miał wrażenie, że z przodu, z płonącego domu wyskakuje człowiek w samej bieliźnie, Schirmer uniósł się nad siodełkiem wyciągając rękę.

–Patrz teraz!

Motocyklista parł wprost na uciekającego człowieka, jego dłoń na moment dotknęła głowy tamtego. Maszyną targnęło w bok, ale Schirmer opanował ją ruchem opartej na kierownicy ręki. Druga zatoczyła w powietrzu łuk unosząc półnagiego człowieka.

–Wiesz... – Lyne wariackim skrętem przyhamował przy stacji benzynowej, ale rozbite dystrybutory powiedziały mu, że nie ma tu czego szukać. – Wiesz, dlaczego fryzjer?

Kula z myśliwskiej strzelby rozbiła im reflektor.

–Po czymś takim zostaje w ręku... – gwałtowny skręt i znowu hamowanie przy innym jeepie – garść włosów! Lyne wyskoczył z samochodu dołączając do ludzi skupionych przy rozbitych drzwiach jakiegoś warsztatu.

–Macie coś? – zajrzał do środka, by zaraz odwrócić się znowu. – Warren, wysiadaj do cholery! Tu jest benzyna!

Ramsay chwiejnym krokiem podszedł do ludzi wywracających spore, stulitrowe beczki. Z mgły co chwilę wyłaniał się kształt pędzącego jeźdźcy i niknął zaraz w zniekształcającej huk, nieprzenikalnej zawieszynie.

–Trzeba je zatoczyć do maszyn!

Krążący po placyku przed warsztatem motocykliści usiłovali osłonić ogniem grupę przy beczkach. Ramsay naparł na najbliższą z nich. Z tyłu uderzyła ich następna, zmuszając do skoku w bok. Czuł, że gubi się w porywających go, szalonych wydarzeniach.

–Hej, tu są konserwy! – Parks, nie wyhamowując rozpędu, wjechał do małego sklepiku. Z wnętrza dobiegła ich seria z automatu i głośnie przekleństwa.

Kilka beczek potoczyło się w dół ulicy, inne, pchane zbyt mocno wpadały jedna na drugą i blokowały się wzajemnie. Kilku mężczyzn ładowało je na samochody, ale pod ogniem myśliwskich karabinów szło im to niezbyt składnie.

–Pomóżcie nam, do cholery! – Lyne krzyczał do krążących na placu motocyklistów, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Oba jeepy nie były wyładowane nawet w połowie. – Szybciej!

Jakiś motor wyrznął w ich samochód zrzucając to, co zgromadzili do tej pory. Kierowca stając na jednej nodze przestawił swoją maszynę i pognał dalej, nie zadając sobie trudu, by spojrzeć do tyłu. Parks z hukiem przeciążonego silnika wyskoczył ze sklepu. Przednim kołem zawadził o jedną z toczących się po ulicy beczek, która pękła z trzaskiem, zalewając benzyną wszystko wokół.

–Szlag! – głośnie przekleństwa z trudem przebijaly się ponad ryk silnika. – Zwiewajcie stąd!

Ramsay z kilkoma osobami władował następną beczkę na tylne siedzenie ich samochodu.

–Jazda stąd! Szybko!

Kule padały niebezpiecznie blisko. Ostry zapach rozlanej benzyny drażnił rozognione wysiłkiem płuca. Lyne szarpnął kluczykiem w stacyjce, ale mimo jęklivego odgłosu startera silnik nie chciał zaskoczyć. Pierwszy samochód już ruszył, niknąc szybko we mgłę przemieszanej z dymem. Lyne ponowił próbę. Jakiś motocykl władował się w ścianę najbliższego budynku. Kask spadł z głowy leżącego, ukazując przestrelone czoło.

–Do jasnej cholery!... – Lyne szarpał kluczykiem, patrząc, jak pozostali jeźdźcy znikają w wylocie bocznej ulicy. Obrońcy strzelali coraz celniej.

–Zwiewamy! – jazgot rozrusznika zamierał wraz z wyczerpywaniem się energii akumulatora. Lyne przerzucił nogi przez burtę jeeпа. – Spróbuj biec na wzgórze...

Ramsay wyskoczył na zewnątrz. Biegł przed siebie, w panice usiłując się wydostać z przesiąkniętego paliwem miejsca. Kątem oka zauważył, jak Lyne rzuca za siebie zapaloną szmatę. Runął na ziemię w oczekiwaniu eksplozji, ale huczące morze płomieni nie ogarnęło jeszcze samochodu. Wstał szybko, opierając się na swojej strzelbie. Wiedział, że na głównej ulicy nie ma żadnych szans. Mgła, będąca po części jego sojuszniczką, uniemożliwiała jednak zorientowanie się w okolicy. Poruszał się jak zamknięty w sunącej wraz z nim szarej kopule, pozwalającej patrzeć tylko na rzeczy najbliższe, których fragmenty pojawiały się w jej granicach. Oczy bolały go coraz bardziej od ponawianych przez soczewki akomodacyjnych wysiłków, by skupić się wreszcie, oprzeć na czymś, co nie płynęło, nie ginęło za drażniącym do granic wytrzymałości półprzepuszczalnym filtrem. Zataczając się skręcił w wąski przesmyk między budynkami. Potem skręcił jeszcze raz, wydostając się na boczną drogę. Tuż przed nim przemknął jakiś motor, potem drugi.

–Skacz! – ostatni z motocyklistów, goniony przez tyralierę obrońców zwolnił trochę, kiwając ręką. Ramsay ruszył za nim, ale od razu zdał sobie sprawę, że nie zdoła dobiec. Tamten jechał zbyt szybko, żeby ryzykować skok na siodełko. Ramsay runął w bok, wybijając plecami jakieś okno. Nie odzyskał już równowagi. Wraz z werblem opadających odłamków szkła wtoczył się do niewielkiego pokoju. Dopiero po chwili zauważył dwie kobiety skulone pod ścianą. Jedna z nich obejmowała dziecko. Obie patrzyły, zdawało się, bardziej zdziwione niż przestraszone, na surrealistycznie wyglądającego mężczyznę w ciągle jeszcze dość czystym garniturze i nienagannie zawiązanym krawacie, który wstał z podłogi mierzając do nich z dubeltówki.

Ramsay rozejrzał się wokół potrząsając głową, bo przez chwilę wydawało mu się, że jest na tonącym okręcie. Puszyste, jasne kłęby, które wlewały się do ciemnego pokoju przez wybite okno, przypominały kaskady wody zalewające w zwolnionym tempie kajutę. Otrząsnął się częściowo, słysząc dobiegające z zewnątrz okrzyki. Ciągle nie mogąc pozbyć się wrażenia snu, ruszył w kierunku drzwi. Przebiegł wąski korytarz, jakiś skład, i przez zatarasowane do połowy workami z piaskiem przejście wypadł na zewnątrz. Niewielka, równoległa do poprzedniej, uliczka była pusta. Ruszył wzdłuż odrapanych ścian, słysząc coraz bardziej odległy warkot motorów. Biegł jak pijany, nie mogąc na niczym skupić wzroku. Gęstniejący dym z płonących budynków kładł się nisko, dławiąc oddech i sprawiając, że musiał połykać łzy z podrażnionych oczu.

Dopadł najbliższego skrzyżowania, odruchowo skręcając w bok, kiedy zatrzymały go bliskie strzały. Na środku drogi leżał przewrócony motocykl i przywalona nim dziewczyna. Ciągle widział wszystko jak przez matowy, zniekształcający filtr, więc kilkakrotnie zacisnął i otworzył powieki, jakby chciał pozbyć się otaczających go ruchomych zasłon z jasnego muślinu. Skoczył do dziewczyny, jednym szarpnięciem wydobywając drobne ciało spod wielkiej maszyny. Idris Palmer miała zagryzione do krwi wargi, nie mogła otworzyć ust. Ruchem głowy wskazała mu przeciwną stronę ulicy. Nie musiała tego robić.

Polegając bardziej na słuchu niż na oczach, można było zlokalizować zbliżającą się powoli grupę najprawdopodobniej uzbrojonych ludzi. Ramsay rzucił się na ziemię tuż za motocyklem.

–Co ci jest? – wycelował swoją broń, ale odległość była za duża.

–Ręka... – krew pociekła jej z ust. – Mam złamaną rękę.

–Trafili cię?

–Nie... – usiłowała unieść się na kolana. – Dostałam jakimś drągiem... Może drutem. Nie wiem.

Sycząc z bólu, lewą ręką odsłoniła ukrytą pod kurtką potężną kaburę. Jej palce nie mogły zacisnąć się na kolbie.

–Byłam zasłonięta, ale...

Mężczyźni byli już bardzo blisko. Nie posuwali się dalej, zamierając każdy na swoim stanowisku, we wnękach i wgłębieniach przeciwnielegiej, elewacji. Ramsay ściągnął spust. Pierwsza kula dość miękko weszła w ścianę nad głową najbliższego napastnika. Druga trafiła w osłaniającą go deskę. Pocisk typu brenneka rozbił ją w drzazgi i lekko spłaszczony uderzył w tamtego z taką siłą, że bezwładne już ciało poleciało do tyłu masakrując umieszczoną tam drewnianą balustradę.

Ramsay złamał strzelbę, ale wyrzutnik nie zadziałał prawidłowo. Obie łuski jak wprasowane tkwiły w wylotach komór. Usiłował podważyć je paznokciem, ale tamci również składali się do strzału. Zdesperowany odrzucił broń i wstał szybko unosząc motocykl. Huk kilku wystrzałów zmieszał się z brzękiem rozbijanych szyb. Skacząc na dźwięnię startera czuł, że to koniec.

Idris jęcząc z bólu uniosła się na nogi. Zębami odciągnęła suwadło małego pistoletu maszynowego, który chwiał się w jej dłoni. Jednak seria, mimo że posłana na oślep, sprawiła, że tamci na moment schowali głowy.

–Chodź! – wrzasnął dodając gazu.

Dziewczyna skoczyła w momencie, kiedy puszczał sprzęgło. Motor runął do przodu tańcząc na tylnym kole, jakby chciał wyrwać się spod władzy człowieka. Idris, przewieszona przez jego kolana, krzyczała z bólu coraz bardziej utrudniając panowanie nad szalejącą maszyną. Ramsay wiedział, że nie zdąży skryć się we mgle, zanim tamci znowu złożą się do strzału. Zdesperowany skręcił w bok, rozbijając sięgające poziomo ulicy wystawowe okno. Maszyna z rykiem wtoczyła się do wnętrza sklepu, rujnując rząd wieszaków z nikomu nie potrzebnymi ubraniami. Opleciony zwojami różnokolorowych materiałów Ramsay, kierując się wyłącznie odruchami, wyskoczył przez otwarte drzwi na główną ulicę. Nie wiedział, co się dzieje. Parł do przodu, starając się utrzymać mniej więcej po środku jedynych jako tako dostrzeganych rzeczy szerokich gzymsów wieńczących budynki po obu stronach ulicy. Strugi rozmazanego mleka, jakie miał nad głową, przyparowały o klaustrofobię. A jednocześnie miał wrażenie, że szybuje w obłokach: Czekając na bardziej niż pewne zderzenie z trudem powstrzymywał się od zamknięcia oczu.

–Zdejmij te cholerne ciuchy! – krzyknął.

Idris musiała zrozumieć go opacznie. Na przemian jęcząc, to zagryzając krwawiące wargi, rozpaczliwie balansując obolałym ciałem, zdjęła z trudem swoją własną kurtkę, a i to tylko z jednego ramienia.

Ramsay kłął, usiłując strząsnąć krępujące go ubrania. Bał się, że powiewające za nim rękawy w końcu wkręcą się w wirujące z niesamowitą szybkością szprychy kół. Gęstniejąca mgła powiedziała mu, że opuścili już zabudowany teren. Mknął teraz drogą między opłotkami w kierunku niewielkiego skupiska płonących już domów na wzgórzu poza osadą. Otaczające go, białe jednorodne pole łamane było przez wyłaniające się z niego coraz częściej korony okalających drogę drzew. Teren wznosił się w górę.

Zwolnił słysząc coraz bliższy ryk kołujących maszyn. Skądś z tyłu dobiegały go pojedyncze wystrzały. Delikatnie nacisnął hamulec chcąc zapobiec "nurkowaniu" maszyny. Wolną dłonią oswobodził wreszcie twarz.

–Niezły numer... Cholera, to naprawdę niezły numer – stojący z boku Sprenger i DeLuca podskoczyli, żeby pomóc im zsiąść.

–Ty naprawdę jesteś niezły – DeLuca przytrzymał oszołomioną dziewczynę.

Ramsay rozejrzał się nieprzytomnie. Z tyłu, w widocznej teraz dużo lepiej dolinie, płonęło kilkanaście budynków. W dole widać było tylko ich czerniejące dachy. W rozgorączkowanym umyśle Ramsaya przyjmowały fantastyczne kształty, tkwiące tam niczym wierzchołki gór zanurzone w rozświetlonym piorunami morzu. Skłębione dymy strzelały sinymi kolumnami w górę, jak stężone smugi spalin gigantycznych rakiet, które wzbily się ponad powłokę chmur.

Oszołomiony odwrócił głowę. Na szczycie wzgórza, na małym placu między płonącymi budynkami, kilkunastu jeźdźców krążyło wokół ustawionych centralnie postaci. Wśród stojących rozpoznał Vellę, Schirmera i kilku innych gestykulujących przed trzymanymi pod bronią mieszkańcami. Ich strój wskazywał, że większość stanęła do walki prosto z łóżek.

–Cholera, co tu się dzieje?

–Gramy sztukę – Sprenger ruszył w stronę środka placu.

–Co?

–Gramy sztukę – pastor spojrzał przez ramię. Mówiłem ci, że nomadowie to także coś w rodzaju trubadurów.

Ramsay chwycił potrząsającą głową Idris, powstrzymując ją od upadku na ziemię. Pomógł jej usiąść, ale zafascynowany patrzył ciągle w stronę, skąd przez nieustający ryk silników dobiegały go urywki słów. Tylko czasem mógł je złożyć w całe zdania.

–Twoja moc nie sięga tak daleko, Merlin – twarz Velli, zdawało się, zmieniała ciągle swój wyraz w świetle otaczających ją płomieni. – Lancelot rozpocznie... zagłuszyło go kilka strzałów od strony osady – świętego Graala.

–Nie jesteś w stanie uwolnić się od paraliżującego cię strachu – głos Schirmera był znacznie silniejszy. Obezwładniające cię przerażenie, choroba ciemności ogarnie cię, zanim Kielich Tajemnicy zniszczy ukryte przekleństwo...

–Są coraz bliżej – DeLuca oderwał od oczu lornetkę, wskazując leżące w dole zabudowania. – To kontratak!

–Czy macie benzynę? – krzyczał ktoś od strony zaparkowanych z boku maszyn. – Rozlewać ją wreszcie! – Znalazłeś konserwy w tej szopie? – jakiś człowiek dźwigający wypchany worek przewrócił się popchnięty przez tłoczących się przy beczkach z benzyną ludzi. Ktoś inny, opatrujący kilku rannych, wołał o bandażę.

–Doznaliśmy najbardziej przejmującej. z możliwych wizji – recytował Parks. – Musimy zrozumieć, że żadna z rzeczy nie jest już taka sama. Wszystko odmieniło się uderzając grzmotem w świat, jaki znaliśmy...

Gdzieś z boku rozgdał się karabin maszynowy, śląc w dół serię za serią.

–Samotność! Tragiczne zagubienie wśród bagien ludzkości, brak oparcia, brak kierunku... – Schirmer urwał nagle zastygając w teatralnym geście.

–Merlin, do jasnej cholery – Vella wycełował w niego dłoń. – Posłuchaj, co mówi Keu!

–To jakaś wolna interpretacja – Ramsay nie mógł otrząsnąć się z szoku.

Głosy aktorów mieszały się z okrzykami idących do ataku z dołu mieszkańców miasteczka i wrzaskami nomadów. Tylko mający stanowić publiczność jeńcy stali cicho, usiłując zapanować nad swoim przerażeniem.

–Idris, co z twoją ręką?

–Jest złamana – dziewczyna ostrożnie podwijiała ciasny rękaw.

–Możesz poruszać palcami? – ujął jej dłoń czując, że jego własne ręce drżą coraz bardziej. – To tylko stłuczenie – nie był oczywiście pewny swojej domowej medycyny, ale chciał ją pocieszyć.

–Psiakrew, to kontratak! – DeLuca złożył się ze swojego karabinu i ściągnął spust. Widoczne już wśród rozmazanych w perspektywie płotów i murów postacie były coraz bliżej. – Wygniotą nas.

Krążący po placu motocykliści w pędzie wymieniali się pękatą butelką, z której każdy pociągał parę tyków. Przerażone twarze stanowiących widowię jeńców były zwrócone wyłącznie w stronę wycelowanej w nich. broni.

–Nikt nie zdoła powstrzymać moich rycerzy – krzyczał Vella. – Dany nam czas dopełni się zgodnie z przeznaczeniem!

–Benzyna! Dawać ją tutaj! – krzyczano z boku. Ramsay podarł jedną z wciąż oplatających BMW Idris koszul i mocno zabandażował jej puchnącą rękę. Z jakiegoś paska zrobił prowizoryczny temblak. Kilku ludzi tańczyło przy muzyce z małego magnetofonu. Inni, skupieni wokół nich, przekrzykując się wzajemnie, opowiadali o swoich przygodach podczas ataku.

Kilka kul uderzyło w dźwigary płonącego budynku. Ogromna belka runęła na ziemię, roznosząc wokół snopy iskier. DeLuca strzelał do biegnących drogą na wzgórze sylwetek. Gryzący dym przysłaniał je coraz mocniej.

–Ładować beczki na furgonetkę... Psiakrew! – rosły brodacz runął podcięty przez jednego z zajętych grą aktorów.

–Zaraz tu będą – DeLuca spojrzał do tyłu, żeby upewnić się, gdzie zostawił swój motor.

–Twe wróżby nie mają znaczenia. To sir Galahad zobaczy okaleczonego Króla Rybaka... – Parks urwał w pół zdania, popchnięty przez kogoś z grupy dzielącej się łupem wywleczonym z jedynej nietkniętej jeszcze szopy.

Merlinie, pokaż! Pokaż mi swoją moc! – krzyknął Vella.

Grający Merlina Schirmer wyszarpnął z kabury rewolwer.

–Dobra! – wywijał bronią. – Zobacz jaka fajna moc! Co?

Sprenger i kilku innych wskoczyło na siodełka uruchamiając swoje maszyny. Ramsay posadził Idris z tyłu, sam zajmując miejsce za kierownicą. Ludzie wokół biegali we wszystkich kierunkach klnąc i wpadając na siebie. Coraz mniej strzelców broniło stoku przed kontratakiem.

–Szybciej, jazda stąd! – DeLuca również wskoczył na swojego Harleya.

Początkowo kilkunastu jeźdźców w małych grupach skupiło się przy wylotowej drodze. Strzały nadbiegającej odsieczy były coraz celniejsze. Ktoś upadł draśnięty w ramię, ktoś kopał swój przestrzelony motor. Parks zapomniał tekstu i aktorzy zamarli każdy na swoim miejscu. Jedyne Schirmer kartkował wyciągniętą z kieszeni książkę.

–Ruszamy. – Powiedział Vella. Leniwie ruszył w stronę swojej Hondy. – Ałe daliśmy im popalić.

Śmiech otaczających go ludzi mieszał się z przynaglającymi okrzykami.

–Nie wyłazić do przodu! – okrzyk Schirmera powstrzymał najbardziej nerwowych od ucieczki, zanim jeszcze wszyscy zajęli swoje miejsca.

Vella skinął głową. Fala jeźdźców runęła w dół po drugiej stronie wzgórza. Tylko część z nich w asyście ocalałych samochodów pędziła drogą. Większość skupiła się na wąskich, prowadzących przynajmniej z początku równoległe ścieżkach, reszta rozpędzała się na zdradliwych we mgle polach.

Ramsay dodając gazu obejrzał się w stronę pustoszejącego placu. Nie pilnowani przez nikogo jeńcy rozbiegli się we wszystkie strony. Wzmocnione przez głośniki okrzyki nomadów były słyszane jeszcze długo po tym, jak sami znikli w białawym oparze.

Twarze siedzących wokół ogniska nie wyrażały absolutnie niczego. Przygasające płomienie były jedyną rzeczą wyłamującą się z panującego wokół bezwładu. Nieruchawe ręce, nogi, tułowia, nieruchome oczy wpatrzone ciągle w ten sam punkt... Geometria zastygłego w wieczornej, bezwietrznej ciszy krajobrazu obejmowała we władanie również ludzi. Żadnego nie dochodził szmer nawet najcichszych rozmów, najmniejszych poruszeń. Zaparkowane byle jak i byle gdzie, martwe teraz maszyny zdawały się współgrać z tym, co działo się w umysłach ludzi. Ich jakby zatopione w jakimś przezroczystym, szybko krzepliwym tworzywie cylindry, masywne tłoki, wychłodzone tłumiki i rury wydechowe, skute lodem skrzynie biegów i pociemniałe reflektory przywodziły na myśl labirynt archeologicznych wykopalisk, który odsłaniał szkielety starożytnych skamielin. Zamarte powietrze swym niewidzialnym ciężarem przytaczało wszystko, jakby biorąc odwet za to, że rano musiało wyć i jęczeć rozdzierane tysiącami kiloniutonów zamienianych w ruch i prędkość. Oświetlonych nikłym poblaskiem ognia twarzy nie ożywiało żadne skrzywienie, żadna zmarszczka mogąca być wyrazem, że w środku nie wszystko jeszcze wygasło.

Ramsay pół leżał, pół siedział obok maszyny Sprengera, usiłując nie myśleć o rozpaczliwym ssaniu w żołądku. Głód sprawiał, że jego wyobraźnia uporczywie krążyła wokół wspomnień nie uczt już nawet, ale zwykłych,

normalnych kolacji, które przyrządzał sobie o tej właśnie porze. Tylko jedno pragnienie walczyło o lepsze z wizją ociekających keczupem hot dogów – to dziwne, ale przed oczami przesuwaly mu się najwymyślniejsze i najbardziej wyrafinowane reklamy papierosów jakie widział w życiu. Pomagało mu to odwrócić myśli od wydarzeń dzisiejszego poranka. Być może później uporczywie odsuwane wrażenia dopadną go raniąc nie przygotowaną świadomość, teraz jednak chciał tylko spokoju. Wolał uniknąć bezszelestnych zmagania w głębi swojego umysłu i tego wszystkiego, na co musiałby się zgodzić przyjmując fakty do wiadomości. Nie, nie teraz. Jeszcze nie.

Ogarnięty władaniem narzuconego przez otoczenie bezruchu drgnął gwałtownie, kiedy ktoś dotknął jego ramienia. Tuż za nim stała Idris z ciągle obandażowaną ręką, której jednak nie nosiła już na temblaku.

–Nie jest złamana? – spytał. Potrząsnęła głową.

–Chodź – szepnęła.

Pogryzione, opuchnięte wargi nadawały jej twarzy orientalny wyraz. Podniósł się powoli i ruszył za nią w stronę linii, ciemniejących na tle zasnutego białymi chmurami nieba, drzew. Zatrzymali się kilkadziesiąt kroków dalej.

–Przyniosłam ci coś – uśmiechnęła się niezgrabnie, jedną ręką rozwiązując sznurki małego plecaka. Rozerwała papier okrywający niewielki pakunek, który wyjęła ze środka. Zawierał wysokie, wojskowe buty i brezentowe, "lotnicze" spodnie.

–Nareszcie ktoś zadbał o mój katar – uśmiechnął się również.

–Nie wiem... Nie wiem, jak ci to powiedzieć... spuściła głowę. – Myślałam, tam leżąc pod maszyną, że wszyscy mnie opuścili... – skrzywiła się zła na brak odpowiednich słów. – A ty...

–Powiedz mi Idris – przerwał jej łagodnie. – Co tu robi taka dziewczyna jak ty?

Podniosła głowę zaskoczona zmianą tematu.

–Ja... – wzruszyła ramionami. – Zdawało mi się, że mam dość pustki.

–Chyba nie wypełniasz jej tym... – Ramsay machnął ręką mniej więcej w kierunku, gdzie mogła leżeć osada.

–Ta grupa... Ci ludzie, jeśli nawet nie rozwiążą twoich problemów, to pomogą ci od nich uciec. Uciec z dużą szybkością – znowu nieśmiały uśmiech.

–Cholera, chyba nie chcesz powiedzieć, że nic się nie stało. – Był wściekły na siebie, bo niespodziewanie odkrył, że odpychane cały dzień myśli właśnie go dopadły.

–Nie, ale spróbuj poddać się grupie. – Tych wariatów?

–Nomadów.

Ostrożnie, żeby nie urazić owiniętej bandażem ręki, założyła na ramiona paski plecaka.

–Pomożesz mi? Gdzieś w tych krzakach posiałam swój automat.

Zarzucił nowe spodnie na kark, buty związał sznurówkami i zawiesił na ramieniu.

–Ja pójdę ścieżką wprost, a ty tą z boku – podała mu latarkę i krótkofalówkę. – Spotkamy się na polanie.

–Coś ty robiła w tych zaroślach?

–Musiałam związać bandaż z całej siły – szepnęła. – Nie chciałam, żeby wszyscy słyszeli moje krzyki.

Potrząsnęła głową. Latarka miała mocną żarówkę i dobrze ukształtowany reflektor, tak że bez trudu odnalazł wskazaną ścieżkę. Ruszył wzdłuż wydobywanych z mroku ostrym promieniem drzew, o dziwnych, fantastycznie powyginanych konarach. Podniósł do ust krótkofalówkę.

–Słuchaj Idris – przycisnęła guzik nadawania. – Co miałas na myśli mówiąc o poddaniu się grupie?

–Zobaczysz – szum w małym głośniku świadczył, że przestawiła się na odbiór.

–Powiedz.

–Nie jestem dobra w słowach. Poddaj się – po prostu.

Gdzieś między gałęziami zobaczył błysk jej latarki.

–Kosztem wszystkiego?

–Nie. Nomadowie też należą do kultury. Są jej istotnym uzupełnieniem – zadyszała się lekko. Widział, jak idzie kilkadziesiąt metrów dalej jakąś przecinką, a jednocześnie słyszał jej przyśpieszony oddech tuż koło ucha. Przekonasz się.

–Jakiej kultury? – miał ochotę zakląć.

–Naszej.

–Cholera, przecież cała nasza kultura jest już tylko kamuflażem, zasłoną, usprawiedliwieniem, a nie wartością samą w sobie. W momencie, kiedy wiedza dotarła do ogółu, uświadomiono sobie pustkę – brak jakichkolwiek narzędzi służących rozróżnianiu i wartościowaniu. Czuł, że chce mu przerwać, ale trzymał guzik nadawania wciśnięty do oporu. – W świecie, w którym przestało być możliwe rozróżnienie między dobrem a złem, między wojną a pokojem, demokracją a totalitaryzmem, między jednostką a społecznością, kultura służy jedynie zasłanianiu prawdy. Tworzeniu ochronnego pancerza, który nie pozwoli przeniknąć mechanizmu ciągłej wymiany wartości na gorsze...

Potknął się i palce zeskoczyły z przycisku, co dało jej możliwość włączenia.

–A może podałbyś jakiś przykład? Tylko nie wjeżdżaj od razu na wysokie tony, bo tak można mówić godzinami.

–Dobrze. Zakłamywanie rzeczywistości odbywa się już na poziomie języka i najprostszycy pojęć. W tej chwili nie

można już w ogóle prosto mówić – zawieszono na ramieniu ciężkie buty zaczepiły o jakąś gałąź i uderzyły go boleśnie w bok. – Zamienia się wszystkie słowa: zamiast ślepeca jest niewidomy, zamiast głuche go – niesłyszący...

–Chyba nie o to ci chodzi.

–Ludzie boją się pewnych pojęć – kontynuował nie spieszący. – Mimo pozornego racjonalizmu, magia króluje wszędzie. Dawniej ludzie bali się wypowiadać słowa DZUMA, teraz...

–Chyba żartujesz – znowu wykorzystano omsknięcie palca.

–Tak? To powiedz głośno: Chryste, chcę mieć raka! Przełączył się na odbiór, ale głośnik przekazywał tylko szum. Nie dał jej się zastanowić.

–A reklama, a środki przekazu? Już nikt nie oferuje ci żadnej konkretnej rzeczy. Możesz otrzymać tylko obraz, zamiast produktów dostajesz nadzieję, zamiast polityków – ich uśmiech i charakter. Cały świat zalany jest fikcją i... – Tym razem on stracił oddech. – I nie widać granic uludy.

Skołtunione, czepiające się jego nóg zarośla skończyły się nagle odsłaniając niewielką, tonącą w bijącej z chmur delikatnej poświacie, polanę. Idris ukazała się u wylotu drugiej ścieżki z boku. Ruszył w jej stronę.

–Nie można już być pewnym niczego. Znikła nawet różnica między wiedzą a ignorancją...

Dziewczyna zatrzymała się kilka kroków przed nim. Mimo iż stali tak blisko, podniosła jeszcze do ust krótkofalówkę.

–Przezań chrzanić – uśmiechnęła się łobuzersko. Westchnął ciężko.

–Znalazłaś?

Skinęła głową, ale jakoś tak, jakby chciała odebrać temu faktowi jakiegokolwiek znaczenie. Powoli rozłożyła na ziemi swój puchowy śpiwór.

–Mam chyba wobec ciebie dług – tym razem jej uśmiech był nieśmiały. Ramsay bezczelnie oświetlał latarką jej twarz... – A poza tym odkryłam, że cię lubię – przekrzywiła głowę. – Mimo że wygadujesz... machnęła ręką. – Chcesz?

Odruchowo skinął głową, zaskoczony jej propozycją. Jego miejskie wychowanie buntowało się jednak, miał ochotę rozegrać to w zupełnie inny sposób.

Idris stała wyprostowana na lekko rozstawionych nogach, idealnie nieruchoma, z wyprężonym – choć z pozycji, z której na nią patrzył, trudno było to ocenić – kręgosłupem, biodrami wysuniętymi do przodu i wciągniętym przy maksymalnym wdechu brzuchem. Opuściła głowę tak, że brwi przykrywały prawie połowę jej oczu. Powoli, z jakimś wystudiowanym namaszczeniem, wyjęła z kieszeni mały flakonik perfum. Zamoczyła swoje długie palce i przejechała nimi po lewej stronie szyi od ucha do obojczyka, prawą stronę rezerwując dla swojego własnego zapachu. Rozbierała się szybko, ciągle jednak z jakimś nieuchwytnym wyrazem dumy czy niezależności. Przygotowywała się do tego jak wojownik, jak rycerz, który zdejmował swoją zbroję, żeby dać przeciwnikowi równe szanse.

Skostniałe z zimna dłonie Ramsaya z trudem radziły sobie z własnymi guzikami i zamkami. Patrzył na jej podrygujące w takt ruchów, ciężkie piersi, silne, długie uda i skłębiony nie trójkąt nawet, a pionowy pasek włosów, czując narastającą gdzieś w środku irracjonalną złość.

Jednocześnie wskoczyli do śpiwora. Ramsay zasunął zamek, żeby oszczędzić jej obandażowaną rękę. Syknęła, kiedy dotknął jej ciała przeraźliwie zimnymi dłońmi. Przycisnął swe usta do jej opuchniętych warg wiedząc, że sprawia ból, ale w jakiś perfidny sposób cieszyło go to, jakby chciał ukarać Idris za jej babski sposób myślenia... Nie, nie myślenia, może reagowania... Też nie, po prostu za jej... Za to, że jest kobietą taką, a nie inną.

Oddawała mu się z przedziwną prostotą i wyrafinowaniem, ale resztki jego własnego, osobistego pancerza, w jaki wyposażyło go życie w mieście, sprawiały, że nie potrafił jej przyjąć tak naturalnie, jak na to zasługiwała.

Cały czas spięty, wymyślił jakąś karkołomną pozycję, niesamowicie trudną ze względu na krępujący ich śpiwór i jej chorą rękę. Wreszcie zły czy tylko rozżalony zakończył to wszystko, nie mogąc pogodzić się z myślą, że choć okazał się technicznie, żeby nie powiedzieć *technologicznie* dobry, nie potrafił jej dać ani części tego, co ona ofiarowała jemu.

–Będziesz ze mną? – szepnęła, kiedy leżeli już obok siebie próbując wpasować się jakoś w ciasnotę zapiętego śpiwora.

Gest? Czy ona odczuwała to zupełnie inaczej?

–Zostaniemy tutaj? – spytał wymijając odpowiedź. – Nie jest ci zimno?

–Nie.

–Mhm.

Sięgnęła do kieszeni swojej kurtki i wetknęła mu do ust wypalonego już przez kogoś do połowy papierosa. – Ukradłam go.

Wyznała to jak ciężkie przestępstwo, w tak zabawny sposób, że roześmiał się i pocałował ją znowu, tym razem tak delikatnie, jak tylko potrafił.

*Jedziemy teraz przez dziwny, zalewany deszczem kraj milczenia. Kilkakrotnie ostrzelali nas wyznawcy Duckwortha. Nie wolno używać radia ani głośników. Porozumiewamy się językiem gestów podobnym do tej niemej*

mowy, jaka wykształciła się w tajemniczych klasztorach, w których obowiązywała reguła milczenia. Na jednym ze skrzyżowań minęliśmy starą figurę świętego Sebastiana w otoczeniu strzał. Wtedy też, jeden jedyny raz, zaświeciło słońce, dziwny przypadek. Czyżby miała nas ogarnąć zaraza? Przecież strzały przy tej figurze to symbol promieni słońca, symbol zarazy, przed którą ten święty miał chronić, ściągając ją na siebie. Dziwne, że tamci strzelają do nas bez ostrzeżenia. Wydawało mi się, że terroryści to specjalnie wydzielone grupy z członków sekty. Widocznie jednak Duckworth uznał, że działania rządu podjęte przeciwko niemu zaczynają przynosić efekty, i postąpił tak jak hitlerowcy, którzy spodziewając się zwycięstwa odseparowywali organy terroru od zwykłych ludzi, później jednak wszystkich uczynili swymi żołnierzami.

Ostatniego dnia nocowaliśmy w wielkim, na poły zrujnowanym domu zagubionym wśród lasów. Był straszny. Szkoda, że średniowiecze zaginęło gdzieś w mrokach przeszłości. Według ówczesnego prawa mieszkaniac domu, w którym straszy, miał prawo nie płacić czynszu. Sprenger, ten niesamowity pastor, wygłosił rano modlitwę: "Panie Boże, nie jestem zadowolony z tego noclegu. Przecież prosiłem o inny. Kiedy następnym razem z czymś się do Ciebie zwrócę, mam nadzieję, że obędzie się bez zbędnych reklamacji... Aha, nawiasem mówiąc, kończy się nam benzyna. Amen.

Rzeczywiście gonimy resztkami paliwa zdobytego w osadzie na granicy kordonu. Ale to nieważne. Poddaję się monotonii pędu, zauważając ze zdumieniem, że opadają ze mnie wszystkie miejskie przyzwyczajenia. Nie staram się niczego planować. Kraj ciszy roztaczający się wokół sprawia, że wszystkie wytłumione dawniej części mojej osobowości wydobywają się nagle z głębokiego snu, czuję, jak coś rodzi się we mnie, coś nowego, a może tylko przyczajonego od lat w miejskiej szarpaninie. Chyba trochę się boję. To coś, co tkwi we mnie i jeszcze nieśmiało usiłuje ogarnąć całą resztę, każe mi poważnie zastanawiać się nad rzeczami, których dawniej nie uznałbym w ogóle za godne uwagi. Rano Rudi Schirmer, jeden z twardszych ludzi i najgorszych narwańców wśród nomadów, któremu spodobała się chyba moja akcja w osadzie, podszedł do mnie i spytał, dym jest wolność. Zaczęłam mu coś tłumaczyć o sporach między deterministami a indeterministami, ale uśmiechnął się tylko i powiedział: "Wolność czujesz wtedy, gdy przyciskasz gaz tak, że strzałka szybkościomierza usiłuje się wyrwać z końca skali. Kiedy nie istnieje dla Ciebie ani chwila przyszła, ani to, co już zaszło..." W życiu nie słyszałem większej bzdury, ale myślałem nad tym przez cały ranek.

Jest coś dziwnego w człowieku przyzwyczajonym do życia w mieście i zdany na samego siebie. Wystawionym na głód, absolutną niepewność jutra i na śmierć, której nomadowie zdają się w ogóle nie zauważać. Państwo opiekuńcze, w którym żyłem, wykańcza w ludziach wolę. Powoduje, że zdani na siebie tracą wiarę we własne rozeznanie i własną skalę wartości.. Świat "ubezpieczony" istnieje co prawda od niedawna, ale zdążył już brakiem problemów w utrzymaniu egzystencji wyrobić też brak codziennej odporności. Umysły stają się podatniejsze na przenikanie dziwnych idei, na utratę kontroli nad rzeczywistością.

Szkoda, że nie wykopaliśmy zwłok właściciela domu, w którym nocowaliśmy, i tak jak to bywało w dawnych wiekach, nie wytoczyliśmy mu procesu. To miejsce jak katalizator podziało nie tylko na mnie.

Leroy Vella ze swoją grupą, czyli jak sami o sobie mówią: Doktor Frankenstein i jego metalowy teatr, rozwścieczeni brakiem publiczności, zaczęli grać coś dla samych siebie. Przyglądałem się temu z boku. Recytowali bez wyrazu drastycznie zmienione fragmenty ze znanych sztuk, używając nie języka już, ale jakiegoś slangu. Nie wiem, może miało to jakiś związek z rzeczywistością, z tym, co się z nami działo przynajmniej na początku. Potem zanurzyli się w świat fikcji, pozorów, zafałszowanych pojęć i rozciągliwej moralności. Przyglądałem się z coraz większym zaciekawieniem i nagle zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Vella, który używał do gry znalezionego w piwnicy, wielkiego lustra i grając raz jako on sam, raz jako odbicie w lustrze, wypowiadał obydwie kwestie. W pewnej chwili pozostali aktorzy już umilkli, a on rozpałał się coraz bardziej... Nie wiem jak to powiedzieć. Po prostu człowiek z lustra oskarżył go nagle o umyślne zmylenie drogi, tak aby grupa nie odnalazła celu. Vella jako on sam zaczął się bronić, jako człowiek z lustra atakował coraz bardziej. Stopniowo wszystkie zaprzeczenia zaczęły wypadać coraz bardziej blade i Vella załamał się nagle przyznając tamtemu rację. Panowała taka cisza, że dychać było, jak stojący kilkanaście kroków dalej Sprenger zwija sobie papierosa. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wydobyć głosu. Nie wiem, czy to strach, czy wyrobiony przez lata obcowania z ludźmi pancerz nie pozwalał mi mieszać się do czegokolwiek... Nie wiedziałem, co oni o tym myślą – nikt nie powiedział niczego. W każdym razie, kiedy ruszyliśmy w drogę, Vella był załamany. W pamięci utkwił mi ostatni fragment granej przez niego sztuki, tuż przed tym, kiedy wygłaszany przez niego tekst przestał mieć jakikolwiek związek ze scenariuszem. Fragment ten traktował o zwyczaju na dawnych żaglowych statkach. Jeśli przychodziła burza, pasażerowie urządzali losowanie, żeby wybrać spośród siebie kogoś, kto uda się z dziękczynną pielgrzymką, jeśli okręt przetrzyma nawałnicę.

Nie wiem, czy ma to jakiś związek z ponurą jak otaczająca nas okolica twarzą Velli.

Dwóch jadących tuż obok siebie motocyklistów wyłoniło się zza zakrętu drogi. Trzymali coś w wyciągniętych ramionach i dopiero po dłuższej chwili okazało się, że tym bezkształtnym, zdawało się, pakunkiem jest trzeci człowiek. Widać było, że z najwyższym trudem podkurcza rogi, żeby nie wlec ich po asfalcie, ale one i tak opadały co chwilę, kiedy niepewne oparcie z ludzkich rąk rozjeżdżało się na boki. Sprenger skrzywił się na widok jego



zaciętej, wykrzywionej wysiłkiem twarzy.

–Mogli zatrzymać się wcześniej i posadzić go z tyłu. Stojący obok Parks wydał wargi.

–Zwiewają. Wtedy się nie myśli.

Dwie maszyny zatrzymały się tuż przed nimi. Trzymany dotąd człowiek opadł wreszcie na obolałe kolana podpierając się rękami.

–Dostali nas – DeLuca krzywił się masując zdrętwiałe ramię. – Są tuż za zakrętem!

–Wyłączcie silniki. Nic nie słyhać. – Szlag, zaraz tu będą!

–Wyłącz to! – Rudi Schirmer podskoczył do niego z obnażonym nożem.

–Spokój – ręka pastora zastygła w jakimś, nieokreślonym geście. – Co tam się dzieje?

–Dostaliśmy łomot tuż za zakrętem – powtórzył DeLuca. – Obsadzili zarośla wzdłuż drogi. Coś rąbnęło w czołową maszynę. Mozgo wyskoczył z siodła jak na rodeo – spojrzał na leżącą postać. – Podnieśliśmy go cudem i w nogi.

–Co oni tam mają? – spytał Sprenger.

–Kurde, nie jestem żadnym pieprzonym zwiadowcą. Nie potrafię określić kalibru, jeśli kula przeleci mi koło ucha.

Mozgo sycząc z bólu podnosił się z ziemi.

–Mają karabiny maszynowe – wydyszał. – Co najmniej dwa. Na szosie jest krzyżowy ogień.

–Można ich obejść?

–Polami? Rozgniotą...

–Czy wyście powariowali? – krzyknął DeLuca. Zaraz tu będą i dostaniemy takie wciury...

–Stul pysk! – Parks popatrzył na pastora i stojącego przy nim Ramsaya. – Co robimy?

Sprenger wahał się chwilę.

–Może spytajmy Velli?

–Trudno go w tej chwili o coś zahaczyć – wtrącił się Ramsay. – Nie ma trzeciej drogi?

–Nie – Sprenger spojrzał za siebie. – Na powrót nie starczy benzyny. Żeby dostać się do US5 możemy jechać tylko w prawo, ale tam ci cholerni sekciarze rozkopali drogę, albo w lewo, a tu z kolei... Sam słyszysz potrząsnął głową.

–Co o tym sądzisz, Rudi?

–Mnie tam wszystko jedno – wzruszył ramionami. – Szarżujmy.

–Jezu, ludzie... – DeLuca patrzył to na jednego, to na drugiego.

Ramsay przypomniał sobie żargon ze szkoły piechoty w Europie.

–Obezwładnią oddział na jakichś stu, stu pięćdziesięciu metrach... Po prostu rozsmarujemy się na drodze.

–On ma rację – skwapliwie przytaknął DeLuca. – Szarża nic nie da.

–Zamknij się – Schirmer znowu podniósł swój nóż. – A co proponujesz, Warren?

–US5 jest przed nami – Ramsay rozłożył pożyczoną od Velli turystyczną mapę. – Skoro nie możemy dotrzeć do obejścia ani z prawej, ani z lewej, idźmy prosto.

–Przecież tam nie ma drogi – pastor stuknął palcem w papier. – Jak sobie wyobrażasz przejście przez bagno? – Tam nie ma żadnego bagna. Będziemy się posuwać po linii niskich wzgórz.

–Ale potem jest stromy stok!

–Zaraz! – wredny wyraz twarzy Schirmera potrafił osadzić nawet pastora. – Powiedz Warren co myślisz. – Trzeba będzie porzucić samochody i grupami wyciągać na górę motocykle, jeden po drugim.

–Jeśli będzie zbyt stromo, stracimy sprzęt – Sprenger poprawił swą koloratkę. – Jeśli nas zaskoczą, stracimy ludzi. – Do wyboru mamy jeszcze szarżę na cekaemy albo Verdun przy rozkopanej szosie. Jeśli szybko nie znajdziemy się na tej cholernej autostradzie, zdechniemy z głodu.

–Szlag – Parks nachylił się nad kolorową płachtą. Może jednak pójdziemy do Velli?

–On jest do niczego – Sprenger włożył ręce do kieszeni spodni, rozchylając poły swojego długiego płaszcza. – Głosujmy.

–To nie seminarium duchowne.

Parks żując przekleństwa rozglądał się wokół. Z jednej strony perspektywę drogi zasłaniała grupa czekających przy swoich maszynach jeźdźców, z drugiej ciszą i brakiem jakiegokolwiek ruchu wabił odległy zakręt. Skądś zza horyzontu dobiegł ich ponury grzmot. Z ciemniejących chmur zaczęły padać pojedyncze krople deszczu.

–Więc co?

Nikt nie miał ochoty się odezwać.

–Rudi?

Schirmer spojrzał na Parksa znowu, wzruszając ramionami.

–Warren?

–Nie wiem.

–Incy?

Pastor zaskoczył ich wszystkich.

–Chodźmy powiedzieć ludziom, że mają dźwigać maszyny na plecach.

Ruszyli za nim skwaszeni, czując, że zejście z równego terenu to jakby utrata kawalerskiej wolności. Z drugiej strony jednak cieszyli się, że znalazł się ktoś, kto był jeszcze w stanie podjąć decyzję.

Jedynie DeLuca śmiał się cicho, patrząc w stronę nie grożącego mu już zakrętu.

–Słuchaj Mozgo – odwrócił głowę. – Skoro już cię uratowałem, to pomożesz mi teraz pchać tego grata.

Góra, na którą trzeba się było wspiąć, była doskonale widoczna nawet z miejsca, gdzie stała zaparkowana większość maszyn. Dotarcie do jej podnóża trwało jednak prawie dwie godziny. Łagodne szczyty pagórków porośnięte gęstą trawą skończyły się wreszcie, ukazując całą potęgę wznoszącego się ostro stoku.

–Cholera, to cały masyw.

Parks stał zadzierając głowę, potem spojrzął na pozostałych. Nikt nie wymówił żadnego słowa, choć oczy wszystkich były zwrócone w tą samą stronę. Stali tak porażeni ogromem góry, aż Sprenger zaczął zdejmować swoje bagaże.

–Szybciej do jasnej cholery. Chcecie tu nocować?

–Gdzie zostawić samochody? – Lyne nie mógł odwrócić głowy.

–Tam, gdzie stoją – Sprenger doskonale wyczuwał podszytą strachem fascynację kierowcy. – Nie będziemy tu wracać.

Ludzie niechętnie zaczęli pakować swoje rzeczy, zwijając co tylko można w wielkie toboły. Ktoś samorzutnie podjął się segregowania wszystkich przedmiotów w grupy przeznaczone do dźwigania przez odpowiednią liczbę osób.

–Ten stok, tam... – Parks wyciągnął rękę do góry. – On staje się coraz bardziej stromy, widzisz?

–Spodziewałeś się wycieczki?

–Nie, ale... Jeśli oni są na górze... – zagryzł wargi. – I jeśli poczekają, aż znajdziemy się w połowie, wtedy wystarczy...

–Przestań w ogóle o tym mówić! – przerwał mu Sprenger. – No jazda – odwrócił się do reszty. – Żadnych okrzyków, żadnych głośnych komend. Macie się obyć bez radia i głośników, jasne?

Trudno było przypuszczać, że spojrzenia ludzi mogą się stać jeszcze bardziej ponure. Ramsay wypluł z ust zdźbła jakichś specjalnych traw, znalezionych przez Idris, które żuł, żeby oszukać głód.

–To będzie długi wąż ludzi i sprzętu – mruknął. Jeśli jakiś motocykl obsunie się w dół, skosi od razu połowę grupy.

–Słyszeliście? – Schirmer dotknął kolby swojego automatu. – Jak któryś puści cokolwiek, załatwię go osobiście!

–Przygotujcie łopaty – dodał Sprenger. – Trzeba będzie kopać przystanki dla sprzętu. Na raz nie weźmiemy tego burdelu.

Dwie pierwsze osoby, prowadzące ciężki motocykl, przymierzyły się do stoku. Z rozpędem wdarli się na pokrywające go błoto, coraz wolniej przebyli jeszcze kilka metrów, potem maszyna przeważyla ścigając ich w dół.

–O czym mówiłem?! – Rudi Schirmer skoczył do przodu. – Powoli, i brać więcej ludzi.

Następny motor, tym razem w otoczeniu już czterech osób, ruszył do góry. Kiedy ludzie zaczęli grzęznąć, przyskoczyło dwóch następnych, a potem jeszcze jeden.

–Dobra, dalej – Sprenger patrzył, jak powoli posuwają się w przód. – Lyne, nie zapomnij o benzynie z samochodów.

Powoli wszyscy włączali się do sunącego mozolnie korowodu. Ramsay, ciągnący wraz z innymi maszynę Idris, zasapał się już na pierwszych metrach. Przystanki dla złapania oddechu zdarzały się coraz częściej. Rzęsisty deszcz co prawda zmywał błoto z twarzy, ale mulista, osuwająca się ziemia tworzyła prawdziwe piekło. W końcu zaczęli się posuwać pojedynczymi szarpnięciami. Kiedy wreszcie złożyli zniechęcony już ciężar w jakiejś niszy, nikt nie był w stanie od razu zejść na dół. Zsunęli się z trudem dopiero po kilkunastu minutach. Ramsay już teraz błogosławił chwilę, kiedy dostał brezentowe spodnie i wojskowe buty z grubej skóry. Patrząc na innych nie mógł uwierzyć, iż jeszcze niedawno narzekał, że go obcierały. Przenikliwy chłód, wciskająca się w każdy zakamarek woda i zmęczenie sprawiły, że następną maszynę transportowali prawie dwa razy dłużej. Kolejne powroty na dół, w końcu już tylko po sprzęt, doprowadziły do tego, że każdy pozbywał się jakiegokolwiek rzeczy z własnego bagażu, co do której pojawił się chociaż cień podejrzenia, że nie jest absolutnie niezbędna. Powoli wokół porzuconych samochodów zaczął rosnać stos z zapasowych swetrów, koców, szalików, skrzynek z narzędziami, książek, latarek, jakichś lin, przewodów i mnóstwa nierozróżnialnych drobiazgów. Rząd ludzi obciążonych kanistrami, skrzynkami z amunicją, pojemnikami ze smarem, śpiworami, menażkami i coraz mniej licznymi konserwami z każdym krokiem przeprowadzał ponowny rachunek sumienia. Przedmioty, co do których uznano, że warte są wyniesienia do pierwszej niszy, wyrzucano przed następną. Zbyt ciężkie pamiątki na całe życie wdeptywano w błoto kilkanaście kroków dalej, rzeczy absolutnie niezbędne – na dwudziestym metrze, na pięćdziesiątym wydawały się już kompletnie niepotrzebne. Ten jakby symboliczny akt samooczyszczenia ludzi pełzających do góry dziwił tylko Schirmera, który niczym nie obciążony szedł z tyłu pilnując, żeby nie upychano amunicji między

okalającymi błotnisty szlak skałkami.

Pochód posuwał się coraz wolniej. Wyżej trzeba było już wykopywać podesty ciągle rozmywane przez deszcze dla każdej maszyny osobno, żeby można było zejść po następne. Warty, które początkowo ustawiono po obu stronach, przyłączyły się do tragarzy, bo stało się jasne, że wkopani w błoto nomadowie nie oprą się nikomu, kto zechciałby zaskoczyć ich w tej sytuacji. Godziny mijały jedna za drugą, a zmoknięci, oblepieni błotem włącznie z włosami na głowach, wykończeni ludzie nie osiągnęli nawet jednej czwartej wysokości. Po południu zdarzył się pierwszy wypadek. Mozgo, który pechowo zaczął ten dzień od patrolu, obsunął się na jakąś skałę. Zwichnięcie nadgarstka nie pozwoliło mu jednak dołączyć do kilku rannych z poprzednich potyczek. Z przytroczonym do pleców kanistrem posuwał się bokiem, zwolniony jedynie z obowiązku wciągania motorów. Jedna z maszyn runęła w dół dosłownie kilka minut potem. Wbrew przewidywaniom Ramsaya nie zmiotła jednak nikogo, rozbijając się na przylepionym jakimś cudem do stromizny drzewie. Po odpompowaniu benzyny ktoś zepchnął ją dalej.

Wieczorny mrok, który z powodu pokrywających niebo gęstych chmur, zapadł niespodziewanie szybko, zastał ich być może trochę ponad połową wysokości stoku. Być może – dlatego że nikt nie był w stanie prawidłowo ocenić przebytego dystansu. Ludzie zapadli w wykopanych ostatkiem sił norach, żując rozdzielane w minimalnych porcjach suchary. Burza, która rozszalała się niedługo po zachodzie słońca, sprawiła, że nikt nie mógł zasnąć. Zdawało się, że rozmywana w gęstniejących z każdą chwilą strugach wody ziemia osuwała się pod ciężarem sprzętu i ludzi, zmuszając tych ostatnich do ciągłego ponawiania rozpaczliwych wysiłków pozwalających utrzymać się na swoich miejscach. Ogluszające grzmoty mieszały się z okrzykami tych, którym trzeba było udzielić pomocy. Jeżeli gdzieś jeszcze na dnie uszczuplonych bagaży zachowały się jakieś zapasy alkoholu, to po tej nocy miało nie pozostać z nich ani śladu. Doszło jednak do tego, że kilka osób odłączyło się od oddziału – ich poszukiwania trzeba było odłożyć do rana. Rozpraszane jedynie światłem błyskawic ciemności i ciężkie warunki terenowe gwarantowały utratę wszystkich, którzy wzięliby w nich udział. W nocy stracili też dwie dalsze maszyny.

Koszmar jakby nie miał końca – nawet kiedy wreszcie nieśmiała jeszcze szarość świtu pozwoliła dostrzec cokolwiek, nie było nikogo, kto nie przyjąłby tego z niedowierzaniem.

Ramsay skostniały z zimna, drżącymi rękami przecierał opuchniętą z głodu i niewyspania twarz. Deszcz przestał padać ukazując w przekłamanym jeszcze, sinych barwach ciągnące się po horyzont lasy i pola równiny przed nimi. Nikt nie wstawał z miejsca, nikt nie nawoływał do rozpoczęcia dalszej drogi. Jedynymi ruchami burzącymi martwość otaczającego ich krajobrazu były powolne, nieśmiałe ruchy dłoni przecierających zażawione, piekące oczy. Nie było słyhać żadnego głosu. Wydawało się, że upiorna, destrukcyjna moc zastygłego krajobrazu, nieruchomych skał, zaskorupiałego z braku rozmywającej go wody błota i milczących maszyn wpływała na ludzi, porażając ich umysły. Jakiś irracjonalny strach, lęk przed tym, że zostaną tu na zawsze, ogarniał ich paraliżując swą siłą chęć działania.

Duży, drapieżny ptak, sokół czy orzeł, kołował w zimnym, nieprawdopodobnie przejrzystym po deszczu powietrzu, kreśląc na ich wysokości niewidzialne figury, jakby urągał deprecjonującej ich wyższość sile bezwładu.

Ktoś jednak wstał z miejsca, zmuszając głowy pozostałych do zwrócenia się w jego kierunku. Leroy Vella gorączkowymi, niebornymi, jakby działał po omacku, ruchami postawił swój motor na stromym stoku. Balansując na krawędzi utraty równowagi, skoczył na siodełko uruchamiając starter. Potężny silnik, mimo wilgoci, błota i chłodu, zaczął pracować tak regularnie, jakby całą noc stał spokojnie zaparkowany w garażu. Dopiero to poderwało pozostałych, ale Vella nie zwracał na nich uwagi. Jego niewidzące, jakby zasnutę czymś oczy patrzyły prosto w pokryte rzędziejymi chmurami niebo. Warkot silnika przeszedł w ryk i zwalista sylwetka jeźdźca runęła w dół. Pędził od razu z tak nieprawdopodobną szybkością, że zdawało się, jakby na przekór przeraźliwej stromiznie, błotu i skałom – iż bez trudu dotrze do majaczącego w oddali podnóża. Trwało to dobrą chwilę, wszyscy na górze zamarli śledząc ruch malejącej postaci. Potem jednak stało się to, co musiało się stać. Nie wiadomo, czy zawadził kołem o jakąś skałę, czy natrafił na dziurę lub przeciwnie – niewidoczny garb, w każdym razie zupełnie nagle przy równym, ciągle nie zakłóconym grzmocie silnika wyskoczył wysoko ponad stok i koziołkując w powietrzu, ciągle trzymając się swojej maszyny, uderzył w ziemię kilkadziesiąt metrów niżej. Huk eksplodującego zbiornika i jasny błysk rozszalałych nagle płomieni poderwał kilka osób.

–To nie była jego wina – krzyknął ktoś z góry. – Wszyscy jesteśmy winni!

–Czy widzieliście śmierć prawdziwego kawalerzysty?! Idźmy za nim...

Ramsay poczuł, że ogarnia go nagle tak silny strach przed pociągającym coraz bardziej szaleństwem, przed osamotnieniem, na które jedynym lekarstwem mogło być przyłączenie się do reszty, że zerwał się na nogi chwytając pistolet maszynowy leżącej obok Idris.

–Jeśli któryś się ruszy, rozwalę na miejscu!!! – to już nie był krzyk, czuł, że ryczy zdzierając swoje struny głosowe. – Stać, do cholery!

Wiedział, że zagrożenie samobójcy bronią nie jest najmądrzejszą rzeczą, ale lęk przed pozostaniem w tym miejscu na zawsze, przed zagubieniem bez żadnego punktu oparcia i przede wszystkim przed tym, co go w tym wszystkim pociągało, tak, pociągało coraz bardziej, mieszał jasność myśli.

–Stać świnię!

Z dołu rozległ się spokojny głos Rudiego Schirmera:

–Załatwię każdego, kogo nie dostrzeli Warren. Jego stoicki spokój i zdecydowanie, aczkolwiek płynące z innych niż Ramsaya pobudek, podziało na większość osób.

–Ale... – jeden z mężczyzn skądś z góry nie mógł jeszcze się uspokoić. – Powinniśmy zejść i chociaż pochować...

–Stul pysk – erkaem pastora był wymierzony prosto w jego brzuch. – Bierz się za swoją maszynę i jazda do góry! Parks przyłączył się do Sprengera.

–No jazda, szybciej!

Ludzie powoli, niechętnie jeszcze, podnosili swój sprzęt. Samorzutnie wyłoniło się coś w rodzaju policji. Sprenger, Parks, Schirmer i o dziwo Ramsay poganiali wszystkich, kopiąc i bijąc opornych. Ramsay ciągle nie mógł otrząsnąć się z szoku. Wrzeszczał i bił w jakimś amoku, usiłując wyrwać z bezruchu otępiąłych ludzi.

Usprawiedliwiał się przed sobą, że czyni to przecież dla ich dobra, ale sam nie mógł jednak przyjąć tej wersji. Całe jego wychowanie, normy i wartości, jakie stworzyło życie wśród ludzi w mieście pękały teraz i nie było niczego, co mogłoby wypełnić powstające szczeliny. Spojrzał na Idris w poszukiwaniu pomocy, ale ta uśmiechnęła się, przysiągłby, że z akceptacją, i mrugnęła do niego. Odwrócił głowę z – jeśli to możliwe – jeszcze większą rozterką. Dotąd społeczeństwo nagradzało go co prawda za drobne świństwa, było nawet w stanie przełknąć te nieliczne silniejsze kopniaki, które kiedykolwiek rozdał, ale zawsze w swoim otoczeniu czuł, że są jednak nieprzekraczalne granice. Że podniesiony do góry palec tkwił na swoim miejscu, gotów pogrozić mu w każdej chwili.

Wysięk, który trzeba było podjąć na nowo, skrócił wszelkie rozmyślania. Korowód objuczonych do granic możliwości ludzi znowu ruszył do przodu. Wycieńczenie sprawiło jednak, że teraz już nikt nie sprawował kontroli nad całością. Każdy brnął w górę już nie siłą woli nawet, ale inercją raz wprawionego w ruch automatu. Ramsay pamiętał tylko poszczególne obrazy. Grupę ludzi przeciągających z najwyższym trudem ciężki motocykl przez skałkę, która wyrosła im na drodze, mimo że tuż obok było wygodne, omijające ją przejście. Małego chłopca Suzette, wlokącego za sobą zbyt ciężki dla niego, dwudziestolitrowy kanister. Człowieka, który rozsypał naboje ze skrzynki i zbierał je teraz tak zmęczony, że nie był w stanie rozpoznać pakowanych do ładownic małych gałązek i kamieni.

Ramsay miał wrażenie, że świadomość powraca falami pozwalając mu dużą część drogi przebyć we śnie czy malignie raczej, która sprawiała, że cel drogi, jej sens zaginął gdzieś w zakamarkach majaczącego umysłu.

Był szczerze zdziwiony, kiedy gdzieś nad sobą ujrzał człowieka stojącego na równym, twardym gruncie, który dawał jakieś znaki. Mozgo, mimo owiniętej bandażem ręki, był stosunkowo najmniej obciążony i zmęczenie nie paraliżowało zupełnie jego inicjatywy. Wysunął się do przodu i stał teraz na metalowej, obciążonej specjalną gumą, barierce dając znaki. Widząc, że nie daje to żadnego efektu, wyszarpnął z kieszeni krótkofalówkę.

–US5 – krzyknął.

Kilkadziesiąt głośników rozproszonych wśród ludzi w ciągnącym się daleko w dół korowodzie powtórzyło okrzyk:

–US5!

To było jak prąd elektryczny przepuszczony przez opiłki żelaza. Ciągnięte dotąd z mazołem tony sprzętu targnęły nagle w górę, jakby zmęczenie taszczących je ludzi było tylko pozorem, wymysłem stojących przed komisją wojskową symulantów. Ludzie z zaskakującą energią przeskakiwali przez barierkę, którą wkrótce rozbito uderzeniami kluczy francuskich i saperek. Wilgotny beton łagodnego zakrętu autostrady pokrywał się stopniowo naniesionym błotem, rozrzuconymi byle jak maszynami i bagażem ludzi. Jakiś gorączkowy pośpiech sprawiał, że podczas kiedy niektórzy pokonywali jeszcze ostatnie metry stoku, większość uruchamiała już wypakowane byle jak motory. Te, które z powodu wilgoci czy brudu nie chciały zapalić, brano na hol i ciągnięto tak długo, aż przechłodzone silniki zaskakiwały wreszcie, wypełniając przestrzeń nad autostradą rosnącym warkotem. Powoli w pomieszane szyki wkładał się ład, bezwładne kręgi zataczane przez rozgrzewających silniki ludzi coraz bardziej przypominały regularne ósemki. Ktoś pośpiesznie ładował ostatnią maszynę wciągniętą ze stoku, kierowcy samochodów i ci, którzy stracili swoje pojazdy, dobierali się w pary z tymi, którzy mieli wolne miejsca...

Zupełnie nagle, bez niczyjego hasła, rycząca silnikami na niskich biegach kawalkada ruszyła przed siebie czteropasmową szosą. Zrazu powoli, coraz szybciej nabierając prędkości, wypełniła rosnącym hukiem całą szerokość wszystkich pasów ruchu. Ostry wiatr chłodził przemoknięte ubrania, ale nie miało to żadnego znaczenia. Umykający coraz szybciej spod kół chropowaty beton oddalał ich od błota, od przypisania do jednego tylko miejsca, miejsca oczyszczenia ze zbędnych przedmiotów, słabych zdawałoby się maszyn i jednego człowieka.

Ktoś włączył radio przełączając je na zewnętrzny, wspomagany potężną nagłaśniającą aparaturą głośnik. Utracona cywilizacja znowu dotknęła ich z daleka, ale nie potrafiła objąć już niczego w swoje władanie.

Ramsay cisnął gaz BMW Idris, wysforowując się na czoło. Gdzieś znikły jego wątpliwości, ulotnił się strach przed zapaleniem płuc od przewiewanej lodowatymi strugami, mokrej odzieży... Kilkakrotnie spojrzął prosto w blade, nieśmiałe jeszcze słońce, które pojawiło się wśród chmur po raz pierwszy od początku podróży. Czuł, że coś w nim poddaje się rytmowi ryczącego silnika, coś przyjmuje filozofię pędu. Mimo że tak jak wszyscy nic nie jadł

od poprzedniego wieczora, nie był głodny, nie był też zmęczony. W ogóle nie odczuwał niczego, co w jakikolwiek sposób mogłoby przeszkodzić mu we wszechogarniającym ruchu. W jego wnętrzu natomiast pękały nie rozbite wcześniej skorupy miejskiego pancerza. Skądś pojawiła się raptem nowa akceptacja. Zgoda na panujące warunki, na trudności i wszystko, co niesie ze sobą los wbrew wszelkim moralistom i poprawiaczom. Niebo, jego własny kosmos wypalił się nagle pozostawiając po sobie już tylko tajemniczy płomień trawiący go od wewnątrz. Przypomnił sobie "On the road" Kerouaca...

Nie, miał dość rozmyślań. Drgnął, kiedy siedząca z tyłu Idris objęła go mocniej.

–Nie jest ci zimno? – krzyknęła. Potrząsnął głową.

–A tobie?

Pocałowała go w kark, a on oddał jej pocałunek odwracając głowę. Musiał się unieść w siodełku.

–Hej, nie rozwalimy się?

–Spokojnie. Całe dzieciństwo spędziłem w cyrku... Nawet na ścianie śmierci.

Poczuł nagle okropną chęć, żeby się zatrzymać i objąć dziewczynę. Uśmiechnął się zdziwiony, że akurat ten instynkt działa w każdej sytuacji.

–Słuchaj... – przyszła mu do głowy pewna myśl. – Czy jesteś dostatecznie szalona?

Znowu odwrócił głowę widząc jej rozszerzone zdziwieniem oczy. Wykręcając w przedziwnym łamańcu rękę rozpiął zamek jej kurtki.

–Ty wariacie...

Pocałował ją trzymając kierownicę tak równo, jakby ograniczały go po obu stronach dwie niewidzialne ściany. Czuł, że upaja go pęd. Potworna szybkość i coś jeszcze... – Warren ty wariacie!

Nie broniła się jednak, kiedy ściągał z niej kurtkę. Puścił wilgotny jeszcze materiał patrząc jak łopocze na wietrze i jak łapie go jadący z tyłu Schirmer.

–Psiakrew, ludzie!... – wzmocony przez głośnik okrzyk świadczył, że Rudi doskonale zrozumiał jego intencje.

– Chodźcie tu! Zobaczycie coś niesamowitego.

Ramsay zdjął z niej koszulę pochwyconą natychmiast przez gromadzących się wokół jeźdźców.

–Chodź! – uniósł się na opartych o bok chłodnicy nogach.

–Ty wariacie! – powtórzyła Idris, nie czyniła jednak nic, żeby mu przeszkodzić. Wprost przeciwnie, po chwili wahania z trudem utrzymując równowagę pochyliła się i przesunęła pod nim do przodu. Ramsay nachylił się nad nią. W jego głowie nie pojawiła się żadna refleksja, żadna wątpliwość, czuł tylko, że puściły właśnie wszelkie pęta wiążące go z przeszłością. Dodał gazu, patrząc jak strzałka prędkościomierza brnie do przodu. Gwałtowny wicher, który ich ogarnął, nie był w stanie ugasić płomienia. Całował Idris ustawiając maszynę tak, żeby mknęła dokładnie po środku namalowanego na jezdni pasa. Dziewczyna poddawała się łagodnie, jedną ręką trzymając się jakiegoś występu, drugą, ciągle obwiązaną bandażem rozpinając wszystko, co stało na jego drodze.

Przyjęła go z westchnieniem, które zginęło w zgłośniej właśnie przez kogoś muzyce. Ramsay zacisnął dłonie na kierownicy tak, że przez dłuższy czas nie był w stanie wykonać żadnego manewru. Cztery pasy jezdni dawały jednak szeroki margines błędu. Poddawał się ogarniającemu go szaleństwu, jakby chciał zdeptać opadłe dawno resztki wszystkiego, co przywodziło strach i ciągle obawy, wahanie i wieczną niepewność. Wszystkiemu, co hamowało go i rozpraszało zmuszając do poruszania się po omacku.

Potężny, ponad siedemdziesięciokilowatowy silnik wył na najwyższych obrotach i zdawało się, że każdy szczegół jego konstrukcji, od prawie pięćdziesięciomilimetrowych, spryskiwanych ciągle olejem cylindrów, po potężny wał korbowy obracający się z potworną szybkością, drży wprawiając w rezonans i ludzi, i całą, otaczającą ich przestrzeń. Płyn w ogromnej chłodnicy, benzyna, smary zdawały się parować pod gorącym uściskiem Ramsaya, który zatracił się w otaczającej go, stanowiącej zupełnie nowe doznanie, bezimiennej pustce. Gdzieś w dali pojawiło się ledwie dostrzegalne światło. Brnął w jego kierunku nie oszczędzając Idris, która przywarła do niego z taką mocą, że dławiała im obojgu oddech. Przez zamglone oczy widział, jak zagryza wargi, a wreszcie rozchyła je ukazując zaciśnięte zęby. Czuł przyciśnięte do niego piersi, stężałe mięśnie ud i ramion, i to, jak zaciskają się nagle jeszcze silniej w uwalniającym nareszcie napięcie paroksyzmie.

Potrząsnął głową, żeby przywrócić ostrość widzenia, kiedy podnosił oczy. Szarpnął dźwignię hamulców, maszyna pochyliła się do przodu tracąc na chwilę stabilność, więc poluźnił chwyt, ale zaraz zwarł dłoń ponownie: Rozpędzone BMW ostro schodziło ze środka pasa, zauważył zbliżający się szybko jakiś mostek nad szerokim, rozlanym wokół stawem, łagodny nasyp, ale rozprężony nie był już w stanie zapanować nad maszyną. Ściągał hamulce chcąc tylko wytracić oszałamiającą szybkość, kiedy wyskoczyli z szosy i spłaszczonym łukiem poszybowali w stronę stawu. Już w locie oderwał się wraz z dziewczyną od maszyny i w nagłej ciszy pod bardzo ostrym kątem uderzyli w powierzchnię wody.

Zszokowany raptowną zmianą usiłował płynąć, ale kiedy wreszcie parszkając i przecierając oczy wynurzył się na powierzchnię, okazało się, że jego nogi bez trudu sięgają dna. Oszołomiony nie zwracał uwagi na ludzi skaczących do stawu.

–Hej, nic wam nie jest?

Ktoś szeroko machając ramionami brnął w kierunku Idris. Kilka innych osób skupiło się nad ich maszyną.

–Żeby tylko nie zassał wody – Schirmer kierował naprędce utworzoną grupą. – Podnieście go.

–Hej, ten sukinsyn wyłączył go w locie! – Parks nachylił się nad aparatem zapłonowym. – Ten... ten... On go zdążył wyłączyć!

–Cięgnij!

Nowi ludzie ciągle skakali z mostku dołączając do pozostałych. Coraz głośniejsze okrzyki i śmiechy zajmowały miejsce dotychczasowego warkotu maszyn.

–Cholera, to było niezłe... Nic wam nie jest? Ramsay dopiero teraz rozejrzał się wokół.

–Idris!

Dziewczyna była tuż obok.

–Warren ty wariacie... – rozcierała twarz, potem opuściła ramiona zasłaniając piersi przed rozbryzgującymi wodę wokół ludźmi. – Obejmij mnie – uśmiechnęła się nieśmiało.

*Długi czas nie mogłem niczego zapisać, ale rozgrywające się wokół wydarzenia nie pozwalały nie tylko na żadną refleksję, ale nawet na zwykłe zanotowanie faktów. Nie wiem, czy zdoła pan cokolwiek odczytać, panie doktorze, bo trzymany w kieszeni spodni notatnik zamoczył mi się fatalnie i wszystko, co znalazło się tam do tej pory, przypomina obraz widziany przez mgłę. I tak ma pan szczęście, że pisałem długopisem, a nie piórem. Prawdę powiedziawszy zastanawiam się, czy w ogóle zobaczy pan kiedyś te zapiski. Nie chodzi mi nawet o to, czy zdołam się kiedyś wydostać z głębi ładu zajętego przez wyznawców Duckwortha, ale szerzej, czy jest jeszcze jakiś sens w pokazywaniu panu tego wszystkiego.*

*Nie, nie traktuję parta (jeszcze) jako wroga, przed czym zresztą tylekroć mnie pan ostrzegał. Myślę jednak, że to ja się zmieniłem (Chryste, jak banalnie to zabrzmiało). Nie, nie chcę powiedzieć, że nie potrzebuję już niczyjej pomocy, może nawet wprost przeciwnie, ale coś załamało się we mnie i nie wiem, czy potrafilibyśmy jeszcze znaleźć wspólny język.*

*Właściwie wypadałoby w tym miejscu opowiedzieć panu jedną z tych całkowicie wyspanych z palca historyjek o dziewczynach, jakimi raczyłem pana przez te wszystkie lata, ale muszę przyznać, że stan permanentnego wyczerpania, w jakim się znajduję, źle wpływa na moją wyobraźnię. Szkoda. To naprawdę jedno z moich miłszych wspomnień – pański gabinet, w którym siedziałem rozwalony wygodnie w przepastnym fotelu opowiadając panu te bzdury, i pan, który udawał, że w nie wierzy. To było naprawdę piękne. Obaj graliśmy jak z nut narzucone nam przez społeczeństwo role nawet wtedy, kiedy – jak w tym wspaniałym gabinecie – byliśmy sami. Bardzo żałuję, że nie mogę już kontynuować tej gry – proszę mi wierzyć, mówię teraz zupełnie szczerze, bez cienia ironii.*

*Notuję to wszystko skostniałą ręką nie dlatego, że odczuwam taką potrzebę. Przyznam panu, że przyczyna jest bardziej prozaiczna – od kilku dni mimo rosnącego zmęczenia nie mogę w ogóle zasnąć. Cholera, to straszne, ale mój organizm najwyraźniej uznał potrzebę snu za całkowicie zbędną. To naprawdę potworne uczucie leżeć tak dygocząc z napięcia, podczas gdy wszyscy wokół chrapią w najlepsze. Usiłuję z tym walczyć snując najrozmaitsze fantazje, tworząc przed oczami ciąg najdziwniejszych postaci, ale w przeciwieństwie do wszystkich chwil, które zapamiętałem z przeszłości, świat uludy niezmiennie ponosi porażkę. Fikcyjni bohaterowie przegrywają z hordami prawdziwych ludzi, których znałem w życiu i którzy zajmują ich miejsce.*

*Dużo myślę o Duckworthcie. Czy nie przyszło panu do głowy, że udało mi się trafić w lukę, jaką pozostawiła strukturalistyczna antropologia? Jakiś Francuz, nie pamiętam nazwiska, może Ricoeur, zarzucił kiedyś Levi-Straussowi, że wyjaśnił wszystkie kultury, wszystkie mitologie oprócz europejskiej. Dzieje się tak dlatego, że jedynie kultura judeochrześcijańska odnawia się ciągle, reinterpretując siebie samą. Może więc Duckworth poszedł śladem Girarda, a konkretnie jego odkrycia, że człowiek nie jest w stanie pożądać sam z siebie, że potrzebny jest pośrednik, który wskaże mu przedmiot pożądania... Swoją drogą nie mogę przejść nad tym do porządku, że choć do nowej religii przyłączyło się tylu wyznawców, wiadomo o niej tak niewiele. Przecież, do cholery, ludzie, którzy do niej przystąpili, muszą jakoś dowiadywać się o jej założeniach. Nie` mogę uwierzyć, że wszyscy dają się kierować komuś, kto wyłącznie zakazuje im praktycznie wszystkiego, kto nie pozwala im myśleć, podejmować decyzji, doznawać jakichkolwiek wahań, czy wreszcie w ogóle myśleć, bo przecież "myślenie prowadzi tylko do zbędnych wątpliwości.*

*Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie przystają do niego tak szybko. Przecież nikt normalny nie rezygnuje z samodzielności w zamian za totalne ubezwłasnowolnienie w systemie w którym, nie wiadomo o kierującym nim Bogu absolutnie niczego. Oczywiście, to zjawisko występuje wszędzie, w każdej religii bogowie milczą przez tysiące lat, a kościoły mimo to zdają się o nich wiedzieć tyle, że aż dech zapiera. Ale jest tu i istotna różnica, Duckworth przecież podkreśla (a może opacznie rozumiem docierające tylko z trzeciej ręki sygnały), że o własnym Bogu nie ma najmniejszego pojęcia. Przepraszam za kolejny banal` rozumiem, że rosnąca fasadowość obrzędów i zakazów służąca Dobru Absolutnemu, śledzenie odchyleń, tropienie w sobie samym najmniejszego przejawu myśli tolerancyjnej zastępuje, przepraszam za wyrażenie, czynienie dobra. Fasada sprawia, że znika indywidualna odpowiedzialność przed rozliczeniem z własnych czynów. Życie staje się spektaklem. Wszystkie, najintymniejsze nawet postęпки podlegają cenzurze "publiczności". Człowiek staje się odpowiedzialny za każdy gest i słowo, a nie*

rezultat ostateczny, który byłby ważny, gdyby rozliczał się przed samym sobą. Zmiana kalkulacji przyszłościowej na występy przed publicznością sprawia, że ogromna część energii trwoniona jest na budowanie fasady usprawiedliwień, które jednak choćby częściowo zdejmują z każdego ciężar samookreślenia.

W dalszym ciągu nie wiem, w jaki sposób ludzie przyłączają się do Duckwortha. Powinienem chyba wyjaśnić panu, dlaczego tak mnie to interesuje. Na pewno nie wspominałem panu, co się stało z ojcem. Owszem, mówiłem o jego występach w cyrku, o tym, jaki był i tak dalej, ale nie wspominałem o jego śmierci... Uśmiecha się pan, prawda? Tak. Było to trudne wobec przedstawiciela nauki zakładającej, że cywilizacja opiera się na zabójstwie ojca przez syna i w związku z tym taty czas przyciskał mnie pan pytaniami na ten temat. Nie lubię o tym mówić nie dlatego, że jest to mniej ciekawe niż historie o dziewczynach, ale właśnie z powodu wspomnianych wyżej względów. Mam dość traktowania wszystkiego jako symbolicznego zabójstwa, ponieważ jednak od tamtych czasów wiele się zmieniło i zapanował matriarchat, myślę, że powinienem wszystko opowiedzieć.

Były to te wspaniałe lata sześćdziesiąte, kiedy świat wył o końcu wszechbytu, mając się jednak stosunkowo dobrze, a cyrk, z którym wtedy jeździłem, ruszył właśnie w kolejną drogę na Południe. O ile pamiętam, byłem wtedy dzieckiem, tą samą praktycznie trasą, którą posuwam się dzisiaj. Dotarliśmy do pewnego miasta, gdzie utknęliśmy na dłuższy czas. Dyrektor miał jakieś kłopoty z prawnikami czy finansistami i wszystko zaczęło się walić. Trupa rozpijała się z nadmiaru wolnego czasu i włóczyła po okolicy, gwiazdy przedstawienia zaangażowano gdzie indziej i wszystko wskazywało, że zostaniemy tu na zawsze. Wtedy właśnie ojciec poznał ludzi z sekty. Nie wiem, kto to był. Południe obfitowało zawsze w nadmiar stukniętych. Wiem jednak, jak to wyglądało. Włóczyący się po rynsztokach człowiek bez pieniędzy napotykał nagle ludzi, którzy byli dla niego dobrzy, którzy bez zniecierpliwienia godzili się wysłuchać wszystkiego, co mu leżało na sercu, zapraszali do własnych domów... Cholera, oni zawsze pomagali, kiedy ich pomoc okazywała się potrzebna, a potem sami prosili o pomoc dla kogoś, kto jej potrzebował. 1 co? Nie pomógłby pan w takiej sytuacji? Każdy pomagał, potem przyjaźnił się z nimi, wszyscy byli coraz bliżej. Aż nagle, z jakichś całkowicie niezależnych i obiektywnych przyczyn okazywało się, że trzeba popełnić dla nich drobne przestępstwo. Nie przestępstwo nawet, a wykroczenie. Nie widziałem nikogo, kto by odmówił. Dziękowali, przepraszali, dosłownie rozpływali się w serdecznościach, aż nadchodził czas, że człowiek nie wyobrażał sobie już życia bez nich. 1 wtedy kazali mu zrobić coś wstrętnego. Najpierw wspólnie, żeby odpowiedzialność połączyła wszystkich, a później samemu... 1 wtedy byłeś już ich..

Dyrektorowi udało się w końcu pokonać trudności, zaangażował nowe gwiazdy, zapicował jakiś bank, który udzielił mu nowych kredytów i cyrk miał ruszyć dalej. Wie pan, doktorze, co czuje nieletni dzieciak widząc, że normalny, zdrowy i dorosły człowiek nigdzie już nie pojedzie? Że nie wsiądzie na swój motor, żeby mknąć po pionowej ścianie, co tak imponowało wszystkim kolegom?

Tak, wtedy uciekłem. Nie mogłem tam żyć. Powiedziałem sobie, że nigdy nie przyjadę z powrotem na Południe. Cholera, wspominałem przed chwilą, że wymyślam sobie różne historie i dziwnych ludzi. No więc tym, co je burzy, jest właśnie moja ucieczka, zupełnie irracjonalne przeświadczenie, że zostawiłem tu kogoś... Szlag, co do cholery mógł zrobić taki gówniarz? Mam dość bezsenności. Mam dość tych stron znowu...

Muszę mówić o czymś innym.

Na pewno nie wspominałem panu o Idris. To niesamowita dziewczyna i zdawało mi się, że ona właśnie zburzyła mój pogląd, że kobietom z trudem raczej przychodzi poświęcenie się, jakiejś idei. Trudno oczywiście nazwać ideą to, co robią nomadowie, ale jest w tym coś pociągającego. Zauważyłem że Idris przed snem czyta coś ukradkiem. Kiedy zasnęła podszedłem po cichu jak złodziej, jeśli lubi pan idiotyczne porównania, i znalazłem tę książkę. Niby nie jest tuku ciężka, ale fakt, że nie wyrzuciła jej na błotnistym stoku pod USS, jednak o czymś świadczy. Otworzyłem ją na pierwszej lepszej stronie i zacząłem czytać. Domyśla się pan? Tak. Ciche westchnienia, bezszelestne kroki po ukwieconych alejkach, pieśni nucone przez zasłonięte buketami usta...

Nie wiem, co o tym myśleć. Moja wrażliwość odbiera chyba na innej fali.

Słoneczny, stosunkowo ciepły ranek sprawił, że "marszowa kolumna" uformowała się z mniejszym bólem niż zwykle. Żywność praktycznie się skończyła i gdyby nie znaleziona poprzedniego wieczora na pół zdziczała już świnia i popleśniałe, ukryte w jakiejś opuszczonej chałupie warzywa, burczenie pustych trzewi mogłoby zagłuszyć silniki. Mimo to ludzie żuli jakieś trawy czy korzonki, zbierali wszystko, co nadawało się do włożenia do ust. Doszło nawet do paru rewizji spowodowanych doniesieniem, że ktoś coś ukrywa. Prawie połowa grupy chorowała na biegunkę i po pierwszym incydencie zagubienia się kogoś, kto został z tyłu, i półgodzinnych prawie poszukiwaniach, trzeba było zatrzymać się co kilkanaście minut. Około południa wszystko uspokoiło się o tyle chociaż, że można było za jednym razem pokonywać prawie godzinne etapy.

Ramsay, który wysunął się na czoło, był jednym z tych szczęśliwców, których ominęły wszelkie somatyczne dolegliwości. Wyczerpany jednak głodem i bezsennością umysł płatał mu coraz dziwniejsze figle. Czasami zdawało mu się, że szosę zastępują już tylko promienie bladego słońca, a on mknie teraz wśród rzędniejących obłoków, czasem widział przed sobą dziwne, wyłaniające się z drżącej mgły miasta, znikające niczym fatamorgany na pustyni, ilekroć usiłował skupić na nich wzrok. Potem nastąpiły coraz wyrazistsze halucynacje. Rozmawiał z jakimiś ludźmi, to zwalniał, to przyspieszał, żeby wymanewrować zagradzające mu drogę gnomy, kłócił się z kimś, ku

zaskoczeniu dosłownie zielonej z powodu biegunki Idris, w zupełnie niezrozumiałym języku.

Otoczający ich kraj jakby współgrał z tworem jego rozgorączkowanego umysłu. Bezładne tereny, ukazujące w rozproszonym słońcu swą pustkę, darta rykiem silników cisza, porywisty, nie niosący ze sobą żadnych zapachów wiatr, brak ciągnących ku niebu dymów, ryku syren opustoszałych statków na mijanych rzekach, sprawiały coraz bardziej przygnębiające wrażenie. Niektóre zajazdy i motele, mijane z dużą szybkością, ciągle jeszcze były oświetlone pełnią neonów. Nie wiadomo, skąd brała się energia, jakie elektrownie czy linie przesyłowe były tak zautomatyzowane, że zniosły nieobecność człowieka. Nie zatrzymywali się przy żadnym z nich, poprzednie doświadczenia mówiły, że byłaby to tylko niepotrzebna strata czasu. Bary i spiżarnie swą sterylnością przypominały sale operacyjne w najlepszych szpitalach. Poprzednie fale wymiotły je do czysta. Szukanie w nich choćby okruchów skamieniałego chleba zakrawało na szaleństwo, jeśli nie miało się pod ręką mikroskopu.

Ramsay oprzytomniał dopiero wtedy, kiedy zatrzymali się pod ogromnym urwiskiem, z którego spływał niosący z daleka swe wody strumień. Wkłady do uzdatniających filtrów były na wyczerpaniu, sieć wodociągowa nie działała już nigdzie, a picie tego, co płynęło w zatrutych rzekach, było równie rozsądne, jak używanie w tym celu odczynników z fotograficznej ciemni. Problem zaopatrzenia w wodę stawał się więc równie palący jak zdobycie benzyny. Po długim smakowaniu, sprawdzaniu dość prymitywnymi metodami, napełniono wreszcie manierki, plastikowe worki i pojemniki.

Ruszyli dalej, ale tym razem zatrzymali się znowu bardzo szybko. Skądś z przodu dobiegł ich odległy jeszcze odgłos pracującego z regularnością maszyny żniwiarskiej cekaemu.

–Szląg! – Sprenger, który podjechał z tyłu, zahamował z piskiem opon. – I co teraz?

–Trzeba wysłać zwiad – Parks rozłożył podstawę swojej maszyny i wskoczył z nogami na siodelko. Lorneta okazała się jednak niepotrzebna. W całej okolicy nie widać było żadnego ruchu.

–I stracić ludzi – mruknął Ramsay. – A co proponujesz?

–Zjechać z autostrady – wskazał łagodne zbrocze. Tu mają nas jak na dłoni.

–Cholera, i zabić się w tym labiryncie bez mapy? Parks zeskoczył na dół. – Co o tym myślisz, Incy?

–On ma rację – pastor popatrzył na wymęczonych ludzi. – Niech ktoś rozwali barierki.

Kilku ludzi naparło przednimi kołami swych maszyn na metalowe zabezpieczenie. Trzy najbliższe słupki pękły z cichym trzaskiem.

–Serio zjeżdżamy?

Sprenger skinął głową. Jego ręka wysunęła się nagle ukazując wykwitły na horyzoncie obłok dymu. Po chwili dotarł do nich huk eksplozji.

–Psiakrew, no to szybciej! – Parks nagle dostał rozpędu. Skoczył na swoją Hondę, jednym kopnięciem zwalniając podpórkę. Z rykiem silnika poprowadził ludzi w dół przez podmokłe pole, na wijącą się wśród rzadkich drzew wąską szosę. Ramsay i Sprenger dołączyli do niego, znowu wysuwając się naprzód.

–Powoli! Niech nikt nie używa radia ani głośników. Kolumna z minimalną prędkością mijala kolejne zakręty.

–Może jednak wysłać zwiad?

–Myślisz, że ktoś się teraz podejmie? – Parks uderzył pięścią bak maszyny pastora. – Jedź sam.

Sprenger zdławił przekleństwo.

–A jeśli to pułapka?

–Mówię ci, jedź sam.

–Czekajcie, tam ktoś jest – wtrącił się Ramsay. – Gdzie?

–Stać! Coś błyszczy w lesie!

Czołówka zatrzymała się, ale z tyłu ciągle nadjeżdżali nowi ludzie. Maszyny tasowały się tworząc coraz większy zator. Skądś z tyłu dobiegł ich pojedynczy wystrzał.

–Psiakrew, gaz!

Kilkunastu jeźdźców runęło do przodu od razu z ogromną prędkością, z tyłu jednak utworzyło się kłębowisko, z którego dopiero po chwili zaczęły odrywać się małe grupki. Ramsay, który jako pierwszy wyskoczył na zakręt, zwolnił zaraz dając znak pozostałym. Widoczna w perspektywie prostej już teraz szosa prymitywna barykada świadczyła, że wpadli w pułapkę.

–Przygotować broń!

Sprenger, który odwrócił się do tyłu, zaklął tym razem głośno.

–Uformować linię!

Kilka osób oderwało się od barykady i biegło w ich stronę

–Nie strzelać! Nie strzelać, do cholery!

Wysoki, postawny mężczyzna z automatem w dłoniach zatrzymał się kilka metrów przed Ramsayem.

–Kim jesteście?

–Japońską wycieczką? A wy?



–Daj spokój, Warren – wtrącił się Sprenger. – To nasi... Tak? – spojrzał na dyszącego ciągle mężczyznę.

–Krzyżowcy – tamten uśmiechnął się lekko. – Dwie grupy. Każcie waszym ukryć się w lesie, a wy chodźcie.

Sprenger skinął na Parksa i Schirmera.

–Reszta do lasu – krzyknął. – Ukryć się i siedzieć cicho.

Spojrzał na zaparkowane wśród drzew dziesiątki motocykli i otaczających je przeważnie młodych ludzi, ubranych w skórzane kurtki.

–I bez żadnych burd – dodał.

Ramsay zostawił BMW pod opieką Idris, której ręka pozwalała już na prowadzenie. Razem z innymi pieszo ruszył w stronę barykady z wyciągniętych na asfalt połamanych pni i fragmentów maszyn.

–Schylcie się, do cholery – prowadzący ich człowiek szedł przygięty, jakby zastygł w jednym z najgłębszych, japońskich ukłonów. – Jeśli sądzą, że tamci po drugiej stronie mają tylko proce, to jesteście w grubym błędzie.

Cała czwórka pochyliła się natychmiast. Po kilkadziesiąt krokach, kiedy wyprostowali się wreszcie w cieniu przewróconego traktora, byli równie zdyszani jak ich przewodnik. Siedzący za pniami ludzie podnieśli głowy.

–Kto jest waszym przywódcą? – spytał pochylony nad rozłożoną wojskową mapą jedyny starszy w tym towarzystwie mężczyzna.

–Vella – powiedział Ramsay. – Ale zginął niedawno.

Odpowiedź została przyjęta bez komentarza. Sprenger przedstawił przybyłych. Facet nad mapą schylił głowę w szyderczym ukłonie.

–Ja jestem Astley. Szefem drugiej grupy jest Vats wskazał na wysokiego chłopaka, który mógł mieć najwyżej dziewiętnaście, dwadzieścia lat. – A ci tam, to Lang, Crooke i Budger. Ile macie wszystkiego?

–Prawie setka ludzi i jakieś sześćdziesiąt maszyn powiedział Schirmer. – A wy?

–Ponad dwieście pięćdziesiąt i dużo mniej niż dwieście maszyn. Benzyna na ukończeniu.

–A co tam jest? – Ramsay wychylił ostrożnie głowę ponad barykadę. Kilkaset metrów dalej droga usłana była przewróconymi motocyklami i ciałami tych, którzy ich dosiadali. – Chryste...

–Jakaś grupa próbowała się tędy przedostać parę dni temu – ciągnął Astley. – Wykonali szarżę z marszu, no i... – zawiesił głos. – Został tylko Budger – klepnął w ramię chłopaka o drżących nerwowo rękach i rozbieganych oczach. – Jedyny, który nie dostał się w ich ręce.

–Ilu ich tam jest?

–Tysiące! Tysiące... – Budger zerwał się, ale natychmiast osadziło go parsknięcie Schirmera.

–A może miliony?

–A jak w ogóle wygląda sytuacja? – wtrącił się Ramsay, żeby załagodzić spięcie.

Astley wzruszył ramionami.

–Wiem, że na wschód od nas przediera się ponad siedemset osób. Nie ma na nich co liczyć, muszą być ostro do przodu.

–A na zachód?

–Tam muszą być tysiące naszych. Łatwiejszy teren, ale gorzej z benzyną – zastanawiał się przez chwilę. Nie mam pojęcia, gdzie są poszczególne grupy. Nikt nie ma.

–Albo czekamy, aż pojawi się ktoś jeszcze za nami – powiedział Vats – albo...

–Szarża? – spytał Schirmer.

–Jasne. Mamy teraz trzysta pięćdziesiąt luf, które zaczną pruć...

–Tym z przodu wystarczy jedna – przerwał mu Ramsay. – Cekaemu.

–A niby co proponujesz?

Ramsay nachylił się nad Budgerem.

–Co jest dalej?

–Pierwsza linia jest w lesie, który widać – chciał wstać żeby pokazać, ale Crooke ściągnął go za rękaw. Dalej las jest rzadszy, tam nikogo nie ma, potem szosa się rozszerza, z obu stron są betonowe parkingi, tam jest druga linia za workami z piaskiem...

–Dużo silniejsza?

–Tak.

–Skąd wiesz? – oczy Vatsa rozszerzyły się w zdziwieniu.

Ramsay spojrzał na niego z lekkim westchnieniem. Potem powrócił do Budgera.

–A dalej?

–Nie wiem. Cholera, nie wiem – chłopak zaczął drżeć na całym ciele. – Zaczęli strzelać ze wszystkich stron... Stanęliśmy przed ścianą ognia!

–Ciszej – warknął Astley zerkając na swoich ukrytych w lesie ludzi. – Ciszej do cholery!

–Tam... Tam... Rozwalili wszystkich! Płonęli ludzie i maszyny, kilku zaczęło biec, ale złapali ich i... – chłopak dygotał coraz bardziej. – Jeden się przedarł! Zastrzelili go...

–Gdzie?

–Zabili go!

–Gdzie? Gdzie do jasnej cholery?! – Ramsay nagle zmienił ton. – Hej, chyba się nie rozkleiłeś?

–Na moście! – krzyknął Budger. – Ja uciekłem w las, ale... – opuścił głowę. Nie widzieli, czy płakał, ale stało się jasne, że nic więcej z niego nie wydobędą.

–Crooke, odprowadź go – Astley nerwowo pocierał brodę. – I niech nie gada za dużo między ludźmi.

Lang wyjął z kieszeni papierosy i nieoczekiwanie poczęstował pozostałych. Ręce Ramsaya i Schirmera wyciągnęły się tak skwapliwie, że zostawił im całą paczkę. Jedyne Sprenger patrzył na nich z politowaniem.

–I co o tym myślicie? – spytał Astley.

Ramsay chciwie zaciągał się dymem. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

–Atakowali wzdłuż drogi – znów skądś przyplątał się nabyty w szkole piechoty żargon. – A tamci byli na to przygotowani. Ci z przodu, to tylko mały oddział rozpoznawczy. Siły główne korkują punkty taktycznie ważne: parkingi i most... – zamilkł na chwilę, gryząc wargi. – Na pewno mają coś pomiędzy, ale... to sam drobiazg.

–Co proponujesz?

–Ja?

Astley spojrzał pytająco na pastora, Schirmera i Parksa, potem przeniósł wzrok z powrotem na Ramsaya.

–Nie wiem, jak tam u was jest z dowodzeniem, i nie chcę się wtrącać... Ale ty masz o tym jakieś pojęcie.

Vats również patrzył na niego uważnie.

–Myślę, że to ty powinieneś poprowadzić ludzi.

–Cholera, o co wam chodzi?

–Oni mają rację – dorzucił Schirmer, ale jak zwykle kierowały nim inne pobudki. – Każdy przecież pamięta ten numer, jaki wykręciłeś z Idris na US5.

Parks potwierdził skinieniem głowy. Jedynie Sprenger stał nieporuszony.

–No to załatwione – Astley nachylił się nad mapą. – Mów, co robić.

Ramsay oszołomiony potrząsnął głową. Mimo wyczerpania strach odezwał się w nim ze zwykłą siłą.

–No dalej – mruknął Vats. – Nie myśl za dużo, bo od myślenia tylko głowa boli.

Ramsay przełknął ślinę.

–Wszystkich, którzy nie muszą prowadzić maszyn, wszystkich pasażerów trzeba spieszyć. Dać im miotacz ognia, granatniki i przynajmniej dwa ciężkie karabiny.

–Będziemy mieli piechotę.

–Właśnie. Oddział szturmowy w nocy przekradnie się w głąb obcych linii i zaatakuje most. Koniecznie musi zająć oba przyczółki.

–A reszta? – spytał Vats.

–Spokojnie. Ile osób możemy spieszyć?

–Jakieś sto... sto dziesięć osób – mruknął Astley.

–Wystarczy. Do tego dodamy jeszcze trzydziestu jeźdźców. Oddział szturmowy przeniesie im maszyny, które uruchomią dopiero między mostem a parkingiem. Zaatakują od tyłu parking, ale nie muszą nic zajmować. Kiedy tylko tamci skoncentrują ogień, wycofają się i pomogą tym przy moście.

Ramsay czuł, że zaczyna tworzyć coś zbyt skomplikowanego, co może rozsypać się w ogniu na samym początku.

–Pozostałych dzielimy na trzy równe grupy po siedemdziesiąt maszyn. Pierwsza, którą poprowadzi Astley, będzie się przedzierać przez las, żeby z boku uderzyć na parking. Pozostałe dwie, Vatsa i moja, wykonają płytkie okrążenie i zaatakują pierwszą grupę w lesie. Nie atakować prostopadle do drogi, bo sami się powystrzelamy, nie zatrzymywać się, bo nie zamierzamy ich pacyfikować, kto zostanie, to już po nim...

–A potem? – spytał Astley.

–Dwie połączone grupy atakują po linii szosy parking, gdzie łączą się z twoją. Potem razem przez most zabierając piechotę i... Nie wiem co dalej – wyznał nagle. – Nie znamy tamtego terenu...

Spodziewał się nawału pytań, ale jedyną reakcją kilku obecnych było kiwnięcie głową.

–Szlag – dopiero teraz zdał sobie sprawę z paranoidalności sytuacji, w jaką zabrnął. – I trzymajcie się swoich oddziałów, do cholery, bez indywidualnych popisów jak w przydrożnych osadach.

–Co to znaczy indywidualnych? – spytał jedynie Vats z trudem wymawiając podejrzanę słowo.

Sprenger tylko jęknął.

Do nocy zostało jeszcze trochę czasu, więc rozeszli się do swoich oddziałów. Krzyżowcy, którzy mieli ostatnio trochę więcej szczęścia, podzielili się z nową grupą resztkami jakichś ochłapów, co spowodowało nową epidemię żołądkowych dolegliwości. Ramsay nie mógł jednak wytrzymać ożywionych rozmów na temat czekającego ich zadania. Każde skojarzenie przypominające mu to, co go czeka, powodowało jakiś bolesny skurcz, coś jakby zacięcie w jego skołatany umyśle. Odszedł daleko w las unikając spotkań z kręcącymi się wszędzie jak na pikniku ludźmi. Zrobił wszystko, żeby nie myśleć o sytuacji, w jakiej się znalazł, ale nie było mu dane długo rozkoszować się tym stanem. Incy Sprenger odnalazł go już po kilku minutach.

– Mam nadzieję, że wiesz, w co się wpakowałeś zaczął bez żadnych wstępów.

Ramsay uniósł do góry oczy w geście udanej udręki.

– Ja? To wyście mnie wpakowali.

– Są dwie możliwości – Sprenger usiadł tuż obok na spróchniałym częściowo pniu dawno uciętego drzewa. Albo ci się uda i zostaniesz rzeczywiście naszym przywódcą, a może nie tylko naszym... Albo... – zawiesił głos spoglądając w bok. – Wiesz, co się działo z admirałami dawnych flot, jeśli spowodowali klęskę? – Wiem – poczuł, że ogarnia go jakiś dziwny, płynący z rezygnacji spokój – i dziękuję za pocieszenie.

– Ja nie w tym sensie – Sprenger potrząsnął głową. – Nie wiem, skąd się na tym znasz, ale pozwól sobie zwrócić uwagę, że największym atutem motorowych watach jest ich szybkość i manewrowość... Przede wszystkim szybkość, a nie siła przebiccia.

– No i co z tego?

– A ty traktujesz je jak czołgi. Ramsay uniósł głowę.

– Hej, a teraz ja z kolei zapytam, skąd ty o tym wiesz? Kim naprawdę jesteś, do cholery?

Sprenger uśmiechnął się smutno, wzruszając ramionami.

– Jestem zwykłym pastorem – powiedział cicho. Wiesz, co to jest powołanie? – spytał nagle. – Nie, nie możesz nic wiedzieć o tych ciągłych wątpliwościach, ciągłych zmaganiach z samym sobą, na które skazany jest człowiek inteligentny, jeśli się z tym zetknie. Nie, to nie są wątpliwości, to nieustająca walka, nieustające pasmo wielkich i małych bitew pogrążonego w rozpacz wojownika.

Sprenger mówił tak szybko, że trudno było nadążyć za tokiem jego rozumowania. Wyrzucał z siebie potok słów z taką siłą, jakby wraz z nim chciał pozbyć się dręczących go demonów. Albo... jak student recytuje wyuczony na pamięć tekst, byle szybciej skończyć z nieprzejeźnym egzaminem. – Siłą rzeczy, patrząc na ludzi przychodzących do wielkiej sali, zasiadających na ławach i spoglądających na siebie, wmawiasz sobie, że robisz to dla nich. Że ciągle klęski, ciągle upokorzenia twojego rozumu są darem dla nich właśnie. Potem zjawia się ich coraz mniej i oskarżasz siebie, że to ty zawiniłeś, a oni odkryli wreszcie twój fałsz. Aż nadchodzi dzień, w którym sala zostaje pusta. Stoisz tam, gdzie powinieneś stać i patrzysz na otwarte drzwi, przez które wpadają promienie słońca, na puste ławki, jesteś zdruzgotany ciszą...

Ramsay wyobraził sobie nagle Sprengera, jak siedzi na ławce przed świątynią, od czasu do czasu unosi opuszczoną głowę, żeby spojrzeć na zaśniedziałe wskazówki swojego staromodnego zegarka i opuszcza ją znowu. Zrobiło mu się go żal, ale miał ochotę skłąć

swój tani sentymentalizm. Pamiętał, że będąc małym chłopcem potrafił snując takie rozmyślenia doprowadzić się nawet do płaczu.

–Sam sobie jesteś winny – dosłownie zmusił się do powiedzenia tego zdania. – Poszli za silniejszym. Ty ich tylko przygotowałaś.

Sprenger przyjął cios bez słowa, a Ramsaya znowu ogarnęła wizja człowieka siedzącego na ławce. Człowieka, który nie był przygotowany na szukanie pocieszenia w alkoholu, nie mógł skorzystać z żadnego ze znanych innym ludziom sposobu odwracania uwagi.

–Wtedy pomyślałem, że zemszczę się za te wszystkie lata. Nie wiem na kim. Myślałem, że odbiję sobie wszystko, że będę hulał, pił, szalał z dziewczynami... Szlag, czy możesz uwierzyć, że nikt mnie nie chciał. Nie byłem przygotowany do tego życia, odstawałem od wszystkiego, od ludzi, od... Cholera. Nie o to mi chodzi. Zacząłem szukać jakiegokolwiek idei, ale...

On też? – pomyślał Ramsay.

–Nie wiedziałem przedtem, jak wielkie jest zagubienie choć trochę myślącego człowieka. Kiedy religia już nie wystarcza, kiedy wszyscy wokół uważają, że zapanował kryzys racjonalnego myślenia, brak jakichkolwiek autorytetów przyprawia o rozgoryczenie. Cholera – potrząsnął głową. – Kultura narzuciła aparat pojęciowy utrudniający orientację do tego stopnia, że komplikująca się sytuacja zmusza człowieka nie do szukania drogi, ale do poświęcania czasu na określanie, żeby nie użyć słowa okopywanie, własnych pozycji. Ramsay przybity ciężarem tego, co czekało go w nocy, wyjątkowo nie miał dzisiaj ochoty na dyskusję. Kiedy jego zmęczony umysł znajdował wreszcie odpowiedź na jakąś kwestię, Sprenger zaczynał już następną.

–Kiedy zrozumiałem, że nie ma się czego trzymać, chciałem dojść do tego, czy są granice fikcji, czy wszystkie zjawiska są, tylko fragmentami większej ułudy i nagle zrozumiałem, że właśnie przegrałem. Że dałem się wciągnąć w to wszystko, że wahania sparaliżowały jakąkolwiek decyzję. Sparaliżowały wszelkie działania...

–I wtedy przyłączyłeś się do nomadów? – spytał Ramsay.

Sprenger skinął głową.

–Strzelanie do wszystkiego, co się rusza, i niekończąca się droga mogą stanowić odpowiedź?

–Nie – pastor uśmiechnął się, ale tym razem tkwiła w nich jakaś siła. – To tylko odroczenie czasu odpowiedzi. Przesunięcie. To tak jakbyś zaciągnął się papierosem, kiedy ktoś zada ci pytanie, zamiast od razu trzaskać dziobem.

Ramsay zagubił się nagle w ciszy, jaka zapanowała po ostatniej wypowiedzi. Poczuł, że musi ją przerwać.

–Słuchaj, pozwól, że posłużę się pewnym porównaniem...

–Błagam, tylko bez analogii – Sprenger stracił już jednak chęć do dyskusji. – One nie są dowodami.

–Nie chcę dawać dowodu. Chcę ci tylko pokazać na przykładzie...

–Właśnie. Ale każdy przykład rodzi od razu kontrprzykład. A to powoduje, że rodzą się od razu kolejne tematy. Dam sobie uciąć rękę, że w ten sposób skacząc z przykładu na przykład, wychodząc – dajmy na to – od istoty religii Duckwortha, po godzinie będziemy się

spierać o liczebność armii niemieckiej w chwili ataku na Polskę.

Ramsay uśmiechnął się mimo woli. Wstał przeciągając zdrętwiałe mięśnie.

–Chodź, trzeba się przespać przed świtem – powiedział mimo absolutnej pewności, że znowu nie zdoła nawet zmrużyć oka.

*Panie doktorze, być może zwracam się do pana po raz ostatni. Napisałem na okładce tego notesu pańskie nazwisko i adres. Możliwe, że jakimś cudem dotrze on do pana po mojej śmierci. Po raz pierwszy w życiu, bez jakiegokolwiek praktycznego doświadczenia mam dowodzić atakiem.*

*Czy wie pan, doktorze, co czuł Atylla nacierający na czele swoich Hunów? Aleksander Macedoński czy Napoleon na czele swojej gwardii? A może Patton, formujący przed walką swoje czołgi, Montgomery pod El Alamein?... Wie pan? Jeśli tak, to też nie ma pan pojęcia o tym, co teraz czuję. Założę się, że ani Patton, ani Atylla nie rzygali przez pół nocy, przez drugie pół faszerując się środkami nasennymi po dziurki w uszach.*

Silniki motocykli rozgrzewano kilkakrotnie w ciągu nocy, odprowadzając je daleko do tyłu, żeby wyznawcy Duckwortha nie zorientowali się w celu tych manewrów. Teraz maszyny podprowadzono kilkaset metrów przed pierwszą linię obrony i nie powinno być z nimi większych kłopotów. Rzadki las sprawiał co prawda wiele trudności, jeśli chodzi o maskowanie, ale za to powinien być przejezdny na małej czy nawet średniej prędkości. Piechota, która już w środku nocy zaczęła wykonywać głębokie obejście, powinna od dawna być już na stanowiskach przy luce między drogą a trzecią linią. Czekano teraz na rozpoczęcie ataku z ich strony, kiedy tylko widoczność poprawi się o tyle, że będzie można ruszyć przez las.

Ramsay, wpatrzony w szarzejące powoli niebo, był zbyt otępiały, żeby jakiegokolwiek, poza trawiącym go ciągle niepokojem, uczucie zdołało przedrzeć się przez zaporę, jaką w jego mózgu utworzyły wydębione od Langa proszki. Właściwie cieszył go ten stan bezruchu, wypełnienie watą bezimiennych chwil i odczuwanie tylko jakimś podskórnym drżeniem minut i godzin, które płynęły dziwnie wolno rozkurczliwym strumieniem czasu. Miał ochotę trwać tak, zagubiony wśród klnących pod nosem, wiercących się na swoich stanowiskach ludzi, aż trawiony głodem organizm przestanie podtrzymywać tłące się w nim życie.

Któryś z krzyżowców podał mu krążącą wkoło butelkę wódki. Odruchowo wypił kilka drobnych łyków palącego, duszącego oddech płynu i przekazał ją dalej. Jeszcze raz spojrzał na ostre kontury drzew, kiedy dobiegł go nagle odgłos najpierw pojedynczych, a potem coraz gęstszych strzałów. Było to tak niespodziewane, że długą chwilę był skłonny traktować je jako naturalne odgłosy lasu. Rozejrzał się po otaczających go ludziach dziwiąc się, dlaczego nagle zamarli wpatrując się w niego. Ziewnął, dosłownie czując jednak, że jakaś myśl przedziera się przez stawiające jej coraz większy opór tamy jego umysłu. Coś miałem zrobić? Cholera...

–Ruszaj Astley – powiedział cicho, do końca nie ogarniając znaczenia tych słów. Słyszał, jak coraz bardziej zajadłą, ale odległą jednocześnie, strzelaninę zagłusza huk uruchamianych silników.

–Vats i cała reszta – zmusił się do krzyku, ale ochryply głos płatał mu figle. – Ruszać, do cholery!

–Panzergranadier SS Division... – zaczął Vats, ale Ramsay włączył już swój głośnik.

–Zamknij się, szczeniaku – wrzucił bieg i puścił sprzęgło tak szybko, że BMW skoczyło do przodu oślepiając pozostałych kaskadami wyrzuconej spod kół ziemi. Czuł, że traci kontrolę nad szalejącą maszyną. Jego osłabiony refleks i ciągle tonący w przedziwnym śnie na jawie umysł nie były w stanie zmusić rąk do manewrowania kierownicą przy wymijaniu pojawiających się z przodu drzew. Ramsay parł po prostej dziwiąc się, że nie słyszy jeszcze eksplozji zmasakrowanego o jakąkolwiek przeszkodę jego własnego zbiornika z paliwem. Dopiero po niesamowicie długiej, wypełnionej paraliżującym strachem chwili zrozumiał, że trzeba zwolnić. Szarpnął hamulec, ale inne maszyny były już tak blisko, że niebezpieczeństwo zmieniło tylko swój charakter. Tańczące na wybojach, błyskawicznymi skrętami ratujące się przed zderzeniem z drzewami, motory co chwilę stwarzały sytuacje grożące kolizją. Skądś z boku pojawiła się droga, ale za nią w lesie po przeciwnej stronie nie było widać grupy Vatsa. Ramsay odwrócił głowę, żeby w ostatniej chwili, rozpaczliwym manewrem wyminąć leżący przed nim, z obracającym się jeszcze kołem motor kogoś z oddziału Astleya. Ludzie jadący na prawym skrzydle otworzyli ogień, pozostali wyciągali się w linię, żeby sformować lewe ramię klina. Skądś z boku, z pozycji na drodze, załomotał erkaem obrońców. Ktoś wrąbał się w drzewo, dwie inne maszyny zderzyły się z hukiem i odpadły od siebie podcinając inne, które sunęły bokiem po wilgotnej od rosy trawie.

Ramsay tkwił gdzieś ponad tym czując, że już od dawna maszynę prowadzi jego pozbawione świadomej kontroli ciało. Tabletki nasenne i alkohol sprawiły, że przekazywany przez oczy obraz zacierał się i rozdwajał, współgrając z pulsującą w coraz szybszym rytmie krwią. Strzelanina urwała się nagle, ale on dalej widział opasujące go smugi najdzikszych kolorów.

–Na drogę! Na drogę! – krzyczał ktoś blisko, coraz bardziej ochryłym głosem. To on sam? Nie bardzo mógł uwierzyć. Wiedziony podświadomym impulsem, podążając za innymi, wydarł przez łagodny nasyp na szeroką w tym miejscu szosę, zachwiały na wilgotnym asfalcie i z trudem łapiąc równowagę pognął do przodu z rosnącą szybkością. Chłodny wiatr otrzeźwił go nieco, ale wraz ze świadomością zdarzeń i rzeczy przyszedł też strach. Ramsay rozejrzał się wokół. Nie widział nigdzie grupy Vatsa, złowieszcza cisza z przodu świadczyła, że oddział Astleya również nie dotarł na swoje miejsce.

Wiedział, że w ataku liczy się tylko szybkość. Jeśli nie ma przewidzianych planem brygady czołgów i dwóch batalionów piechoty, to trzeba atakować oddziałem telefonistek i kucharzem. Byle szybciej. Szybciej! Nie miał jednak pojęcia, jak rozwinąć jeźdźców do uderzenia z marszu. Rosnąca szybkość pożerała mu czas potrzebny na podjęcie decyzji. Już widział, jak drobne sylwetki i odciągnięte na chwilę atakiem grupki towarzyszącej piechocie zajmują stanowiska za stertami napełnionych piaskiem worków. Widział ich karabiny równające do jednego poziomu, coraz bliżej. Teren dzielący ich od umocnionego parkingu kurczył się z przerażającą szybkością, żadne czołgi, żadne wojskowe pojazdy nie były w stanie szarżować z prędkością prawie dwustu kilometrów na godzinę. Ale czas miał swoje własne prawa, działając w odwrotną stronę rozciągał upływające sekundy do nieprawdopodobnych zupełnie granic.

–Zapalić reflektory! Później zwolnić! – przez moment wyobraził sobie, co będzie efektem impetu, z którym wpadliby na umocnienia.

Nomad owie zaczęli strzelać, ale kanonada ginęła w zalewie wzmocnionych aparaturą

okrzyków i wycia. Mimo że ogień nie mógł być skuteczny, pierwsza linia obrońców załamała się nagle. Drobne postacie uskakiwały na boki ze ślimaczym refleksem, który wpychał je pod koła pierwszej fali. Pojedyncze maszyny runęły na umocnienia rozrzucając kołami worki. Motocykliści podnosili się z ziemi i parli dalej torując przejście. Z tyłu huknęły salwy, zwalając od razu kilkunastu jeźdźców. Stworzył się zator, z którego odrywały się poszczególne maszyny. Część ludzi zajmowała stanowiska na poboczu odstrzeliwując się niemrawo.

–Do przodu! Wszyscy do przodu! – ryczał Ramsay. Skądś z boku rozległy się pojedyncze strzały i między drzewami pojawiły się pierwsze motocykle.

–To Asley! Nie zatrzymywać się! – Ramsay dodał gazu manewrując pomiędzy wywracającymi się maszynami. Ludzie podnosili się jednak, dźwigali ciężkie motory albo wskakiwali na plecy tych, którym udało się utrzymać równowagę.

Członkowie grupy Astleya, którzy coraz liczniej przedostawali się na szosę, dokonywali cudów zręczności, żeby nie podcinać atakującego pierwszego oddziału. Gdzieś w trzech czwartych długości rozległego parkingu połączyli się jednak i rozbijając coraz bardziej luźne szeregi obrońców dotarli do wylotu szosy. Tu znowu utworzył się zator tym niebezpieczniejszy, że ktoś zaczął zwoływać do kontrataku rozproszonych obrońców, którzy nie mogli przecież ponieść zbyt dużych strat. Z tyłu wpadł na nich wreszcie Vats, ostrzeliwując parking w kilkakrotnie mniejszym czasie niż pierwsza fala. Ramsay kazał mu przez radio zebrać rannych i zagubionych, sam na czele połączonych dwóch grup ruszając dalej. Tymczasem uporządkowany przez Astleya szyk umożliwił znowu rozwinięcie większej szybkości. Ramsay po raz pierwszy przeżył tę jedną ulotną chwilę, pozwalającą dotknąć ukrytej wśród okropieństw poezji wojny. Cały oddział mknął w kierunku mostu ostrzeliwując nieliczne, usiłujące się przedrzeć do drogi, grupki obrońców. Jeszcze nie nastąpił czas, żeby liczyć zabitych, jeszcze do nikogo nie dotarł problem rannych i tego, co mogło ich czekać. Przerazający pęd dawał mroczną, ale i kuszącą siłę, która, zdawałoby się, potrafi przełamać wszystko, co stanie na jej drodze. Czując, że traci jakąkolwiek kontrolę nad rzeczywistością, poddał się usiłującemu wyrwać mu oddech wichrowi, rykowi potężnego silnika. Cisnął gaz, jakby chciał wydrzeć silnik swojej maszynie, jakby chciał zawładnąć jego mocą zmuszając ją do ulegania już tylko jego woli. Z trudem doganiający go ludzie zaczęli krzyczeć, żeby się opamiętał, ale on pędził wprost na opanowany przez piechotę przyczółek mostu i tylko siedząca z tyłu Idris uratowała ich przed rozbiciem się o zgromadzone na drodze betonowe płyty, silnym kopnięciem wyrzucając bieg.

Oblegający spieszonych nomadów ludzie rozpierzchli się na sam widok przybywających z odsieczą jeźdźców. Ramsay usiłował ochłonać, lejąc sobie na głowę zawartość jednej manierki po drugiej. Ktoś klepał go po ramionach, ktoś przytknął do ust szyjkę butelki z wódką.

–Spokojnie, spokojnie – powtarzał Lang, stojąc z uniesioną dłonią, jakby chciał cucić go uderzeniami w policzki. – Już spokojnie...

Idris mocowała nowy magazynek w chwycie automatu. Również nie wyglądała na zbyt przytomną.

–Załadowaliście ludzi? – Piechotę? Tak.

Ramsay musiał zmrużyć oczy tak, że pozostawały jedynie wąziutkie szparki. Nie



wiadomo dlaczego boleśnie raziło go ciągle rozproszone jeszcze światło. Z boku nadbiegł Astley.

–Walimy przez most? – z trudem łapał oddech. Ci idioci nie zajęli drugiego brzegu.

–Wyślij tam kogoś.

–Już pojechali – podetknął mu włączoną krótkofalówkę. – Mówią, że tam nikogo nie ma. Ramsay nie był w stanie usłyszeć słabego głosu dobiegającego ze słuchawki.

–Pułapka?

–Nie wiem. Jedziemy?

–Tak, do cholery.

Ludzie pośpiesznie wskakiwali na siodelka. Małe grupy jeźdźców bezwładnie wdzierały się na most, jadąc w wyciągniętych liniach tuż przy barierkach. Minimalna początkowo szybkość wzrastała w miarę zbliżania się do przeciwległego brzegu. Wszystko wyjaśniło się, kiedy dotarł tam Ramsay. Tuż przy zrujnowanym, wypalonym do fundamentów budynku stacji obsługi stał zaparkowany olbrzymi ciągnik siodłowy z naczepioną cysterną napełnioną, jak wskazywały napisy, wysokooktanowym paliwem do samochodów. Ludzie przepychali się wokół, napełniano kanistry, wiadra, a nawet znalezione gdzieś miednice, przelewając potem benzynę do pustych prawie baków. Ramsay chciał krzyknąć coś o pułapce, ale wiedział, że nie ma w tej chwili siły zdolnej ich powstrzymać. Rozejrzał się wokół, widząc z przerażeniem, że na moście, tuż za ostatnimi motocyklistami, formuje się grupa ludzi w zaimprovizowanym kontrataku. Zostawił maszynę Idris i podbiegł do Vatsa.

–Weź paru ludzi i zatrzymaj tamtych – krzyknął czując, jak drżą mu zdrętwiałe mięśnie nóg.

–Człowieku, ja też chcę się dorwać do żłobu.

–Starczy dla wszystkich... – Ramsay patrząc na rozgorączkowaną twarz chłopaka nagle zmienił taktykę. Słuchaj, weź swoją grupę i ruszaj na most. To będzie najpiękniejsza szarża w historii kawalerii.

–Lepiej go posłuchaj – z boku nagle zmaterializowała się postać Sprengera z wymownie opartym na biodrze erkaemem.

–Żeby was wszystkich szlag trafił!

–Astley – Ramsay zatrzymał przebiegającego obok, obciążonego dwoma kanistrami człowieka. Ten od razu domyślił się, o co chodzi.

–No jazda smarkaczu! Starczy i dla twoich... uwolnił jedną rękę sięgając do kabury przy pasie.

Vats klnąc zaczął zwoływać ludzi. Rozgardiasz powiększał się z każdą chwilą. Ktoś przewrócił się nagle, wylewając dwa wiadra, intensywny zapach benzyny tężał z każdą chwilą.

–Cholera, zaraz się ugotujemy.

Sprenger chwycił Astleya za klapy.

–Dziel ludzi na grupy! – krzyknął. – Ci, którzy zatankowali, niech blokują szosę – wskazał na pobliskie skrzyżowanie. – Reszta na wzgórze, podchodzić kolejno!

Nic jednak nie było w stanie opanować rosnącego rozprzężenia i bałaganu. Vats może z jedną trzecią swoich ludzi poprowadził atak na moście, ale szarża nie miała nawet dziesiątej części impetu, z jakim atakowali cysternę ci, którzy jeszcze nie zdążyli zatankować.

Natarcie ugrzęzło gdzieś w połowie mostu, potem ludzie zaczęli cofać się. Część z nich okopała się na przyczółku ostrzeliwując niemrawo nacierających. Astley pobił kogoś, kto niósł miednicę z benzyną, trzymając w ustach `papierosa. Kilku ludzi na moment odepchnęło tłum, napełniając paliwem plastikowe beczki. Wokół cysterny wybuchały bójki, dosłownie chwile dzieliły ludzi od użycia broni. Kolor powierzchni licznych kałuż wskazywał, że wypełniający je płyn nie był bynajmniej wodą. Wzmocniony niedobitkami z parkingu kontratak docierał już do przyczółka po ich stronie rzeki.

–Wycofujemy się! Wszyscy do tyłu! – krzyknął Ramsay.

Astley strzelając nad głowami kłócących się ludzi usiłował rozpedzić zbiegowisko.

–Wycofywać się! Podzielimy się benzyną z beczek! Ramsay i Sprenger siłą odebrali kilka ciężkich kanistrów dwóm bijącym się dotąd między sobą ludziom i rzucili się biegiem na poszukiwanie swoich maszyn. Pilnująca ich Idris wykazała się ogromnym sprytem, skoro zdołała nie tylko napełnić bak BMW, ale także wszystkie dostępne jej naczynia. Siedziała teraz naburmuszona, opatulona w puchową, zbyt ciepłą jak na słoneczny poranek kurtkę, bo jej koszula zwisała w strzępach gdzieś z gałęzi krzaków otaczających cysternę.

–Cofać się, do cholery!

Linia obrony oparta na okopanych za przyczółkiem stanowiskach pękła nagle, a tworzący ją ludzie dopadli swych maszyn i runęli w tył, omijając pustoszejący plac, zavalony teraz porzuconymi wiadrami i kanistrami. Ława jeźdźców, jakby ignorując krzyżujące się tu szosy, ruszyła przez pola byle dalej od mostu, który zdążył już przykryć dym z eksplodującej i płonącej teraz szerokim strumieniem benzyny.

*Całą kolejną noc spędziłem siedząc pod drzewem i ważąc w dłoni zabrany jakiemuś zmarłemu pistolet. Całe te cholerne dziesięć godzin patrzyłem w wylot jego lufy, o ile oczywiście pozwalala na to panująca wokół ciemność. Błagam tylko, niech pan nie pyta, doktorze, co zamierzałem zrobić. Sam nie mam najmniejszego pojęcia. Odnoszę wrażenie, że nie wiem już nic.*

*Niech pan sobie wyobrazi, że coś we mnie (a może poza mną) poprowadziło atak na pozycje sekciarzy Duckwortha, a to pozwoliło nam na przedostanie się do jakiegoś dziwnego, absolutnie pustego kraju, gdzie można spotkać wszystko: nadające się ciągle do użytku maszyny, całe, choć wymiecione do cna domy, wspaniałe drogi i tak dalej, ale do cholery, nie ma tu ani śladu człowieka. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie podziła się taka masa ludzi. Nie widać stosów trupów ani zbiorowych mogił. Nie wiem też, czy z tych terenów ewakuowano kogokolwiek. Sprenger twierdzi, że wyemigrowali do Meksyku, gdzie ponoć łatwiej o żywność, ale nie bardzo chcę w to wierzyć. W każdym razie wszystko wokół wpędza mnie w coraz gorsze przygnębienie.*

*Nie wiem, co mi odbiło, ale wieczorem poszedłem przyjrzeć się rannym. Mimo że ostrzegali mnie i Sprenger, i Idris, nie spodziewałem się, że przeżycie będzie aż tak wstrząsające. Lang który wśród krzyżowców pełni rolę czegoś w rodzaju felczera, robi co może, ale ich los zdaje się przypieczętowany. Nie możemy ich zostawić, a transport na motorach wybija z nich życie kilometr po kilometrze. W jednej chwili runęła w proch euforia, jaka nastąpiła po szarzy; nie oszukujmy się, niesamowicie pociągająca siła zwycięskiej wojny i pewność siebie, w jaką wprawia, znikła gdzieś... Nie, bez huku czy łoskotu – w kompletnej ciszy. Ta łatwość śmierci, przerażająca zgoda na nią i te twierdze*

*niedostępne dla wszystkich odczuć, w których zamknęli się żywi i zdrowi, sprawiły, że coś pękło we mnie, choć zdawało się, że w środku nie ryza już niczego, co byłoby podatne na jakąkolwiek zmianę. Mam wrażenie, że otaczająca mnie pustka wdarła się jakoś do wnętrza, po cichu, jakby i tu, i tu, panować już miało zerowe ciśnienie. Boję się tego, boję się, że nie znajdę niczego, żadnego fundamentu. Moje cholerne pokolenie dało mi całą wspaniałą, czysto teoretyczną wiedzę o budowaniu, oprócz jednej jedynej informacji – skąd wziąć budulec.*

*Czuję się dziwnie, kiedy ludzie wokół uważają wspomniany atak za operację przeprowadzoną jak w podręczniku. Dwie grupy krzyżowców, Astleya i Vatsa, zostały z narazi i mimo że nikt nie powiedział mi tego wprost, odnoszę wrażenie, że chcą, żebym wskazał im drogę. Chryste, ja naprawdę nie wiem, co teraz trzeba zrobić. Powoli zaczynam rozumieć Vellę i jego ciągłe samooskarżanie. Ale nie wiem, nie wiem, co trzeba zrobić, kiedy ponad trzysta osób spogląda na ciebie (bez przynaglania, bez śladu zdenerwowania) ze świętym przekonaniem, że wszystko, co dzieje się wokół, zachodzi za moją sprawą. Jeśli dotąd nie podjąłem żadnej decyzji, to uważają, że nie było po prostu takiej potrzeby. Myślą chyba, że w odpowiednim momencie sam ich skieruję we właściwą stronę.*

*Mam wrażenie, panie doktorze, że od dłuższego czasu powtarzam w kółko tę samą myśl. Nie wiem, co mam robić, nie potrafię odnaleźć w sobie niczego, co pozwoliłoby mi nadać jakikolwiek kierunek choćby samemu sobie.*

–Walimy z marszu? – Parks zatrzymał swoją maszynę tuż obok prowadzącego.

Ramsay wysilił wzrok, ale nie był w stanie dostrzec leżącej w niewielkiej kotlinie mieściny. Mimo w miarę płaskiego, zupełnie odkrytego terenu drgające powietrze tworzyło zasłonę zupełnie nieprzenikalną dla jego zmęczonych, podpuchniętych oczu.

–Jesteśmy jak na dłoni – Parks z niechęcią spojrzął na biegnących w porastające pobocze rachityczne krzaki ludzi, którzy wykorzystywali każdą przerwę w trwającym od rana maratonie. – Ale z drugiej strony nie widać tam żywego ducha.

Stojący obok Sprenger opuścił trzymaną dotąd przy oczach lornetę.

–Miejmy nadzieję, że tu wreszcie znajdziemy coś do żarcia. Inaczej Bóg jeden wie, co z nami będzie.

–Taa... – Rudi Schirmer spojrzął na zaparkowane z tyłu setki maszyn. Większość jeźdźców zeszła z szosy. Nauczyć się picia benzyny, jak silniki, byłoby dość głupio – odwrócił głowę. – Rzućmy wreszcie to kręcenie się po bocznych drogach i walmy do porządnego, dużego miasta. Musiało w nim przecież coś zostać.

–Mhm – Sprenger wrócił do swojej maszyny. I stracimy sto procent stanu w walkach ulicznych.

–Myślisz, że tam właśnie gromadzą się ci cholerni sekciarze?

–Myślę, że nie tylko oni.

Wzrok wszystkich skupił się na Ramsayu, ale on miał ochotę tylko kłąć. Czego oni ode mnie chcą? Przemógł się jednak i powiedział w miarę spokojnie.

–Jedziemy.

Nie ruszyli od razu. Kilkanaście minut trwało zbieranie ludzi, czemu towarzyszyły niewybredne raczej dowcipy Schirmera, obrazujące co byłoby, gdyby cholerni sekciarze

dorwali nomadów bez spodni w krzakach. Kiedy czołówka dojeżdżała do pierwszych zabudowań miasteczka, kilkudziesięciu ludzi uruchamiało jeszcze swoje maszyny na łagodnym wzgórzu.

Improwizowany, obronny szyk rozsypał się, kiedy dojechali do stacji benzynowej z wybebeszonymi dystrybutorami, w czymś, co można było nazwać centrum osady, i stało się jasne, że jedynymi obrońcami widomych budynków mogą być tylko wygłodniałe, chude szczury. Kilku ludzi wdarło się na swoich motorach do zastygłych w niemym proteście domów, żeby sprawdzić, co jeszcze oprócz kurzu i ptasich odchodów kryją mroczne zakamarki. Większość nomadów krążyła po wymarłych uliczkach, od czasu do czasu wybijając ocalałe jeszcze szyby lub puszczając z dymem jakąś budę, w podświadomej chęci wywarcia zemsty na nie istniejących mieszkańcach. Ktoś przywiązał zdarty z przewróconego słupa elektryczny kabel do sznurów w kościelnej dzwonnicy i przeciągnął go w poprzek głównej ulicy, co powodowało, że każdy przejeżdżający tamtędy człowiek napełniał okolicę zamierającym stopniowo dźwięcznym odgłosem. Schirmer z impetem dostał się do jakiegoś sklepu. Przez rozwalone drzwi widać było, jak dokonując cudów zręczności wjeżdża po schodach na piętro. Po chwili dobiegł ich stłumiony ścianami strzał, maszyna Rudiego ukazała się na balkonie, a on sam wymachiwał trzymanym za ogon czarnym zwierzęciem.

–Hej! – krzyknął. – Czy ktoś chce kota? Większość ludzi skrzywiła się z obrzydzeniem, ale któryś z krzyżowców podjechał bliżej.

–Dawaj go tutaj – zawołał. – Tylko ostrożnie, nie rozwal o ziemię.

Ramsay zaparkował przy zwieńczonej rzeźbioną, żeliwną pompą studni.

–Uważaj, zatruta! – krzyknął przejeżdżający powoli obok Astley. Jego ręka wskazywała kilka, zdawało się, przypadkowych nacięć dokonanych niedawno przez kogoś na drewnianej ścianie pobliskiego budynku.

–Skąd wiesz?

–Nasi musieli już tu być. Zostawili znaki.

Siedząca z tyłu Idris uśmiechnęła się sennie.

–Widzisz? Jak oni się, do cholery, porozumiewają? – potrząsnęła głową. – Wszystko trwa od tak niedawna, a system znaków jakiegoś tajemniczego języka obejmuje już cały kraj.

Ramsay zeskoczył z siodła rozprostowując kości. Wczesne południe było tą porą dnia, kiedy czuł się jeszcze stosunkowo najlepiej.

–Czy można znieść panią z tego wspaniałego tronu?

–Królewiczu – odgarnęła z czoła tłuste włosy niech twoi rycerze odjadą kawałek, to coś ci powiem.

–Z góry się zgadzam – wskazał jej drogę do opustoszałego domu. – Tu na pewno będzie jakieś porządne łóżko.

–O rany, ty tylko o jednym – naburmuszyła się z udaną złością. Zręcznie zeskoczyła na ziemię i weszli do ciemnego wnętrza. Na dworze mimo stojącego wysoko słońca nie było co prawda upału, ale chłód wewnątrz stanowił miły kontrast z odbierającym zdolność zebrania się do kupy, rozleniwiającym ciepłem. Usiedli przy stole przykrytym zachowującym ciągle wszystkie barwy obrusem.

–Nie, dzisiaj nie mogę. – Na pewno?

–Słuchaj, nie mam tu żadnych środków, jeśli zrobimy to dzisiaj... – ostrzegawczo zawiesiła głos.

–Może jakoś inaczej? – zmusił się do uśmiechu.

–O rany, trzymajcie mnie, typowy facet – wycelowwała w niego palec. – Musisz mieć mnie całą, prawda? Nie zostawisz mi najmniejszej cząsteczki samej siebie? Nawet takiej malusieńkiej? – pokazała palcami, jak małą część chciałaby zachować. – Wieczorem, dobrze? nagle zmieniła ton.

Skinął głową, choć wieczór z powodu kolejnej bezsennej nocy napawał go strachem.

–Jesteśmy tu jak na wycieczce – przecierał brudnymi palcami zaropiałe spojówki. – Jeśli jeszcze... urwał nagle wpatrzony w jakiś punkt na gzymsie kominka. – Tam...

Zerwał się nagle i dopadł leżącej na stercie zdjęć paczki papierosów. Ostrożnie zajrzał do środka, potem triumfujący wrócił do stołu. Delikatnie wyjął cztery wyschnięte, rozsypujące się papierosy. Trzy z nich zabezpieczył, zawijając w cienką bibułę, a czwartego zapalił trzymając wzniesiony do góry wylot, żeby nie wysypał się tytoń.

–No tak – roześmiała się Idris. – Sukces na miarę naszych czasów.

Spiorunował ją wzrokiem. Warkot maszyn na zewnątrz stopniowo zamierał. Ludzie szukali odpowiednich miejsc, żeby odpocząć na chwilę.

–Mam nadzieję, że w razie czego mnie obronisz? Idris zdjęła nagle swoją pikowaną kurtkę, wyjęła niezbyt nadający się do tego celu, spadochroniarski nóż i zaczęła obcinać rękawy. – Zwariuję od tego gorąca.

–Może znajdziemy jakąś koszulę w sklepie? – Ramsay nie mógł oderwać wzroku od jej dużych, kołyszących się zgodnie z ruchami rąk piersi. Kiedy potrząsnęła głową, dodał. – A może tu coś jest? W tych szafach.

–Nie chcę stąd niczego brać. Nie wiem dlaczego. Uśmiechnął się.

–Słuchaj Idris, dlaczego włączysz się z nomadami? – spytał znienacka.

Podniosła głowę z uśmiechem, szykując się na jakiś żart, ale po chwili zrozumiała, że pyta poważnie. Wzruszyła ramionami.

–Myślę... – zawahała się przygryzając wargę. – Kiedy jeszcze żyłam w mieście, a po starym porządku pozostało już tylko wspomnienie, w tej strasznej sytuacji zbyt długo starałam się zachować nie zmienione status quo. Przed ludźmi sypałam kawałami, udawałam, że nic się nie stało, ze zwykłych, potocznych sytuacji tworzyłam rytuał, mur, który miał mnie osłonić przed zmianami, stworzyć pomost do zburzonego świata... – oderwała zębami jakąś sterczącą ze szwu nitkę. – Wszelkie rozgrywające się wokół ekscesy traktowałam jako kontrolowane szaleństwo, coś w rodzaju studenckich wyglupów, mieszczących się z trudem, ale jednak, w narzuconym sobie schemacie.

Odrzuciła na ziemię obcięte rękawy i powolnymi cięciami zaczęła wyrównywać poszarpany materiał.

–Stworzona przeze mnie rzeczywistość była tak spójna, tak silna, że nie byłam w stanie przyjąć czegokolwiek nowego. Nie mogłam zrozumieć zachodzących zmian i mimo silnej, konserwatywnej obrony, nie byłam też w stanie się im przeciwstawić.

Odłożyła przerobioną na kamizelkę kurtkę i popatrzyła wprost na Ramsaya.

–Przyszedł pierwszy cios. Mój brat, dużo młodszy ode mnie, przeszedł na wiarę

Duckwortha.

–Szukasz go teraz? Zaprzeczyła ruchem głowy.

–Policja złapała go pod supermarketem z walizką wypełnioną czymś wybuchającym.

Zanosilo się na duży wyrok, ale już w areszcie śledczym tego głupiego szczeniaka dosłownie zagryzły jakieś regularne bandziory... zacisnęła wargi. – Zaczęłam szaleć, czując, że jestem zupełnie bezbronna. Szukałam pomocy u wszystkich, aż zdałam sobie sprawę, że oni ciągle tkwią w betonowych schronach swoich umysłów. Dla nich dalej nic się nie zmieniło, udawanie, że świat jest taki, jak dawniej, i jak dawniej wszystko rozejdzie się po kościach, szło w najlepsze, a do mnie... Do mnie dotarło wreszcie, że pęknięcie jest już zbyt duże. I... – po jej policzkach popłynęły łzy – że jestem sama.

Ramsay patrzył, jak słone strumyczki docierają powoli do jej warg. Ogarniał wzrokiem całą jej półnągą postać czując, że powinien wstać i coś zrobić. Siedział jednak dalej, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

Idris powoli opadła na krzesło.

–Boże, Warren, jestem potwornie głodna – szepnęła. – Nie wytrzymam już dłużej.

W tej chwili zrozumiał, że ona też oczekuje od niego cudu.

*Ostatniej nocy stało się coś, co koniecznie muszę zrelacjonować. Tym razem prowadzi Idris, a ja siedzę za jej plecami usiłując wykaligrafować coś czytelnego, mimo że wicher spowodowany szybkością wyrywa mi kartki. Wspominałem już doktorze, jak mniej więcej spędzam noce. Ta jednak była szczególnie przykra ("Przykra" – to eufemizm, pisząc to słowo zjadliwie szczerzyłem zęby). Cała góra proszków nasennych i uspokajających, jaką wycyganilem u Langa, stworzyła w mojej krwi posępną mieszaninę z paskudnym samogonem pędzonym przez krzyżowców podczas jazdy (błagam, tylko niech mnie pan nie pyta, jak oni to robią). W każdym razie to już nie była bezsenność. Rozciągliwe jak kauczuk godziny otępienia przerywały momenty niemożliwych do opisanja majaków, w które rozpaczliwie uciekał umysł domagający się choć chwili odpoczynku. Kiedy nadszedł wreszcie ranek, wydawało mi się, że wstaję z grobu. Na drzewie tuż obok zauważyłem nawet klepsydrę czy epitafium. Dopiero po chwili zrozumiałem, że biała plama na wysokości głowy nie ma nic wspólnego z cementarzem. Była to przybita do kory ułamanym patykiem niewielka kartka. Zawierała krótki, wypisany koślawymi, w zamierzeniu chyba blokowymi, literami tekst:*

*"Ramsay, droga wiedzie na południowy wschód. On czeka. Mańkut".*

*Poniżej znajdowało się jeszcze coś w rodzaju podpisu: "Tango Driver".*

*Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Jakiś kawał? Mój umysł zaczyna mi płatać figle, więc pokazałem kartkę Idris i kilku innym osobom, żeby przekonać się, czy nie jest przypadkiem dalszą częścią majaków. Wszyscy potwierdzili jej rzeczywiste istnienie. Nie rozwiązało to jednak problemu, co znaczyć miał dziwny tekst. Kto niby na runie czekał? Duckworth? To śmieszne... A może... Skojarzenie było idiotyczne, poczułem jednak zimne dreszcze. A jeśli chodziło o ojca? Była to zupełnie bezsensowna myśl. Nikt nie mógł mieć o nim pojęcia, tylko panu wspominałem o całej sprawie, ale nikt również nie mógł przecież przeglądać moich notatek.*

*Nie wiedziałem też, co miał znaczyć dziwny podpis: "Tango Driver". Tango, to w oznaczeniu kodowym po prostu litera "T". Ale to było wszystko, do czego doszedłem.*

*Dużo później wpadłem na myśl, że tajemniczym mańkutom mógł być jeszcze ktoś, kogo wydał moim śladem Velpeau Pastier. W zamieszaniu towarzyszącym połączeniu trzech grup mógł bez trudu dołączyć do nomadów i może w ten sposób starał mi się pomóc wskazując drogę... W takim razie tym, który czeka, może być Glen Chira, którego mam znaleźć. Ale po co Pastier miałby urządzać taki teatr, nie mogę w żaden sposób dociec. To wszystko nie trzyma się kupy.*

*Niemniej jedziemy na południowy zachód.*

Czołówka zatrzymała się i Parks dał znak pozostałym, żeby utrzymali dystans między poszczególnymi maszynami. Ramsay, który zdążył już zmienić Idris przy kierownicy, podjechał do nich hamując tuż przy Sprengerze stojącym na swojej maszynie z nieodłączną lornetką.

–Co jest? – spytał ochrypłym głosem.

Pastor zeskoczył na ziemię i wskazał na rozbite, zwisające z jakiegoś wiaduktu tablice informacyjne.

–Nie opłaca się tego składać, ale dałbym głowę, że zbliżamy się do jakiegoś dużego miasta.

–Niech ktoś wlezie na wiadukt i sprawa będzie jasna. – To nic nie da – mimo upału ciągle obleczona w rękaw grubego, czarnego płaszcza ręka wyciągnęła się w stronę majaczącego w oddali wzgórza. Ono przestoni widok.

–No to podjedźmy bliżej.

–Cholera, to może nie być zbyt bezpieczne... Astley otarł spocone czoło.

–Jeśli to prawda, że wyznawcy Duckwortha gromadzą się w miastach, to rozgniotą nas już na podjeździe.

–Nie tylko oni – dodał Sprenger. – Ten pusty kraj nie świadczy jeszcze, że pewnego dnia wszyscy żywcem zostali wzięci do nieba. Gdzieś musiały się podziąć wszystkie szumowiny.

Ramsay nie mógł skupić myśli.

–Jedźmy – powiedział, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Parks machnął ręką na pozostałych. Ludzie, klnąc cicho, ruszyli do przodu. Ramsay zrównał się ze Sprengerem.

–Naprawdę sądzisz, że wszyscy skupili się w miastach?

–Przynajmniej większość. Ani ewakuacja, ani późniejsza ucieczka do Meksyku nie wyjaśniają tej pustki. – Ale dlaczego mieliby?...

–Żywność. Tu już nic nie ma, a każda aglomeracja miała ogromne zapasy.

Sprenger podjechał tak blisko, że prawie dotykali się kolanami. Zerknął na drzemiącą, opartą o plecy Ramsaya Idris i ściszył głos.

–Słuchaj, co to było z tą kartką, o której wszyscy gadają?

Ramsay wzruszył ramionami.

–Po prostu. Znalazłem ją.

–Cholera, Warren, chyba wiesz... – Sprenger urwał, na widok pędzącego w ich stronę motocyklisty. Kiedy zbliżył się dostatecznie, rozpoznali Rudiego Schirmera, który wyrwał do przodu, żeby sprawdzić, co jest za wzgórzem.

–I jak?

Schirmer wykonał popisowy zwrot na jednym kole i zrównał się z nimi.

–Miasto!

–Jasny szlag! – Vats spojrział na Ramsaya z taką wściekłością, że pozostali odruchowo sięgnęli po broń. – No i mamy teraz za swoje!

–Zamknij się!

–Tak? Moi ludzie zaraz powieszają mnie na najbliższej gałęzi, ale przedtem wypruję ci flaki! – tuż przed szyją Ramsaya błysnęło ostrze długiego, rzeźnickiego noża.

–Spokój! – Sprenger zwolnił trochę. – Nie możemy dalej jechać prosto.

–Prosto na pewno nie – roześmiał się Rudi. – Tam jest takie dziwne skrzyżowanie. Tylko w prawo lub w lewo.

–Jakie skrzyżowanie? – W kształcie litery "T".

–Jakie?! – poderwał się Ramsay.

–O, już widać – Rudi wyciągnął rękę przed siebie, kiedy dotarli na szczyt wzgórza.

Przed nimi w dali rozciągała się panorama wielkiego miasta. Dużo bliżej szosa, którą jechali, łączyła się z drogą biegnącą dokładnie pod kątem prostym. Ich własna szosa nie miała już kontynuacji za skrzyżowaniem. Cały układ rzeczywiście przypominał ogromną literę "T". Chryste, Tango Driver – przemknęło przez głowę Ramsaya. – Ale co znaczy w takim razie Mańkut? Leworęczny? Boże, a może to tylko przypadek. Idiotyczny zbieg okoliczności. Przecież do tak szerokich założeń może pasować wszystko... Zresztą podobnych skrzyżowań muszą być tysiące.

–Gdzie jedziemy? – spytał Astley.

–W prawo – Sprenger znowu sięgnął po swoją lornetkę. – W ten sposób ominiemy miasto szerszym łukiem.

Ramsay wyprostował się nagle.

–Nie. W lewo – powiedział twardo.

Sprenger spojrział na niego ze zdziwieniem.

–Słuchaj, jeśli wpadniemy pod...

Ramsay przerwał mu ruchem ręki.

–Jedziemy w lewo! I to gazem!

Puścił sprzęgło swojej maszyny, która skoczyła do przodu, nabierając szybkości na spadającym stoku wzgórza. Skręcił w lewo z piskiem opon, pochylając BMW tak bardzo, że Idris ocknęła się z krzykiem i chwyciła go kurczowo, praktycznie pozbawiając oddechu. Ryk maszyny zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Ramsay nie oglądał się, czuł w jakiś nieprawdopodobny, irracjonalny sposób, że kawalkada prawie trzystu jeźdźców podąża tuż za nim. Cysterna, którą zdobyli za bronionym przez sekciarzy mostem, dostarczyła zapasów, dzięki którym mógł nie oszczędzać benzyny. Parł przed siebie całą mocą ponad siedemdziesięciokilowatowego silnika, wyduszając z niego wszystkie przewidziane przez konstruktorów rezerwy. Maszyna tańczyła na środku centralnego pasa, rwąc na przekór strugom powietrza, które oślepiały pozbawione ochrony hełmu oczy. Zdawało się, że wynikła z cywilizacyjnej ewolucji, ukryta w stalowych cylindrach moc, drwi z wyczerpania ludzi. Wszystkie części skomplikowanego mechanizmu pracowały zgodnie z wyznaczonym na deskach projektantów planem, jakby prawem kontrastu stojąc w opozycji do prowadzącego człowieka. Ramsay pędził w jakimś amoku, absolutnie nie kontrolowanym



stuporze, który nie dopuszczał nawet cienia refleksji czy wątpliwości. Jakakolwiek nierówność, większa kałuża czy rozlany olej mógł doprowadzić do katastrofy, której skutki byłyby oczywiste. Na szczęście nie trwało to długo. Stan wyłączenia świadomości szybko doprowadził do drugiej skrajności. Kiedy Ramsay zdał sobie sprawę, co robi i jakie czynniki kierują jego postępowaniem, ogarnęło go wahanie, które powoli zaczęło paraliżować możliwość działania. Zwalniał stopniowo czując, że tak właśnie musi zaczynać się obłąd. Powolny rozpad osobowości zastępującej rzeczy konkretne urojonymi siłami.

Szybkość spadała powoli, ale nikt go nie wyprzedził. Ramsay zwolnił jeszcze, tym bardziej że przed nim pojawiły się na szosie wraki kilku samochodów. Poprzestrzelane karoserie, wybite szyby i ślady pożarów świadczyły o stoczonych tu kiedyś potyczce. Ale nie myślał o tym. Chryste, co ja właściwie robię? Jakieś nagłe otrzeźwienie, otrząśnięcie się z majaków i przywidzeń sprawiło, że zatrzymał się przy ugrzęzłej w rowie na poboczu wojskowej ciężarówce.

Nikt nie podjechał do niego. Nikt nawet nie usiłował się zbliżyć. Ludzie z tyłu korzystali z przerwy pijąc wodę i rozbiegając się wśród karłowatych krzaków. Tylko Schirmer zaglądał do zmasakrowanych samochodów, a w końcu wskoczył na pokrytą nie uszkodzoną plancką skrzynię ciężarówka. Słychać było, jak myszkuje po jej mrocznym wnętrzu. Nagle jednak i te odgłosy ustały. Rozległ się szcęk metalu o metal i kilkuminutowa cisza. Kiedy potem pojawił się na szosie, wymachiwał rękami, ale nie mógł krzyczeć. Jego usta były wypchane czymś do granic możliwości.

–Tam... tam... – przełknął wreszcie. – Ludzie, tu są konserwy!

Wszyscy targnęli się w tę stronę i przez moment zdawało się, że ci, którzy stali z przodu, zostaną stratowani. Ale tylko przez moment. Dosłownie po kilku krokach ta sama myśl musiała zaświtać we wszystkich głowach, bo nie było nikogo, kto nie zatrzymałby się natychmiast. Ramsay w niesamowitej ciszy odwrócił głowę. Przeczuwał to, a jednak drgnął, kiedy ujrzał wpatrzony w siebie oczy nomadów. Absolutna, nie przerywana żadnym, najmniejszym nawet odgłosem cisza przeciągała się nieznośnie. Wiedział, że ludzie na coś czekają, ale nie miał pojęcia na co. Olśnienie przyszło dopiero po dłuższej chwili. Czy to samo czuje król podczas koronacji?

–Niech ktoś je rozdzieli – powiedział cicho.

Rudi Schirmer wskoczył z powrotem na skrzynię ciężarówka, wokół której już powoli i bez pośpiechu zaczęli gromadzić się ludzie.

*Przejeżdżamy przez kraj, który nosi coraz bardziej wyraźne ślady obecności wyznawców Duckwortha. Nie ma godziny, żeby na poboczach podrzędnych dróg, którymi się przemykamy, nie napotkać dziwnych konstrukcji, ni to pomników, ni to wież z pospawanych razem, przypadkowo dobranych metalowych elementów. Atmosfera staje się gęsta od kumulowanego napięcia. Nie wiemy, gdzie oni są, nikt nie stara się nas zatrzymać, w ogóle nie napotykamy żywej duszy. Nerwy jeźdźców są jednak napięte do ostatnich granic. Co chwilę padają strzały, bo komuś tam wydaje się, że za kępą dziko rozrośniętych krzaków, które właśnie mija, kryją się sekciarze. Stwarza to coraz cięższe problemy. Znalezione na ciężarówce konserwy wystarczyły akurat na jeden solidny posiłek dla trzystu nomadów. Nasiliło to tylko żołądkowe przypadłości, które dotknęły przeważającej większości, i nie ma dnia, żeby nie ostrzelano właśnie tych wracających z*

ustronnych miejsc ludzi. Na razie jeszcze nie ma zabitych, ale kłótnie i bijatyki należą już do codziennego repertuaru.

Obawiam się, panie doktorze, że jestem w tej chwili jedyną osobą, która w jakiś tam sposób może utrzymać względny chociaż porządek. Nie jestem w stanie tego panu wytłumaczyć, ale po historii z listami jestem uważany za coś w rodzaju już nie przywódcy, lecz władcy... Wszystko we mnie wzdraga się przed użyciem słowa "duchowego". Jestem w tej chwili jedynym człowiekiem, którego rozkazy wykonywane są bez żadnego szemrania. Zamiast jednak jakiegokolwiek pewności, którą powinien mi dać taki stan rzeczy, czuję tylko rosnący ciężar, nie, nie odpowiedzialności nawet, ale ciężar zbrodni, oszustwa, czy ja wiem jeszcze czego. Boję się, że nie mam tym ludziom nic do zaproponowania. Gdyby nie ktoś, kto dostarcza mi wskazówek, uciekłbym na najbliższym postoju.

Nie wiem, dlaczego tu jestem. Nie mam pojęcia, dlaczego pędzę przez coraz bardziej niebezpieczny kraj, ciągnąc za sobą kilkaset osób. Wysłuchałem tylu opowieści ludzi, którzy przyłączyli się do nomadów, ale sam nie potrafię ułożyć własnej. Wszelkie tłumaczenia, że znalazłem się tu przypadkowo, nie mogą już wystarczyć. Wiem, że nie ma żadnego realnego uzasadnienia faktu, że nie odłączyłem od nich tuż przy Strefie, kiedy jeszcze istniała choćby teoretyczna szansa powrotu. Tego, że kierowała mną opatrność, nie mogę (jeszcze) przyjąć do wiadomości.

Nie rozumiem przemian, które we mnie zachodzą. Wiem, że odrzuciłem praktycznie wszystko, cały balast, jaki łączył mnie z miastem, które teraz urasta do symbolu otaczającej mnie dawniej kultury. Ale dlaczego? Nie byt to akt świadomy, ale nawet w ukrytych procesach umysłu musi tkwić przecież jakiś rdzeń, jakaś realna podstawa, z której rodzą się późniejsze przemiany.

Na pewno nomadowie wypełnili jakoś otaczającą mnie pustkę, dali choć pozór oparcia w europesymistycznej Blitzkultur, która niczym w gigantycznym młynie mieląc przerażające ilości informacji, nie była w stanie wytyczyć żadnej drogi. Tysiące ton, jeśli można zamienić je na ciężar danych dostarczanych przez naukę, wymagają lat studiów dla opanowania, skromnego jej wycinka. Zwykły człowiek traktuje większość pojęć matematycznych czy fizycznych jako nierealne. Naukowi czarownicy szermują nimi, w niezrozumiały dla ogółu sposób wyjaśniając wszelkie zjawiska. Pojęcia te są dla niego jedynie heurystyczną fikcją. Nieogarnialną, niezrozumiałą i poprzez swą wieloznaczność "słabą" wobec idei wyjaśniających wszystko w sposób jasny i klarowny. Wiem, że się pan teraz uśmiecha i zgodzę się, że te latające spodki, cudowne ozdrowienia wraz z towarzyszącą im propagandą ciemnoty, że wszystkie te łatwe i proste objaśnienia serwowane przez Duckwortha, nie mogły na mnie oddziaływać. Ale zastanawiam się, czy ta wszechstronność czarów i magii w nowoczesnym świecie nie przygotowywała mnie do czegoś, co powoduje rozkład mojej osobowości. Superszybka kultura nie była w stanie przyjąć rzetelnej, a więc pełnej informacji o świecie, na poziomie normalnego odbiorcy. Ale z pewnością była przesiąknięta irracjonalizmem, który podświadomie musiał być przecież włączany do nie osłoniętych umysłów, rozpędzonych w pokonywaniu codziennych problemów.

Mam dość wszelkich cudów, muszę jednak, choćby z obowiązku zrelacjonować panu

to, co się wokół mnie dzieje. Dzisiejszego ranka otrzymałem kolejny list. Jak zwykle podrzucony nad ranem, zawierał kolejne instrukcje:

"Pozbądź się wątpliwości. Okaż zdecydowanie, jak wtedy na wojskowym parkingu, kiedy klnąc w myślach kradłeś swój własny magnetofon. Przyłącz do swoich ludzi grupę, którą napotkasz. Jedź na południe".

Początkowo byłem skłonny przyjąć, że to rzeczywiście informacja od kogoś, kto pracuje dla rządu. Może dysponując satelitami wiedzieli coś o zbliżającej się do nas innej grupie nomadów. Mogli też wiedzieć o zajściu na parkingu, wtedy na lotnisku, choćby od Cadisha... Ale, do cholery, nikt przecież nie mógł mieć pojęcia, że kląłem wtedy w myślach. Nie mówiłem o tym nikomu. Nawet panu nie ma na ten temat niczego w moich notatkach... Wiem, o czym pan pomyślał, mnie również przyszło to do głowy. Sprawdziłem, czy kartka mogła być wyrwana z mojego własnego notatnika. Teoretycznie mogła. Jest bardzo mała, ale też ktoś oderwał z niej niepotrzebne marginesy ze wszystkich stron, więc nie sposób stwierdzić, jaki był jej początkowy format. Zresztą... Cały list jest pisany jakimś zalewającym, brunatnym atramentem, a ja przecież nie mam czarnego długopisu. Chociaż... Sam już nie wiem. Moje palce pokrywają plastry, bo wczoraj pokaleczyłem się przy czyszczeniu gaźnika...

Nową grupę krzyżowców spotkaliśmy wieczorem. Przyłączyli się do nas.

Łagodnie zbcze powoli przeradzało się w wąwóz, w którym zakrętami wil się wąż szosy. Wiraże nie były wyprofilowane, ale stojące wysoko słońce wysuszyło nawierzchnię drogi z porannej rosy i kolejne fale nomadów pędziły w dół z coraz większą szybkością. Obłoki spalin unosiły się nad zakrętami, kiedy jeźdźcy zdejmowali dłonie z gazu. Poszarpane, wzmocnione w niektórych miejscach metalową siatką skarpy wznosiły się coraz wyżej zasłaniając widok na boki. Coś z pogodnego nastroju dnia musiało udzielić się ludziom. Okrzyki, gwizdy i fragmenty starych kawaleryjskich piosenek rozbrzmiewały coraz częściej.

Ramsay wziął kolejny wiraż ściągając hamulce, żeby uniknąć zderzenia z wyprzedzającą go maszyną. Wypadł z rytmu i musiał zwolnić jeszcze bardziej, tracąc miejsce w czołówce. Nie zauważył, jak jedna ze skarp opada nagle ukazując płaskie, pocięte systemem podłużnych rowów pole. Zrozumiał, że coś jest nie tak, kiedy czołowe maszyny zaczęły gwałtownie hamować usiłując sformować jakiś rozpaczliwy z powodu szybkości i ostrych zakrętów szyk.

–Stać! – krzyknął nagle, nie mogąc nawet podnieść do ust mikrofonu.

Dopiero teraz zauważył stojący za pierwszym z rowów rząd kilkudziesięciu postaci z wycelowanymi w nich karabinami.

–Stać! Sekciarze!

Szarpnął dźwignią hamulców, ale zaraz puścił, czując, że traci panowanie nad maszyną. W pisku opon sunął w dół wprost na tych, którym udało się zatrzymać.

–Idris! Trzymaj się!

Znowu nacisnął dźwignię wytracając pęd, ale stało się jasne, że nie zdąży przed barierą z maszyn i ludzi. Szarpnął kierownicą, chcąc zjechać na pobocze, motor przechylił się gwałtownie – żeby go wyprostować trzeba byłoby skontrolować skręt przeciwnym, ale tego nie mógł zrobić – i runął we wściekłym jazgocie trących o asfalt blach. Oboje we

właściwym momencie uwolnili nogi sunąc na plecach, aż uderzyli we własną, znieruchomiałą na poboczu maszynę.

Ramsay zerwał się na nogi. Jeszcze nie czuł bólu.

–Stać! Zatrzymać się!

Kolejne maszyny nadjeżdżały jednak z niezmienną prędkością. Wyłaniający się zza zakrętu kierowcy mieli zbyt mało czasu na jakąkolwiek rozsądną reakcję. Maszyny przewracały się, wpadały na siebie, by z potwornym łoskotem dołączyć do kłębowiska u wylotu wąwozu.

Ramsay rzucił się na ziemię tuż obok Idris, która wydostała spod leżącego motocykla mikrofon krótkofalówki.

–Wszyscy stać! – ryknął naciskając guzik nadawania. – Zatrzymać się na swoich pozycjach.

Nie był pewien, czy akumulator przetrzymał upadek.

–Wszyscy stać! Sformować szyk!

Kolejne maszyny wpadały do metalowego kotła pomieszanych motorów i ludzi. Następne pojawiały się jednak z dużo mniejszą prędkością.

–Zatrzymajcie się! U wylotu mamy karambol. Niech wszyscy gromadzą się wokół swoich dowódców!

Idris pochyliła się nad swoim pistoletem maszynowym.

–Nie strzelaj.

Podsunał się, żeby zrobić jej miejsce za osłoną z przewróconej maszyny. Z jakąś nieprawdopodobną wyrazistością zdał sobie nagle sprawę, że wokół panuje cisza. Nie, nie kompletna. Ciągłe słychać było warkot pracujących na jałowych biegach silników, odległe nawoływania formujących się nomadów, szum wiatru... Ale po łoskocie zderzających się jeźdźców to wszystko spadało do rangi zwykłej ciszy.

–Cholera.

Ramsay oszołomiony szybkością, z jaką doszło do obezwładnienia może jednej czwartej grupy, nie był w stanie zebrać myśli. Patrzył na równy rząd ludzi na polu. Ich karabiny przez cały czas trwały oparte o biodra właścicieli. Lufy skierowano w stronę drogi, ale było jasne, że nie są przygotowane do natychmiastowego użycia. Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie przecież strzelał z biodra.

Skądś z boku przyczołgał się Sprenger.

–Co robimy?

Ramsay nie mógł wymówić ani słowa. Jak sparaliżowany patrzył na idealny bezruch, który ogarnął wszystkich w zasięgu jego wzroku. Nikt nie usiłował wydostać się ze stosu szczepionych ze sobą motorów, nikt nie biegł na pobocze, żeby ukryć się w okalającym szosę melioracyjnym rowie – ludzie zamarli, każdy w tej samej pozycji, w jakiej dotarło do nich, że nikt nie otwiera ognia. Nomadowie i wyznawcy Duckwortha patrzyli na siebie jakby bojąc się, że najmniejszy ruch wywoła piekło.

–Co robimy, do cholery?

Ramsay, jak zahipnotyzowany, odwracał wzrok przez kilka sekund.

–Szlag, jeśli zaczną strzelać w to kłębowisko... przełknął ślinę czując, że zasycha mu w ustach. – W przeciągu chwili powstanie taki pożar, że nikt nie wydobędzie się żywy.

–Mamy miażdżącą przewagę w ludziach – Sprenger spojrział w kierunku wąwozu. – Może wykonać jakiś manewr? Chryste... – odwrócił głowę. – Dlaczego oni stoją tak nieruchomo?

–Jaki manewr?! Można wysłać setkę spieszonych jeźdźców przez skarpę do okrążenia i jakichś dwudziestu na przeciwległą dla osłony... Ale to będzie kosztem tych ludzi – wskazał na zamarte w bezruchu kłębowisko na szosie.

–Jeśli przeprowadzimy błyskawiczny atak...

–Psiakrew, wystarczy jedna seria, żeby wywołać wybuch benzyny!

–Więc co? Wycofać ludzi z tyłu i niech robią głębokie obejście?

–A jeśli to pułapka? Jeśli na szczytach tych skarp leżą oddziały liczące setki osób?

Sprenger rozglądał się gorączkowo.

–Czego oni od nas chcą?

–Może zabrakło im prezerwatyw – wtrąciła Idris. – Zróbcie coś, do cholery!

Jej ręce na kolbie pistoletu drżały coraz bardziej. Poza nią i jeszcze kilkoma osobami nikt jednak nie mierzył do ludzi na polu. Rząd jakby wykutych w kamieniu osób trwał w odległości kilkunastu metrów od szosy. Napięcie rosło z każdą chwilą, byle hałas, być może tylko dźwięk upuszczonych kluczyków mógł wywołać strzelaninę.

–Szlag, atakujmy! – głos Sprengera załamał się nagle.

–Nie – Ramsay rękawem wytarł pot z czoła, rozmazując brud w szerokie pasma. – Hej, wy tam... Wstawać powoli.

Między oczami napastników a ich przyszłych ofiar można było przeprowadzić absolutnie nieruchome linie. Żadna z nich nie zmieniła położenia.

–Wstawajcie powoli! No jazda!

Ktoś stękając z wysiłku uwolnił przygniecioną ciałem kolegi rękę. Rząd ustawionych na polu ludzi pozostał nieruchomy.

–No szybciej!

Kilka osób zaczęło wstawać, z początku bardzo powoli, nie mogąc oderwać oczu od opartych na biodrach karabinów. Potem przyłączyli się do nich inni. Sprawdzano maszyny, pomagano tym, którzy ucierpieli w wypadku, ktoś wreszcie uruchomił silnik swojego motocykla. Ciągle jednak ludzie bali się wykonywać szybsze ruchy, jakby brali udział w jakimś powolnym balecie, w pantomimie granej przez aktorów, których sprawność musiała należeć już do przeszłości.

Kiedy zepchnięto do rowu kilka nie nadających się już do użytku maszyn, Ramsay stanął na chwiejnych nogach.

–Jedziemy – wychrypiał.

Z trudem uruchomił BMW Idris, zaczekał, aż dziewczyna zajmie swoje miejsce, i ruszył przed siebie. Oglądał się co jakiś czas, zanim kawalkada jeźdźców nie przysłoniła mu sekciarzy. Nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek z nich do końca wykonał choćby najmniejszy ruch. Zasepiony jechał stopniowo nabierając prędkości, dopóki nie dołączyli do niego Sprenger, Parks i Astley.

–Co o tym myślisz? – Parks nie używał głośnika. Podjechał tak blisko, że ich kolana prawie ocierały się o siebie.

–Nic.

–Dlaczego nas przepuścili? – Astley nie miał żadnych wątpliwości i jego wzmocniony głos rozlewał się daleko nad polami. – Teraz jesteśmy zupełnie odsłonięci. Tu nie ma żadnych lasów.

–To pułapka – włączył się Sprenger. – Musieli mieć w tym jakiś cel.

–Właśnie – poparł go Parks. – To przecież cholerni sekciarze. Gdyby chcieli, nie wahaliby się ani przez moment...

–Szlag, oni chcą nas gdzieś zwabić.

–Gadasz bzdury, Notley – Sprenger prawie najechał na Parksa. – W tym tkwi coś bardziej perfidnego.

Ramsay nie odzywał się ani słowem. Czuł, że nawet oni, nawet ludzie, którzy sami mogliby być przywódcami tej grupy, chcieli, żeby to on właśnie udzielił odpowiedzi. A on szukał jej nadal w sobie.

–Rozwalą nas na najbliższym postoju. – Bzdury...

–Cholera, dlaczego nas przepuścili?

Ramsay powoli odwrócił głowę.

–Ponieważ ja ich do tego zmusiłem – powiedział cicho.

Pusta, absolutnie płaska przestrzeń, na której obozowali, pod żadnym względem nie nadawała się na stworzenie choćby pozoru warownego obozu. Wykopano co prawda umocnione stanowiska, rodzaj oddalonych od siebie punktów oporu, ale było jasne, że jeśli jakakolwiek znaczniejsza siła uderzy na nich, jedyną szansę dawała ucieczka. Płaski teren za dnia uniemożliwiał co prawda zaskoczenie, ale w nocy przy braku oświetlających rakiet, radiolokatorów i wykrywaczy pracujących w podczerwieni nie mieli zbyt dużych szans nawet na wymknięcie się ewentualnym, otaczającym ich siłom. Zakazano wszelkich rozmów, palenia ognisk, używania latarek czy choćby zapalniczek, ale były to tylko pozory działań obronnych. Nie było podstaw, żeby sądzić, że sekciarze nie znają ich położenia. Ludzie milczeli wpatrzeni ponuro w ciemniejące niebo i nie było sposobu, żeby choć w części rozwiać kumulujące się napięcie. Udzielało się ono wszystkim bez wyjątku. Mimo przejść, których doświadczyli w ciągu dnia, mimo wszechogarniającego zmęczenia i głodu, nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek zmrużył oko podczas nadchodzącej nocy.

Sprenger, który ułożył się tuż obok Ramsaya, wyjął z kieszeni nowiutką paczkę papierosów.

–Poczęstujesz się?

–Sam wydałem zakaz palenia – Ramsay włożył papierosa do ust i nachylił się w kierunku podsunętej zapalniczki.

–Bez przesady. Wodzowie zawsze są ponad ustalonymi przez siebie zasadami.

–Myślisz, że nikt...

Sprenger przerwał mu ruchem ręki.

–Słuchaj, mam wrażenie, że już niedługo zdarzy się coś straszego. Że bliscy jesteśmy rozwiązania.

Ramsay drgnął, żywił bowiem zupełnie takie samo przeświadczenie.

–Słuchałem radia – Sprenger nagle zmienił temat. Terroryzm uprawiany przez wyznawców Duckwortha wyraźnie zamiera.

Ramsay wzruszył ramionami.

–Myślisz, że to cisza przed burzą? – pastor poruszył się niespokojnie.

–Myślę, że to część planu. On pokazuje swoją siłę.

–Tak?

–Najpierw siał przemoc, a teraz pokazuje, że może nad nią zapanować. Doprowadził do tego, że przerażeni ludzie czekają na wkroczenie kogoś silnego. To będzie nie tylko okazaniem mocy, on chce ostatecznie umocnić swoją religię.

–Przecież podobno działania rządu przeciwko niemu zaczęły wreszcie przynosić rezultaty.

–On również o tym wie. Założę się, że planuje coś, co znowu postawi go na szczycie... Oby nie na szczycie świata.

–Cholera, ale jak to się dzieje, że przystało do niego aż tylu ludzi? – Sprenger zaklął wulgarnie. – Nie mogę tego zrozumieć.

–On też stosuje eskalację rzeczy wyimaginowanych, jak cała cywilizacja. On tworzy własną kulturę wślizgując się do umysłów bocznym wejściem. Do ludzi nie dociera fakt, że kultura, w jakiej przychodzi im żyć, steruje ich postępowaniem za pomocą zupełnie nieświadomych, a więc nie podlegających jakiegokolwiek kontroli, sposobów – Ramsay zaciągnął się głęboko. – Nie bez powodu każda kultura wpaja podlegającym jej wpływowi ludziom przekonanie, że tylko uczucia i popędy zawarte w jej obrębie są absolutnie naturalnym wyrazem istoty człowieka.

–No dobrze, ale w każdym, choćby najbardziej wyimaginowanych, najbardziej magicznych wierzeniach musi tkwić utylitarny rdzeń. Musi istnieć obiektywne, psychologiczne tło...

Ramsay roześmiał się cicho.

–To niesamowite, że jedyny przedstawiciel świata duchowego w naszej grupie przywołuje poglądy Malinowskiego, który z duchowieństwem miał raczej niewiele wspólnego.

Sprenger skrzywił się lekko.

–No więc nie musi – warknął. – Ale na potwierdzenie tego faktu nie znajdziemy żadnego dowodu.

–Na poparcie tezy przeciwnej również. – Badania kultur prymitywnych...

–Tylko nie wyjeżdżaj z prymitywnymi kulturami. Antropologia wyjaśniła je wszystkie, a jednak ucieka przed analizą naszej.

–Cholera, gadanie z tobą przypomina rzucanie grochem o ścianę... A jak w takim razie wytłumaczysz fakt, że po raz pierwszy w dziejach na taką skalę rozwinęła się religia będąca apologią zła?

–Ale ona wcale nie szuka zła jako takiego. Ona analizuje Zło, a to zupełnie co innego. Przecież średniowieczni egzorcyści zwracali się do szatana z niezwykłą pokorą. Tak, pokorą! Chcieli od niego dowiedzieć się czegoś, o sposobach działania Boga! – Sprenger drgnął słysząc ostatnie słowo, potem jednak pokiwał głową. Ramsay oparł się na łokciu. – Nasze cholerne, schizofreniczne społeczeństwo również w jakimś sensie temu podlega. Cały postęp dotąd odbywał się w dużej mierze z inspiracji wierzeń. A motorem postępu była nauka, która owe wierzenia podważa, usiłuje im zaprzeczyć.

–No właśnie, a Duckworth całkowicie zerwał z nauką. Nastąpiło więc cofnięcie?

–Jasne, ale to też wynik pewnych ogólnych praw. Religie podlegają ewolucji, konkurencja zmusza je do ciągłych zmian, tak, żeby stały się jak najbardziej korzystne dla swoich wyznawców. A ponieważ nauka stała się dla zwykłych ludzi zbyt niezrozumiała, Duckworth musiał zrezygnować z niej ostatecznie.

–Dla zwykłych ludzi... – powtórzył Sprenger z przekąsem. – Przecież na początku również inteligencja popierała Duckwortha. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że to ona go stworzyła.

–Zgoda. Inteligencja z reguły jest inspiratorem wszelkich zmian. Jeśli jednak dochodzi do ich realizacji, w praktyce zawsze staje się grupą najbardziej konserwatywną, oparciem dla systemu, który ma ulec zburzeniu. Natomiast dogmatyzm mas...

–I tu ciebie mam! – przerwał mu Sprenger. – Dogmatyzm mas! Wystarczy, że gdzieś liźniesz trochę wiedzy, skądś zapamiętałeś jakiś cytat i już uważasz się za kogoś lepszego.

–Lepszego? Bzdura! Ja tylko uważam się za bardziej pokrzywdzonego. Te szczątki wiedzy, które się tak jakoś przyplątały, sprawiają jedynie, że bardziej cierpię.

–Ty cierpisz? – Sprenger aż usiadł. – Człowieku, czy ty wiesz...

–Wiem – Ramsay wpadł mu w słowo. – I nie mów mi, że tak naprawdę to nie przeżyłem prawdziwego cierpienia. W porządku, moje pokolenie nie doświadczyło żadnej wojny, nigdy nie było głodne... Dobrze, teraz odczuwam głód, nie totalny, w końcu zawsze jednak coś znajdujemy, ale on nie rozwiązuje niczego! Nie jest w stanie zagłuszyć ani wahań, ani bezradności. I zrozum, że nie jest dla mnie ważne, że ktoś cierpiał lub cierpi bardziej ode mnie. Dla mnie osobiście nie jest ważne, że komuś wybuch urwał nogi, że zabito mu rodzinę, albo, że stracił oczy. W porządku, współczuję mu, ale w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi! Ja chcę znaleźć rozwiązanie dla siebie! Chcę znaleźć kres moich problemów i moich kwestii! Nie cudzych... – Ramsay poderwał się na równe nogi. – Nie cierpię facetów, którzy chcąc podreperować własne samopoczucie idą pocieszyć się widokiem ludzi na wydziale onkologicznym!

–Ale nie o to chodzi... – Sprenger ze złością odrzucił dawno wygasły niedopałek swojego papierosa. Milczeli dłuższy czas, Sprenger leżąc i żując ustnik następnego papierosa, Ramsay napięty do granic wytrzymałości. Zupełnie nagle przyszła mu do głowy myśl, że przecież pastor nie pali. Napięcie ciągle czaiło się w nim, nie pozwalając na odpowiednie skupienie. Skądś jednak przyszło przypomnienie początku ich rozmowy. A może tamten usiłował mu coś powiedzieć? Coś, co znikło w krzyku idiotycznej dyskusji? Z trudem opanowując drżenie rąk usiadł obok, Sprenger jednak nie zamierzał niczego kontynuować.

–Słuchaj – odezwał się dopiero po dłuższej chwili zupełnie innym tonem. – Czy wiesz, co zamierzasz zrobić?

Ramsay czuł, że znowu zapada w ten dziwny stan bezwładu, jaki towarzyszył mu coraz częściej.

–To samo się okaże...

Tamten uśmiechnął się perfidnie.

–Nasz przewodnik będzie miał trudności z podrzuceniem listu – szepnął. – Tu nie ma żadnych drzew, nie ma jak podejść...

–Myślisz, że przewodnika może powstrzymać jakakolwiek przeszkoda?



–Sądzę tylko, że skoro zanosi się na to, że nikt nie będzie spał, to trudno będzie podrzucić cokolwiek. Każdemu.

Położył taki nacisk na słowo "każdemu", jakby miał na myśli przede wszystkim Ramsaya. Ten jednak uśmiechnął się zagadkowo.

–Nie wiesz... Nie wiesz, że on tkwi we mnie? Sprenger nic nie powiedział. Patrzył tylko prosto w jego oczy.

–Sądźysz, że mnie opuści? – spytał Ramsay. Sprenger milczał w dalszym ciągu. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

–On jest we mnie! – krzyknął nagle Ramsay. – Pokażę ci...

Zerwał się na równe nogi, zupełnie zaskoczony zmianą, jaka w nim zaszła.

–Wszyscy wstawać! – krzyknął. – Wszyscy do swoich maszyn!

Gdzieś uciekały racjonalne przesłanki. To, co się w nim działo, napawało działające jeszcze poprawnie resztki umysłu strachem przed kompletnym zniszczeniem własnej osobowości.

–Ruszamy! Ruszamy natychmiast!

Obserwował w sobie tak szybkie zmiany, że nie mógł za nimi nadążyć. W jednej chwili zdawał sobie sprawę z bezsensowności własnych poczynań i jednocześnie dostrzegał w nich jakiś sens – cel ukryty przed myślącą częścią swego "ja". Był przerażony nie tylko tym, co działo się w jego wnętrzu. W chwilach jasności umysłu bał się tego, że wszyscy wokół zbierali się pośpiesznie pakując swoje maszyny i nikt, absolutnie nikt nie wyrażał żadnych wątpliwości.

–Szybciej, formować szyk!

Chwiejnym krokiem podszedł do zaparkowanego w pobliżu BMW. Idris zdążyła już przygotować je do drogi. Spojrzał na nią, ale ładna, choć prawie ukryta pod zlepionymi brudem włosami twarz nie wyrażała żadnego uczucia poza zmęczeniem. Zmęczenie, jeśli nawet nie zawierało akceptacji, miało w sobie coś z przepelnionej rezygnacją pogody. Powoli zajął swoje miejsce za kierownicą.

–Wiem, gdzie was zaprowadzić – podniósł do ust mikrofon. – Ruszajcie za mną.

Wszystkie głowy były zwrócone w jego stronę, a on w nagłym, kolejnym przebiegu świadomości zdał sobie sprawę, że nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie się skierować. Popatrzył wokół po znieruchomiałych sylwetkach, zastygłych w grymasach oczekiwania twarzach i nogach opartych o startery. Gdzieś ulotniło się poprzednie podniecenie, miał pełną świadomość, że nie wie, gdzie ich poprowadzić ale czuł też, że nie może teraz przerwać raz zaczętego rytuału.

Skoczył na dźwignię rozrusznika mając nadzieję, że ryk silnika zagłuszy wszelkie wahania. Ruszył przed siebie odnajdując drogę w świetle potężnego reflektora. Usiłował nie patrzeć za siebie, na dopiero co ukończone stanowiska obronne, na przerwane prace przy umocnieniu obozowiska.

W momencie, kiedy dojechał do szosy, miał już dużą prędkość, ale zwiększył ją jeszcze pragnąc, by skupiona na prowadzeniu maszyny uwaga pozwoliła mu zapomnieć o wszystkim. Mknął przed siebie przez gęstniejące ciemności na poły śpiąc i budząc się instynktownie, kiedy zwabione światłem owady uderzały o jego rozpaloną twarz. Po raz kolejny doznał uczucia, kiedy pęd, wycie setek pracujących na najwyższych obrotach

silników, sznur reflektorów z tyłu, udzielały mu cząstek swego pożądanego zatrzymania, niczym mrocznego błogosławieństwa w katedrze niespełnionych snów. Sprawiały, że przebliski trzeźwości stawały się coraz rzadsze. Czuł, że zatracą się w geometrii nocy, że wzmocniona szybkością ciemność bierze górę nad nim i tak jak chciał, zapominał powoli o wszystkim w coraz bardziej szalonej jeździe donikąd. Ranek zastał kawalkadę jeźdźców na pozbawionej oznaczeń szosie i Ramsay nie wiedział nawet, czy są jeszcze w Stanach, czy zagubieni na bocznych objazdach nie przekroczyli w nocy granicy Meksyku. Słony wiatr mógł wskazywać na bliskość morza, ale mógł też pochodzić z hałd odpadów dawno unieruchomionych zakładów przemysłowych. W dalszym ciągu jechali przez wyludnione okolice nie napotykając na swojej drodze niczego, co mogłoby im pomóc. Żywność stanowiła już tylko piękne wspomnienie, benzyna znowu była na ukończeniu. Nic wokół nie zapowiadało jakiegokolwiek zmiany i Ramsay stanął przed perspektywą kompletnego unieruchomienia grupy. Rozsądek nakazywał postój i rozesłanie zwiadowców, ale czuł, że musiałby zmuszać wysłanników do odłączenia się od reszty siłą. Porażeni martwością otoczenia ludzie garnęli się do niego, jako do jedynej osoby obdarzonej pewnością, do jedynej osoby, który znał ich cel. Nikt nie domyślał się wypełniającej go pustki.

Tuż przed południem Ramsay zdecydował się na wjazd do miasta. Było to bardzo niebezpieczne, z drugiej strony jednak pozostawała im już tylko śmierć z wyczerpania na pustkowiu.

Miasto jednak, które leżało przed nimi, różniło się od innych. Nie było to tylko jego indywidualne odczucie. Kiedy skierował grupę na szeroką, czteropasmową szosę prowadzącą do centrum, kilka osób otoczyło jego motocykl.

–Do jasnej cholery, chyba wiesz, co robisz? Sprenger prawie władował się na niego powodując, że kilka osób z tyłu musiało ostro hamować.

–O co ci chodzi?

–Chyba nie zamierzasz tam wjechać? – Mamy inną możliwość?

–Ale akurat to miasto jest dziwnie podejrzane...

–Właśnie – wtrącił się DeLuca. – Nie widać żadnych dymów, nie ma wraków samochodów, spalonych budynków...

–Szlag, tu coś cuchnie – Sprenger usiłował podczas jazdy przyłożyć lornetkę do oczu. Ilekroć udawało mu się to uczynić, jego maszyna tańczyła na drodze zagrażając innym.

Ramsay spojrzał do tyłu. Ludzie zbijali się w coraz gęstsze kłębowisko.

–Utworzyć szyk! – krzyknął.

Pomieszana gromada zakotłowała się, tworząc dopiero po dłuższym czasie nierówne rzędy. Motocykle zajmowały całą szerokość szosy, ale odległości między nimi malały z każdą chwilą, grożąc że przewrócenie się choćby jednego z nich, spowoduje ogromny karambol. Ludzie jednak niepomni na niebezpieczeństwo zacieśniali się coraz bardziej, jakby we wzajemnej bliskości znaleźć mogli ochronę przed nieznanym. Miało to jednak i inną wymowę. Setki maszyn koło przy kole, stykając się prawie błotnikami, tworzyło pancerny legion, swą czernią odcinając się ostro od zalanej słońcem, jasnej nawierzchni. Z daleka musieli wyglądać na potężną siłę.

–Zawróćmy, dopóki to jeszcze możliwe! – krzyknął DeLuca.

–Dołącz do reszty! – Cholera, wiejmy!

–Stul pysk! – Rudi Schirmer, który podjechał skądś z boku, zdawał się podniecony pustymi ulicami, które leżały przed nimi. Teraz już każdy czuł, że nie mają przed sobą zwykłego widma, które kiedyś było miastem. Czyste pobocza, omiecione niedawno parkingi, które mijali, brak wybitych szyb i zdewastowanych elewacji w przydrożnych, nielicznych budynkach świadczył, że ktoś musiał tu bawić zupełnie niedawno.

–Nie podoba mi się tutaj – powiedział Parks. Mimo że nie używał głośnika, jego głos był słyszalny zupełnie wyraźnie.

Ramsay dopiero teraz zdał sobie sprawę, że szybkość, z którą się poruszali, spadała znacznie, a ryk silników przeszedł w groźny, jakby ukrywający czającą się siłę pomruk. Odwrócił się, żeby skontrolować sytuację z tyłu. Ciemna, zwarta masa nomadów posuwała się za nim w niewielkiej odległości. Nikt nie wyrwał się do przodu ani nie zostawał w tyle. Zdawało się, że otaczająca miasto tajemnica wiąże szyk niewidzialnymi linami, pozwalając na dokładność, którą dawniej rzadko osiągała kawaleria na defiladach.

–Jesteś pewny, że powinniśmy jechać dalej? – spytał Sprenger.

–Tak.

Odpowiedź Ramsaya nie wynikała z pewności, nie czuł jej bowiem od dawna. Jego rozłożona na poszczególne segmenty osobowość nie była w stanie dostarczyć jakiegokolwiek oparcia. Czerpał je za to z otoczenia. Z tego, że tuż za plecami jechało kilkuset wierzących mu ludzi.

–Patrzcie tam! – ręka Parksa wysunęła się do przodu.

Z początku myśleli, że pokazuje im niewielkie, zasłaniające dalszą perspektywę miasta wzgórze, na które wspinała się szosa. Dopiero po chwili dostrzegli to, co wzbudziło jego niepokój. Na małym, przylepionym do jakiejś stacji obsługi parkingu stały, jeden za drugim, dwa samochody. Nie miały wybitych szyb, przeciwnie, świetliste powierzchnie lśniły w promieniach słońca czystością, jaka nigdy nie pojawia się, jeśli właściciel opuszcza swój pojazd dłużej niż na jedną noc. Zawsze ślady smogu, rosa czy cokolwiek, co spada z zanieczyszczonego nieba, zostawia odpowiednie ślady.

–Cholera, ktoś musiał używać ich całkiem niedawno – w głosie Parksa dawało się odkryć nuty niepokoju. – Może obmył je deszcz?

–Po deszczu też zostają ślady.

–Sprawdzimy je?

Sprenger wzruszył ramionami.

–Po co? Jeśli nawet ich baki zawierają benzynę, to nie starczy dla wszystkich... A jeśli ktoś jest przed nami, lepiej nie dać mu zbyt wiele czasu do namysłu.

–Przeskoczmy to wzgórze – powiedział Ramsay.

–Przytrzymaj mi kierownicę – Sprenger skinął na jadącego obok Parksa, potem dokonując cyrkowej sztuki stanął nogami na siodełku przykładając do oczu okulary lornetki.

–I co?

–Cholera, zupełnie pusto – pastor zajął swoją pozycję, opuszczając lornetkę na pasku. – Na ulicach nie ma żywej duszy. Nikt nie poruszył żadnym z okien, nie słychać było żadnych odgłosów. Nic.

–Nie zauważyłeś kompletnie niczego?

–Nie – potrząsnął głową. – Tam jest pusto.

Grupa zbliżała się coraz bardziej do wzgórza, przesłaniającego dalszą panoramę miasta.

–Naprawdę nic?

–Nic.

Ramsay zebrał się w sobie.

–No to gazu!

Na moment uniósł się na podpórkach i wykonał szeroki, widzialny dla wszystkich zamach ramieniem. Pomruk silników znowu przeszedł w ryk i pancerny taran, przez cały czas maszyna przy maszynie, w krótkiej chwili przeskoczył wzgórze. Jeźdźcy runęli w dół opustoszałą ulicą napelniając hałasem martwe miasto. Potworny łoskot odbijał się od wszystkich ścian strzelistych budynków, wibrował nad wymiecionymi, ze starannie utrzymaną zielenią skwerami i zagłuszał kompletnie świst wiatru, poruszającego zawieszonymi na wysięgnikach szyldami. Straszliwy pęd nie pozwalał na niczym zogniskować wzroku, dostrzegli jednak, na centralnych ulicach coraz więcej zaparkowanych samochodów. Żaden z nich nie był wrakiem. Nie było widać również wybitych szyb, pootwieranych drzwi, porzuconych na ulicy sprzętów ani niczego, co wskazywałoby na to, że miasto opanowały bandy rabusiów.

Ramsay rozglądał się wokół, coraz bardziej obawiając się, czy za kolejnym zakrętem nie napotkają zapory drogowej i świetnie zorganizowanej obrony. Nic jednak nie wskazywało, że miasto było zamieszkane.

Zatrzymał grupę na dość dużym skrzyżowaniu połączonym u zbiegu ulic dzielących budynki handlowego centrum. Większość nomadów wyłączyła silniki. Ludzie rozglądali się w ciszy, jakby nie mogąc uwierzyć, że są gdzieś w środku martwego kraju, a nie w zwykłym, normalnym mieście, w godzinie świtu, kiedy jeszcze wszyscy śpią w swoich domach.

–Hej – Schirmer postawił swój motor na podpórkach. – Czy wszyscy widzą dokładnie to, co ja?

–Nie, do cholery, to złudzenie... DeLuca również zostawił swoją maszynę. – Te... Te sklepy... One są pełne!

Schirmer podszedł do jakiejś wystawy uzbrojony w ciężki klucz francuski.

–Uważaj! – okrzyk Parksa złał się z brzękiem tłuczonego szkła. – Może są zaminowane?

–Sam jesteś zaminowany – barczysta postać znikła w mrocznym wnętrzu, by pojawić się po chwili ponownie powiewając kosztownym, damskim futrem.

–Suzette! Masz wolną chwilę wieczorem? Chcę ci dać prezent.

Kilkanaście osób skoczyło w stronę ogromnego sklepu spożywczego. Jeden z krzyżowców ostrożnie nacisnął klamkę. Ponieważ nic się nie stało, pozostali wdarli się do środka przez pozostałe drzwi i szyby.

–Może... – Sprenger nerwowo przełknął ślinę. – Może dołączyć do nich... Nie, to przecież niemożliwe. Nie może tak być.

Ktoś pojawił się na usłanej odłamkami szkła wystawie. W jednej ręce miał rozerwaną paczkę porcjowanego boczk, w drugiej karton z mlekiem.

–Ludzie! Tu jest wszystko! Wszystko!!!

–Może zatrute – rzucił ktoś z grupy, która jeszcze czekała niezdecydowana na skrzyżowaniu.

Człowiek na wystawie nie zamierzał jednak odpowiadać. Jego wypchane do granic możliwości usta nie pozwalały na wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Dalsze kilkadziesiąt osób rzuciło się w kierunku sklepów.

–Może wystawić warty? – Parks oglądał się niezdecydowany.

–Jakie warty? Człowieku! – Mozgo z jakimś krzyżowcem wjechali motocyklem do wnętrza restauracji. Wszelkie tamy pękły, jak pod naporem wezbranych wód. Ludzie rozbiegli się we wszystkich kierunkach, rozległ się od razu miarowy dźwięk rozbijanych szyb i drzwi. Ramsay wraz z Idris pobiegł w stronę spożywczego supermarketu. To, co działo się w środku, przechodziło wszelkie wyobrażenia o ludzkiej zachłanności. Nomadowie rozbijali puszki i słoiki, by porzucić je już po kilku łykach czy kęsach. Zawartość rozerwanych opakowań zaściewała podłogę w wielu miejscach. Paczkowane wędliny, sery, warzywa, dodatki latały we wszystkich kierunkach.

–Hej, tu są owoce!

Kilkadziesiąt osób rzuciło się w tamtym kierunku. Ramsay dopadł półek z jakimiś przecierami. Nerwowo rozrywał opakowania podnosząc zawartość do ust, ale nie był w stanie nadażyć z przelknięciem. Szybko przesuwiał się w bok zagarniając ramionami dziesiątki słoików z dżemami i kompotami. Większość z nich lądowała na podłodze, zdołał odkręcić zaledwie dwie, trzy nakrętki, próbując wszystkiego i dziwiąc się, że tak mało trafia do ust.

Koszulę z przodu pokrywała już gęsta warstwa różnokolorowych mazi, kiedy jak mała, z bananem między zębami pobiegł w kierunku chłodni. Czyimś, pozostawionym w połci bekonu, bagnetem odcinał ogromne porcje wiszącego na hakach mięsa. Ktoś popchnął go, czołgając się obciążony ogromnym kartonem z puszkami sardynek, kto inny sapał, usiłując wyciągnąć na zewnątrz wielki worek z paczkowanym pieczywem.

Ramsay dźwigając wędzony udziec wrócił do głównej sali. Tu jednak było już ciężko się poruszać. Ludzie jeździli wokół na swoich ciężkich maszynach, co chwilę przewracając się na stosach pogniecionych owoców, grzęzawiskach musztard i keczupów, inni ciągnęli za sobą sznury kielbas, balansowali z trzymanymi nad głową stosami paczek, ociekającymi wodą homarami, napychali plecaki wielkimi kołami serów, powiązanych sznurkami konserw. Cała grupa krzyżowców wypróżniała butelki z piwem, jedna po drugiej, rzucając nimi potem o ścianę.

Ramsay wypadł na zewnątrz trzymając kurczowo swój łup i przystając tylko po to, żeby odkroić od niego takie kawałki, które zmieściłyby się do ust.

–Tutaj! Tutaj! – skądś z boku niósł się wzmocniony aparaturą głos. – Tu jest benzyna!

Wysoka postać wymachiwała końcówką węża połączonego z jednym z wielu dystrybutorów dużej stacji za skrzyżowaniem.

–Może jest z cukrem?

Dobiegło do niego kilkanaście osób.

–A niby jak to sprawdzić?

–Zatankuj cudzą maszynę i pojeźdź trochę...

Ramsay natknął się na Sprengera, który na środku ulicy, używając wyniesionej z jakiegoś magazynu maszynki, gotował w menażce lekką kaszę.

–Wszyscy się pochorują – mamrotał pod nosem. – Wszyscy...

Ludzi tymczasem ogarnął jakiś szal. Ci, którzy zaspokoiili pierwszy głód, na świeżo zatankowanych maszynach wdzierali się do każdego wnętrza rabując wszystko, co wpadło pod rękę, i walcząc z tymi, którzy grabili pieszko. Ramsay, porwany powszechną falą, wpadł do jakiegoś sklepu napychając kieszenie wszystkim, co było dostatecznie blisko. Składane noże, elastyczne linki, żyłki, przeciwsłoneczne okulary, pseudowojskową czapkę, sportowe buty, luksusowy szalik, stos koszul, ołówki, gumki, biurowy zszywacz – cholera, po co mi zszywacz? – aparat fotograficzny, parasol – biegł od stoiska do stoiska – plażowy płaszcz, ręczniki, parawan – przewrócił się wypuszczając część zdobyczy, ale zaraz zaczął zbierać dalej – błyszczącą marynarkę, komplet zapalniczek, jakieś książki, portfele, skórzane paski – nie, nie mam jak wziąć maszyny do pisania.

Ściskając swoje skarby wypadł na zewnątrz, ale okolice skrzyżowania dawno nie przypominały już zwykłych ulic. Zewsząd dobiegały okrzyki podnieconych ludzi, co chwilę gromady jeźdźców wjeżdżały lub wyjeżdżały z jakichś drzwi, skądś wynoszono dziesiątki nowych kanistrów, które tankowano na pobliskiej stacji. Wiele osób całkowicie lub częściowo wkładało nowe rzeczy – zdarzały się najdziwniejsze połączenia, jak czarne i bardzo już ubłocone skórzane spodnie do jasnego, luksusowego płaszcza, czy nowa minispódniczka Idris do ogromnej, pomalowanej w barwy ochronne, wojskowej kurtki.

Powoli jednak ruch zamierał: Ludzie wypalali się w furii posiadania. Coraz więcej osób powalonych nadmiarem jedzenia, zgodnie z przewidywaniami Sprengera, szukało ustronnych miejsc. Bagażniki motocykli i wszystkie miejsca, gdzie można było umieścić cokolwiek, pęczniały od nadmiaru bagaży i zapasów. Wiele osób zmęczonych czy może nie mogących poradzić sobie z szokiem siadało lub kładło się pod ścianami, inni już z mniejszą szybkością, raczej sennie, plądrowali dalej sklepy lub rozchodzili się w poszukiwaniu czegoś nowego, czegoś wyjątkowego, czym można byłoby wzbudzić zazdrość kolegów.

Schirmer włączający się z wielką butelką whisky podszedł do Ramsaya.

–Jesteś piekielnie dobry – powiedział pociągając ogromny łyk. – Piekielnie!

W jakiś dziwny sposób otrzeźwiło to Ramsaya. Znowu zdał sobie sprawę, że oni wszyscy czegoś od niego oczekują. Przez głowę przemknęło mu, że trzeba zebrać zapasy, uporządkować grupę i... I co dalej? Myśli mąciły mu się w głowie.

–Hej – krzyknął na Schirmera. – Zbierz ludzi.

Ten skinął głową, zdjął z szyi pasek automatu i zaczął zagarniać na środek wszystkie napotkane osoby:

–Parks, DeLuca, Astley, Vats! – ochryple nawoływania po dobrej chwili zaczęły przynosić pewien skutek. Coraz więcej osób, jeśli nawet nie zatrzymywało się w miejscu, to przynajmniej snuło się w pobliżu skrzyżowania.

Skądś z tyłu podeszli Sprenger i Idris.

–Cholera, cały czas mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje – powiedział pastor.

–Bzdury – Idris ziewnęła szeroko. – Tu jest tak sennie.

–Tak... – usta Sprengera wygięły się z wyrazem ironii. Wyraźnie patrzył w stronę trzymany przez Ramsaya przedmiotów.

–Gorączka wyraźnie przechodzi... Ale tylko niektórym.

Ludzie gromadzili się sennie wokół. Poprzedni zapał wygasł zupełnie – jedyną rzeczą, jaką dawało się zauważyć, było ogarniające wszystkich zmęczenie.

–Cholera – Ramsay odrzucił zebrane z takim po święceniu przedmioty, które obciążały mu ręce. – Nie zasypiać pod ścianami! – krzyknął. – Na jezdni też nie! – kopnął kogoś, kto właśnie układał się na środku drogi.

–Niczym ich nie ruszymy – Sprenger odwrócił głowę od wyczerpanych ludzi. – Trzeba...

Nie był w stanie dokończyć. Zupełnie nagle, bez żadnego wcześniejszego ostrzeżenia na ulicy pojawił się tłum. Mieszkańcy miasta musieli być poukrywani w pobliskich bramach, dziurach, zakamarkach czy skrytkach. W każdym razie, na jakiś niewidzialny znak wychynęli nagle na ulicę, która od razu przybrała wygląd normalnego, zatłoczonego ciągu komunikacyjnego. Ramsay, zaskoczony na środku chodnika, nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Tłum złożony ze zwykłych, normalnie ubranych osób wpadł między rozproszonych nomadów nie zwracając jednak na nich najmniejszej uwagi. Mężczyźni w ciemnych garniturach, wyglądali jakby właśnie wracali do pracy po przerwie, kobiety przystawały przed wystawami, wchodziły do sklepów i wychodziły z nich obciążone pakunkami. Tuż obok przemknęło kilku chłopców na wrotkach, jacyś tragarze ustawiali skrzynie pod ścianą, policjant wypisywał komuś mandat... Tłum napierał coraz bardziej na zszokowanego Ramsaya, nie, nie dlatego, że ktoś chciał go zaatakować. Stał, po prostu zawadzając gęstej ciżbie, nie zwracających na niego uwagi ludzi.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wszystko dzieje się w ciszy. Słyszał oczywiście szuranie butów i stuk obcasów, trzask otwieranych drzwi i szelest damskich sukni, ale nikt nie odzywał się wokół, jakby nawet szept był zakazany pod karą śmierci.

–Idris – krzyknął. – Sprenger!

Dziewczyna jednak, oddzielona grupą śpieszących gdzieś osób, zniknęła pod przeciwległą ścianą. Ramsay zauważył natomiast jeszcze coś. Niesamowici mieszkańcy miasta wchodziłi również do sklepów zdemolowanych przez nomadów. Kobiety zdawały się nie zwracać uwagi na ogołoczone półki, a mężczyźni na swoje upaprane odpadkami nogawki.

–Hej, co tu się dzieje?! – dobiegł go czyjś okrzyk. – Rudi, gdzie jesteś?

Nawoływania dochodziły teraz ze wszystkich stron.

–Cholera, spychają mnie...

–Vats, czy to ty?

–Psiakrew, niech ktoś mi pomoże!

–Grupujcie się przy maszynach!

Ramsay czuł, że nie może przedostać się na wolniejszą przestrzeń na ulicy.

Różnokolorowy, prawie odświętnie ubrany tłum przyciskał go do ściany.

–Astley, czy mamy strzelać... Cholera, spychają mnie!

Skądś dobiegł brzęk tłuczonego szkła.

–Do tyłu! Tutaj...

–O Boże, Sprenger, podaj mi rękę!

Ramsay runął do przodu, żeby rozerwać rząd obojętnych przechodniów, ale potknął się na czyjejś przypadkowo podsuniętej nodze i runął na betonowe płyty.

–Wszyscy do maszyn! Szybciej...

Rozległ się łoskot przewracanych motocykli. Ramsay skulił się próbując przetoczyć swoje zwinięte ciało do krawężnika. W każdej chwili groziło mu stratowanie.

–Rudi!...

Skądś dobiegł go odgłos wypuszczonej z pistoletu maszynowego serii. Ktoś kłął nie przebierając w słowach, potem znowu rozległy się strzały.

Tłum znikł równie nagle, jak się pojawił. Przechodnie w ciągu kilku sekund pochowali się w swoich kryjówkach tak sprawnie, że jeśli ktoś choć na chwilę zamknął oczy, mógł uznać to wszystko za cud. Ramsay leżał ciągle rozplaszczony na chodniku, rozglądając się nieprzytomnie. Ludzie przytuleni do ścian, pochowani za przewróconymi maszynami, trzymający się słupów i latarni, byli równie przerażeni jak on. Wokół widać było jedynie ciemne, kontrastujące z zalanym słońcem otoczeniem postacie nomadów. Tylko u stóp Schirmera, który stał z ciągle dymiącym jeszcze automatem, leżało nieruchome ciało obcego. Prowadzące do najbliższej bramy ślady krwi świadczyły, że dostał ktoś jeszcze i że to wszystko, czego byli świadkami, nie było żadnym przewidzeniem.

–Co... Co to było?

–Do jasnej cholery – Schirmer obracał się wokół mierząc we wszystkich kierunkach. – Pokażcie się!

Pozostali również przygotowywali broń. Ci, którzy wcześniej się oddalili, wracali teraz biegiem gromadząc się wokół maszyn. Ramsay wstał z trudem, usiłując odszukać Idris.

–Kto to był, do cholery?!

Ludzie kręcili się niespokojnie, nie wiedząc, z której strony może nastąpić atak. W każdej chwili mogła się zacząć bezładna strzelanina.

–Stać! – Ramsay odnalazł wreszcie swoją dziewczynę, przyklejoną do jednej z niewielu całych jeszcze szyb w okolicy. – Sformować szyk!

Nikt jednak nie był w stanie wykonać rozkazu. Szok nie pozwalał na jakiegokolwiek rozsądne działanie. Z oddali dobiegł ich tupot kroków i po chwili pojawił się zdyszany Mozgo.

–Cholera... – nie mógł mówić spokojnie. – Oddaliłem się i... Na pewno nie uwierzycie... – wreszcie złapał oddech. – Ale nagle pojawiło się mnóstwo ludzi.

–Zalewasz – Schirmer odzyskał już spokój. – Jakich ludzi? Pięś?

–Nie, naprawdę...

–Tutaj! Wszyscy tutaj! – krzyczał Sprenger zdzierając struny głosowe. – Cholera, czy ktoś może to opanować?

–Stójcie! – potężny głos z trudem przebił się ponad rosnącą wrzawę, było w nim jednak coś tak zdecydowanego, że ludzie zamarli, każdy na swoim miejscu. Oczy wszystkich zwróciły się na ubranego w biały garnitur człowieka z wygoloną czaszką i długą brodą, który pojawił się kilkadziesiąt kroków dalej, na środku ulicy.

–Stójcie! – powtórzył.

Wszelkie hałasy milkły stopniowo. Kilkadziesiąt karabinów zwróciło się w jego stronę.

–Jestem Viggo Duckworth – powiedział tamten. – Witam was w moim mieście.

–Niech cię szlag trafi – Schirmer błyskawicznie uniósł automat i wywalił w odległą postać długą serię. Kilka pocisków musiało trafić, bo niewielka postać targnęła się w tył wykonując piruet, którego pozazdrościć mógł najlepszy baletmistrz i zwała się na jezdnię ukrywając czerwone plamy, które wykwitły na jasnym ubraniu.

–Nie! – krzyknął Ramsay, choć czuł, że kiedy otwiera usta, jest już za późno.



–To... To on? – Sprenger zrobił kilka niepewnych kroków, ale nie posunął się dalej. – To Duckworth?

Schirmer roześmiał się głośno.

–No i kto tu jest dobry? – krzyknął. – Naprawdę dobry, do cholery?

–Niestety nie ty...

Wszystkie głowy błyskawicznie odwróciły się w stronę mówiącego. Na szerokim tarasie nad jakąś kawiarnią stał łysy człowiek z długą brodą.

–Czy sądzisz, że mam tylko jedną postać? Czy sądzisz...

Skoncentrowane serie Schirmera i kilku krzyżowców trafiły go jednocześnie, odrzucając ciało, kiedy usta wykonywały jeszcze słabnące ruchy.

–Nie strzelać! – Ramsay puścił Idris wybiegając na środek ulicy. – Nie strzelać, do jasnej cholery!

Gdzieś z trzaskiem futryny otworzyło się okno. Kilkunastu najbardziej przerażonych ludzi schroniło się pod ścianą budynku, jakby nie chcąc widzieć człowieka z brodą, którego jasny strof odbijał się w otwartej szybie. Schirmer klnąc zmieniał magazynek swojego automatu.

–Nie strzelać – krzyczał Ramsay.

–Spokojnie – poparł go pastor. – Może się czegoś dowiemy.

–Ale... Ale on...

–Nie widzisz, że to tylko kolejne sobowtóry?

Schirmer ciągle na szeroko rozstawionych nogach, w charakterystycznej pozycji strzeleckiej zdjął jednak palec ze spustu.

–Nie warto tracić amunicji – głos z okna był lekko ochryply, mężczyzna mówił powoli, wyraźnie akcentując każde słowo.

Ramsay nie mógł wychwycić w nim ani cienia wahania, choćby odrobiny strachu przed grożącą mu w każdej chwili śmiercią.

–Czy nie czujecie, że wszystko ogarnia bezwład? człowiek z brodą mówił coraz wolniej i coraz bardziej ochryple. – Rozpad... Entropia... Nie wolno przeciwstawiać się bezwładowi, trzeba mu pomagać...

Schirmer klął coraz głośniej, automat w jego dłoniach drżał wyraźnie.

–Czy nie widzicie, że wszystko ulega erozji? Poddajcie się jej. Poddajcie się procesowi, który narasta od zarania ludzkości. Sprowadźcie znowu wszystko do pierwotnego niezróżnicowania.

Ramsay rozejrzał się gorączkowo wokół, usiłując skorzystać jakoś z przeciągającej się chwili milczenia. Rzucić ludzi do ataku? Ale na co? A może do ucieczki?...

–Słuchajcie...

Schirmer nie wytrzymał rosnącego napięcia ściągnął spust. Vats chwycił go jednak za rękę tak, że seria wyłobiliła tylko rząd dziur poniżej okna.

–Słuchaj go durniu! – krzyknął. – On ma rację!

Ramsay zamarł nagle sparaliżowany myślą, że Vats również podlega wpływowi szaleństwa. Spojrzał na Sprengera – ten stał pod ścianą na zimno obliczając szanse. Jego wzrok przesuwiał się po okolicznych ewentualnych kryjówkach w poszukiwaniu napastników. Idris stała tuż obok obiema rękami zasłaniając uszy, jakby bała się dopuścić do siebie cokolwiek z tego, co działo się poza nią.

–Vats, Astley, zbierzcie ludzi! – wrzasnął.

–Musicie poddać się rozpadowi...

–Vats!!!

Schirmer uwolnił wreszcie ręce z krępującego je chwytu i potężnym kopnięciem rozłożył szczeniaka na nawierzchni ulicy. Błyskawicznie złożył się do strzału, ale okno było już puste.

–Zbierać się! – krzyczał Ramsay. – Teraz nas zaatakują!

Ludzie zaczęli biec w kierunku swoich maszyn. Wielu z nich przewracało się, wpadało na innych, powiększając rosnący z każdą chwilą bałagan.

–Osłona blokuje wyloty poprzecznej ulicy! Rudi, przejmiesz grupę Vatsa!

Ramsay sprężył się do skoku, w tym samym jednak momencie rozległy się pierwsze strzały.

–W tył!!!

Kilka trafionych maszyn wybuchło potężniejącymi z każdą chwilą płomieniami. Ludzie, walili się pokotem, żeby ukryć się choćby za niewielką osłoną krawężników. Sprenger podskoczył do przodu i upadł rozstawiając podpórki swojego erkaemu. Długa seria osadziła nadbiegających sekciarzy, zmuszając ich do szukania kryjówek w bramach. Kilkunastu krzyżowców zaczęło strzelać z ręcznych granatników do otwierających się okien tak celnie, że zmusiło to napastników do przerwania ognia na długą chwilę.

Ramsay czuł, że musi wykorzystać ten moment. W tył? Nie, tam musi czaić się oddział odcinający drogę...

–W lewo! – krzyknął. – Wszyscy w lewo!

Ludzie podnosili się, błyskawicznie uruchamiając te maszyny, które wpadły im w ręce. Podkute buty ślizgały się na asfalcie. Nieliczni ostrzeliwali się w biegu, wielu z nich padało co chwilę, by podnieść się znowu, ciągle jeszcze tylko nieliczni pozostawali nieruchomi na zawsze.

–W lewo! – Ramsay biegł w stronę poprzecznej ulicy. Widząc, że Idris wyprzedza go o kilka kroków, zawrócił nagle i dopadł zaparkowanego w pewnej odległości od innych BMW. Silnik na szczęście zaskoczył za pierwszym razem. Gwałtownie puszczone sprzęgło postawiło maszynę na tylnym kole. Ramsay puścił gaz pozwalając jej opaść i położył się w głębokim wirażu, wymijając dwa zderzające się właśnie Harleye. Zahamował tuż za zakrętem, oszołomiony widokiem jakiegoś targu. Miejsce przeznaczone dla zmienianych co sezon ekspozycji mogło sprawić, że grupa utknęłaby tu na zawsze, ale z drugiej strony małe i niskie pawilony dawały doskonałą osłonę.

–Skręcać! Wszyscy skręcać!

Tuż obok, a może tylko mu się zdawało, wybuchł pocisk z granatnika. Odłamki ominęły go, a podmuch pchnął w plecy dokładnie na osi jazdy, tak że łatwo opanował maszynę. Eksplozja jednak sprawiła, że nie mógł zaczerpnąć oddechu. Miał wrażenie, że płuca są pełne krwi; przeciągłe brzęczenie w uszach zagłuszyło wszelkie inne dźwięki. W szoku obserwował, jak tuż obok niego biegnie jakiś człowiek – żołądkowe dolegliwości sprawiły, że nie zdążył podciągnąć spodni – robił niesamowicie małe kroczki. Kilkanaście metrów dalej widział Sprengera i Parksa, kierujących ludzi pod osłonę pawilonów. Pastor miał otwarte usta, ale blokada dźwięku w uszach nie pozwoliła mu na zrozumienie czegokolwiek. Czuł, że się dusi, że jeśli nie zaczerpnie zaraz oddechu, płuca eksplodują, kończąc jego

gościńę w realnym świecie. Pozbawiona kontroli maszyna uderzyła w krawężnik wywracając się tak, że przeleciał nad kierownicą, robiąc salto w powietrzu. Już leżąc na plecach zauważył nadciągający ulicą opancerzony samochód. Kilka granatów zatrzymało go, ale w oddali pojawił się drugi.

–W tył! – okrzyk Parksa był pierwszą rzeczą, jaka dotarła do niego poprzez dzwonienie w uszach. – Wszyscy do tyłu!

Widział jak Schirmer wjeżdża na pochylnię przy załadunkowej rampie i fantastycznym skokiem przelatuje nad skulonymi za jakimś straganem ludźmi. Jego maszyna wykonała łagodny zwrot ustawiając się do ataku, ale widok zbliżającego się samochodu powstrzymał kierowcę. Schirmer podpierając się nogą zawrócił w miejscu i pognął do tyłu.

Gdzieś z boku biegł zataczając się DeLuca, przytrzymując zakrwawione prawe ramię. Co kilka kroków siła bezwładu rzucała go o ścianę, ale odrywał się od niej i zaciskając zęby biegł dalej.

–Warren, wstawaj – zatrzymał się na chwilę. – Wstawaj do cholery, wycofujemy się!

Huk wystrzałów z obu stron stał się tak gęsty, że z trudem tylko można było cokolwiek zrozumieć. Ramsay mógł już zaczerpnąć małe ilości powietrza, każdy głębszy oddech powodował jednak gwałtowny kaszel. Dysząc, nie mógł wymówić ani słowa.

–Wstawaj! Widzę, że żyjesz. Nie udawaj!

Ramsay zaczął się zastanawiać, gdzie jest w tej chwili. Co robią biegnący pod ścianami ludzie?

–Wstawaj! – DeLuca obejrzał się za siebie. – A szlag!... – ścisnął mocniej zranioną rękę i ruszył dalej.

–Widzicie tam na wzgórzach? – rozpoznał głos Astleya. – To motocykle! Tysiące...

–Gdzie? – to musiał być Sprenger.

–Patrz na wzgórze za miastem. To nasi! Zaraz będziemy mieli wsparcie!

–Bzdury, nie dotrą tutaj!

Ktoś z tyłu wynurzył się nagle z jakiejś bramy, wrzucając pod kolejny samochód pancerny kanister z benzyną. Kilka strzałów z terenów wystawy zapaliło go w mgnieniu oka. Serie z erkaemu nie pozwalały obsłudze wydostać się ze środka.

–Wycofujemy się!

Ramsay mrużył oślepione oczy. Gdzie ja jestem? Czy to atak na most? W takim razie trzeba do przodu...

–Wycofywać się! Astley, nawiąż łączność z tamtą grupą.

Bliska eksplozja zasypała Ramsaya zwałami tynku. Znowu zaczął się dusić, kurz jednak opadł po kilku sekundach.

–Do tyłu! Musimy połączyć się z tamtymi!

Ktoś krzyczał w dalszym ciągu, głos jednak słabł z każdą chwilą. Znowu coś z uszami? A może ja się od niego oddalam? – przemknęło przez głowę Ramsaya. Co na moście robi tynk? I czemu, do cholery, nie mogę się ruszać? Wpadłem do wody? Strzały wokół wyraźnie zamierały. Charakterystyczne odgłosy pocisków odpalanych z ręcznych granatników były coraz bardziej odległe. A może jestem w gabinecie? Zasnąłem w swoim fotelu? Tuż obok pojawiały się i znikwały nieznajome postacie. Student trwał pochylony nad zdjęciem Arthura Millera i Marylin Monroe.

Ocknął się w jakimś niewielkim pomieszczeniu w kompletnych ciemnościach, dopiero po dłuższej chwili zdając sobie sprawę, że na zewnątrz od dawna musi panować już noc. Dlatego tak późno dostrzegł małe zakratowane okienko w górnej części ściany. Podniósł się powoli, sprawdzając stan swoich kości i mięśni. Żadna część jego ciała nie wydawała się poważnie uszkodzona. Był co prawda obolały, zdrętwiałe mięśnie pozwalały na poruszanie się tylko z dużym trudem, ale najprawdopodobniej nic nie zostało złamane. Również oddech powrócił do normy, a w uszach nie czuł już bólu.

Posuwając się wzdłuż chropowatej, niedbale otynkowanej ściany dotarł do wąskich, drewnianych drzwi. Tak jak się spodziewał, były zamknięte na głucho – po jego stronie nie było nawet klamki. Stał na środku celi usiłując doprowadzić się do pełnej sprawności. Kilka przysiadów wykonanych z zaciśniętymi zębami, parę podskoków pozwoliło mu odzyskać wiarę we własne siły... fizyczne.

Zastanawiał się, co stało się z jego grupą, od kiedy stracił przytomność. Czy połączyli się z nadciągającą odsieczą? Ponowili atak? A może czekają, aż przyłączą się do nich nowe zastępy jeźdźców? Wzruszył ramionami. Równie prawdopodobne było, że po udanej ucieczce z miasta pognali gdzieś w swojej nie kończącej się wędrówce.

Podszedł do małego okna pod sufitem. Kiedy stanął na palcach, mógł dotknąć dłońmi krat, a nawet zacisnąć na nich palce. Spróbował się podciągnąć, ale odrętwiałe ciało nie pozwalało jeszcze na taki wyczyn. Pchany ciekawością miejsca, w którym się znajduje, podskoczył do góry pomagając sobie opartymi o wąski parapet rękami. Jedyną rzeczą, jaką zauważył w krótkiej chwili, był nikły odblask małego ogniska płonącego w niewielkiej odległości. Ludzie na zewnątrz byli w dużo lepszej sytuacji.

–Widziałeś? – dobiegł go głos z zewnątrz. – Obudził się.

–Na pewno?

–Tak.

–To biegnij z wiadomością.

Ramsay skrzywił się na dźwięk tych słów. Nie miał pojęcia, co dzieje się ze schwytanymi nomadami. Wbijanie na pal, spalenie na stosie czy zwykłe rozstrzelanie? Nie miał wątpliwości co do tego, że nie grożą mu żadne przesłuchania z torturami. W jego głowie nie kryło się nic, na czym mogłoby zależeć mieszkańcom dziwnego miasta. Nie czuł strachu – jego zobojętnienie posunęło się do tego stopnia, że po raz kolejny zastanawiał się nad stanem swojej psychiki. Czuł, że wchodzi mu to w nałóg.

Kiedy drzwi otworzyły się po kilku minutach, stał odwrócony do nich plecami, nie czując żadnego zainteresowania tym, co go czeka.

Jeden z dwóch roślących mężczyzn, którzy weszli do środka, obrócił go jednym ruchem ręki.

–Idziesz sam, czy ciągniemy? – spytał.

–Jak wam pasuje... – ruszył w stronę wyjścia, gdzie czekał jeszcze jeden człowiek.

–Tędy – powiedział, zajmując pozycję z boku Ramsaya. Dwaj rośli strażnicy trzymali się kilka kroków z tyłu.

Szli powoli ulicami tonącego w rozświetlonej tylko licznymi ogniskami ciemności miasta. Mimo nagromadzenia takiej ilości wszelkich dóbr mieszkańcy nie zdołali sobie najprawdopodobniej zapewnić dopływu energii elektrycznej na większą skalę. Ramsay

przyglądał się zgromadzonym wokół jasnych punktów sennym ludziom. Nie wyglądali na takich, którzy opływają we wszystko. To, co gotowali w zawieszonych nad ogniskiem kociołkach, nie przypominało swym zapachem choćby części tego, co nomadowie zastali w spożywczym supermarkecie. Czemu więc miała służyć ta gigantyczna mistyfikacja? Pozory normalnego, doskonale zaopatrzonego miasta? Co jeszcze kryło się w tych ogarniętych szaleństwem mózgach?

Delikatny odbłask płomieni drżał lekko na mrocznych ścianach wieżowców. Wszystkie okna tchnęły martwością, jedyne ślady życia wykazywały budynki czy raczej bungalowy sklecone z drewna i gotowych płyt betonowych, które wzniesiono na całej szerokości bocznych ulic. Dlaczego je zbudowano? Dlaczego ludzie nie używali tak wielu pozostających do ich dyspozycji, gotowych budynków? Ramsay przyglądał się niezwykle kontrastowi wysokich nowoczesnych elewacji i wiejskiej zabudowy pomiędzy nimi. Wyglądało to jak symbol miasta wyrastającego spomiędzy zachowanych jeszcze relikwów przeszłości. W wielu miejscach zerwano asfalt pokrywający nawierzchnię ziemi, z której wyrastała gęsta trawa. Musiano wypasać na niej wychudłe krowy i kozy, które widział teraz zamknięte w wykonanych z plastikowych i szklanych odpadów zagrodach. Nie potrafił znaleźć żadnego powodu, dla którego tyle pracy włożono w niesamowitą przemianę miasta. Z coraz większym zdziwieniem przyglądał się drzewom zasadzonym w wykutych pośrodku jezdni dziurach. Tuż obok wybito wszystkie panoramiczne szyby w budynku jakiegoś biura. Ogromny hall zmieniono w uprawne pole. Rosnącym na nim roślinom dostarczano dziennego światła za pomocą systemu ogromnych lusterek zawieszonych na przeciwległej elewacji. Prowadzące na wyższe piętro schody przekształcono natomiast w niewielki wodospad, którego wody zasilają płynącą korytarzem rzekę. Z otwartych okien pierwszego piętra zwieszały się gałęzie jakichś krzewów, ich końce w wielu miejscach sięgały prawie granitowych chodników poniżej, które tysiące czy miliony uderzeń kilofów przekształciło w kamieniste ścieżki złożone z małych odłamków. Dziko pleniąca się roślinność spowijała chaty i bungalowy, a posadzone między nimi drzewa koronami zajmującymi całą szerokość między strzelistymi elewacjami zamieniały ulice w jakieś antyczne wąwozy, których ślady dawni malarze uwiecznili w swych arkadyjskich sielankach. Rozświetlona rozrzuconymi ogniskami zieleń nie potrafiła jednak ukryć straszliwej biedy żyjących między nimi ludzi... A może nie miała takiego zadania?

Ramsay, coraz bardziej zafascynowany rozciągającym się wokół widokiem, nie zwrócił uwagi, że zbliżają się do placu tonącego w głębszym niż reszta miasta mroku. Kiedy wkroczyli na absolutnie płaską, ogromną powierzchnię, zdał sobie sprawę, że tutaj nie zmieniono nic w otaczających wolną przestrzeń budynkach. Były również nie zamieszkałe, ale – o ile pozwalały mu dojrzeć powoli przystosowujące się do światła gwiazd oczy wszystko zostało tak, jak za ostatnich dni zamieszkujących ten rejon normalnych ludzi.

Poszarpane kontury wieżowców otaczały plac z trzech stron. Czwartą zajmował tonący w nie rozświetlonych żadnym ogniskiem ciemnościach park. Ramsay potknął się kilka razy. Prowadzący go przewodnik wyciągnął rękę w jego kierunku, ale ten potrząsnął głową. Właśnie dostrzegł przed sobą jedyny jaśniejszy punkt – ustawioną na małym stoliku, mżącą fioletowym światłem lampkę. Zbliżyli się do ustawionego dokładnie na środku placu fotela. Przewodnik kazał im stanąć, sam zbliżył się do zajmującej go postaci, wyszeptał kilka słów i

odszedł nie oglądając się za siebie. Dwaj towarzyszący mu strażnicy zostali nieruchomi kilka kroków z tyłu.

Ramsay czuł ogarniające go podniecenie. Domyślał się, kto spoczywa w głębokim fotelu. Z trudem opanowywał drżenie rąk. Obecność człowieka, który rozpętał to wszystko, sprawiała, że jego puls przyśpieszał z każdą chwilą.

–To ty! – nie mógł powstrzymać się od okrzyku. – Wiem, że to ty. Wiem, że mam przed sobą człowieka, który doprowadził tysiące ludzi do szaleństwa! To... zakrzuszył się nagle kaszłąc, żeby odzyskać oddech.

Całkowicie łysy mężczyzna z długą, starannie przystrzyżoną brodą siedział nieporuszony. Brak wąsów upodabniał go w pewnym stopniu do ojców założycieli.

–Ty rozpętałeś największy terroryzm w dziejach! Mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci podkładały dla ciebie bomby! Ty...

Oczy Duckwortha tkwiły nieruchomo wpatrzone ciągle w ten sam punkt.

–Tysiące ludzi przez ciebie opuściło swe domy!... Rzuciło rodziny, plunęło na swoje środowisko, swoją pracę, swoje dążenia... – Ramsay zadyszał się i mówienie przychodziło mu z coraz większym trudem.

W przeciwieństwie do niego, człowiek w fotelu zachowywał ciągle niewzruszony spokój.

–Nikt jeszcze nie zdobył takiej władzy sam z siebie. Bez armii, policji, bez... Jesteś potworem! Jesteś najgorszym ze wszystkich zbrojców! Jesteś zbrodniarzem, wiesz? Jesteś...

–Jestem wolny – powiedział spokojnie Duckworth. Ramsay urwał w pół słowa, zamarł w połowie wykonywanego ruchu, jakby głos tamtego sparaliżował jego wszystkie mięśnie. Dyszał ciężko, jak po długim biegu. Uspokojenie oddechu zabrało mu dużo czasu.

–Zbliź się.

Postąpił kilka kroków.

–A więc tak wygląda przywódca nomadów.

Trudno było orzec, czy miało to być pytanie, czy stwierdzenie. Duckworth mówił bardzo powoli, jednostajnym, bezbarwnym głosem. Nie sposób było stwierdzić, ile ma lat.

Skąd wiedział? – zastanawiał się Ramsay. Jego ludzie śledzili nas w mieście i domyślił się... A może miał swoich szpiegów w grupie? Może miał ich we wszystkich grupach jeźdźców? Obserwował człowieka siedzącego w surrealistycznie ustawionym na środku placu fotelu i przez głowę przebiegały mu kolejne pytania. Nie wiedział jednak, jak je zadać. Jak spytać o najważniejszą kwestię.

–Dziwisz się? – Duckworth leniwie podniósł głowę. I nagle zaczął mówić sam. Jego monotony głos rozplątywał się w mroku, uspokajał wzburzone uczucia hipnotycznym rytmem.

–Kiedyś za młodu – uśmiechnął się nieznacznym skrzywieniem warg – ukulem sobie taką teorię... To nic, że nie potrafię odnaleźć dalszej drogi. Trzeba kształcić swój umysł i dbać, żeby inni też się kształcili. Jeśli będzie dostatecznie duża liczba ludzi wybitnie inteligentnych, automatycznie zwiększy się prawdopodobieństwo, że wśród nich znajdzie się ktoś, kto będzie dostatecznie wypełniony energią, żeby wskazać cel innym... Czekałem więc, pompując w siebie wiedzę w każdej wolnej chwili, wszystkie oszczędności przeznaczałem na uczelnie, ale... – zawiesił głos. – Być może byłem zbyt niecierpliwy, być może sprawił to fakt, że nie pojawiały się nowe idee, że otaczały mnie coraz bardziej

nieprzebrane rzesze głupców, sam nie wiem. Uznałem w każdym razie, że to ja poprowadzę resztę.

–I wymyśliłeś tę religię? – Ramsay usiłował nadać swojemu głosowi ironiczne brzmienie.  
– Tę skundloną wersję...

–To eksperyment – przerwał mu Duckworth. Musiałem poznać, gdzie leżą granice mojej wolności. Gdzie jest kres mojej siły, siły mojego umysłu... Żeby się tego dowiedzieć, musiałem odrzucić wszystko: całą moralność, kulturę, wszystkie nie uświadamiane przez nikogo, a krępujące wszystkich przyzwyczajenia. Musiałem odciąć cały balast, pozbyć się wszystkich więzów, tego, co uznane, i tego, co narzuca nam nasza kultura. Musiałem zrezygnować z prawa, z tradycji, z rodziny, z religii, musiałem zaprzeczyć ekonomii, historii... Musiałem pójść drogą wyznaczoną przez naprawdę nielicznych, a i to tylko w teorii...

–Markiz de Sade byłby innego zdania.

–Ach, on szukał absolutnych granic, ale tylko w sobie. Ja wybrałem za wszystkich. Prowadziłem zimną grę kontynuując to niesamowicie ryzykowne doświadczenie i znalazłem kres, ostateczny kraniec, za którym nic już nie ma – głos Duckwortha nabral żywszych tonów. Tam, gdzie ja odważyłem się dojść, nie dotarł jeszcze nikt. Odrzuciłem wszystko, nawet własne ja, własną świadomość i dumę. Operacja na żyjącym jeszcze trupie ludzkości doprowadziła mnie zbyt głęboko pod powierzchnię, żeby zachować jeszcze choć cień wątpliwości.

Ramsay czuł, że poddaje się monotonnemu głosowi. Jego własna, rozpadająca się pod naporem ostatnich zajęć osobowość potrzebowała oparcia. Jakiegokolwiek siły, która byłaby zdolna powstrzymać jej unicestwienie.

–Co znalazłeś u kresu... – nie mógł dokończyć zdania.

Duckworth nachylił się do przodu.

–Rozkład, zniszczenie – wycedził. – Totalny upadek, tak powszechny, że fikcja, w której żyjemy, nie może nawet zasłonić jego symptomów. Tam jest unicestwienie, entropia...

Ramsay chwiał się na nogach. Czuł, że wszystko w nim broni się przed uznaniem pustki za coś godnego oparcia, a jednocześnie pociąga go to tak samo, jak śmierć Velli. Czuł, że kumulujące się w nim od wielu dni szaleństwo uderza wreszcie ogarniając resztki sił, jakimi bronił się jeszcze jego umysł. Koszmarne miasto łączyło się z jego własnymi marami.

–Tam jest tylko bezwład – powtarzał Duckworth. – Rozkład. Tylko ostateczny upadek wszystkiego może dać wyzwolenie...

Ramsay czuł, że wtapia się w niematerialne kształty, które wychynęły z mroku. Wiedział, że przed chwilą jeszcze chciał się bronić, ale teraz już nie znał powodów, które nim kierowały. Czy tak zachowuje się człowiek, który przeszedł już granicę normalności?

–Powiem ci coś jeszcze – Duckworth nachylił się ścisząc głos.

Ramsay patrzył na niego z jakąś zrodzoną na nowo obojętnością.

–W tej religii nie ma Boga... – Duckworth uśmiechnął się tym razem wyraźnie, ale zaraz na powrót spoważniał. – Natomiast będzie Szatan!

Skądś z oddali dobiegały ich niezrozumiałe z powodu odległości słowa jakiejś chóralnej pieśni.

–Szatan! – powtórzył. – Być może.

Skinął na strażników, którzy chwycili Ramsaya za ramiona. Nie stawiającego oporu poprowadzili w głąb poplątanych ulic miasta. Ramsay szedł powłócząc nogami, ogarnięty nie wątpliwościami, już nie, ale zdziwieniem dlaczego to wszystko nie wywołuje w nim buntu. Mijał setki, tysiące, dziesiątki tysięcy skupionych wokół ognisk ludzi, zastanawiając się, jaki los wyznaczył mu Duckworth. Nie, nie bał się niczego. Totalna obojętność zawładnęła nim na dobre, myślał tylko nad tym, czy tamtemu uda się ją zburzyć. Przyglądając się twarzom mijanych ludzi, ich pozornemu, ale również zobojętnieniu, zastanawiał się, czy są tacy sami jak on.

Potrząsnął głową. Ściany otaczających go budynków zdawały się giąć przed nim zamykając jakby w pułapce. Gdzieś w środku skołatanego umysłu warczał silnik jego motocykla, czasami towarzyszyły mu inne. Czuł, że idąc mrocznymi ulicami przemienionego miasta, zagłębia się w absolutnie obcy dla siebie świat, czuł, że wciąga go coś groźnego, zdolnego do pochłonięcia, wessania i pozbawienia całego bagażu, jaki przywiózł ze sobą. Wiedział też, że został znieczulony, że nie poczuje momentu przejścia z jednej strefy do drugiej. A może już ją przeszedł...

Zdawało mu się, że zasypia, że nogi niosą go same. Już we śnie próbował odnaleźć drogę. Koszmar materializował się w znajomych kształtach BMW, śnił, że wsiada na niego, dosłownie wrasta w siedzenie i szybuje gdzieś w dół, coraz głębiej i głębiej, jakby chciał przewiercić ziemię w poszukiwaniu piekła. Skaliste ściany zwężały się coraz bardziej, aż utworzyły kamienne sklepienie zamykające drogę powrotu. Nie wiedział, czy chce wracać.

Ocknął się, czując ciepłe krople spadające na twarz. Nie chciał przerywać snu, leniwie otworzył oczy tylko po to, żeby strzepnąć z nich wodę. Zamknął je na powrót i otworzył znowu. Z zupełną obojętnością przyglądał się otoczeniu. Znajdował się na dnie jakiegoś wąwozu, a może rozpadliny o prawie pionowych skalistych ścianach, które wznosiły się na kilkadziesiąt metrów. Siąpiący, letni deszcz zasiliał niewielki strumień płynący środkiem kamiennego podłoża. W stromych, wykluczających możliwość wspinaczki, ścianach przeciwległego zbocza widniały otwory prowadzące do jakichś jaskiń albo dawno zapomnianych kopalni. Dalej, bardziej na północ, wąski przesmyk ograniczony strzelistymi, sakralnymi wieżami, prowadził do następnej doliny o równie niedostępnych z dołu zboczach. Wokół leżeli ludzie o chudych, być może wyczerpanych jakąś chorobą lub głodem ciałach. Większość nie ruszała się, choć zapewne żyli jeszcze, tylko niektórzy z nich podnosili się z rzadka lub zmieniali pozycję.

Ramsay chciał otrzeć zalewające mu czoło krople, ale nie mógł poruszyć ręką. Zrozumiał, że jest przywiązany do swojego motoru. Wyznawcy Duckwortha musieli opuścić go na linach, które odczepiono w niewiadomy sposób i wciągnięto na górę. Przyjął swój stan, nawet jeśli nie jako coś naturalnego, to w każdym razie zupełnie obojętnie. Rezygnacja, która nim owładnęła i kazała tak tkwić nieruchomo bez żadnych prób uwolnienia, pomogła mu na swój sposób, odpowiednio regulując organizm. Nie czuł głodu ani pragnienia, nie czuł strachu ani zainteresowania czymkolwiek, nie czuł bólu – wszystko zdawało mu się uśpione oprócz trwającej w stanie odrętwienia świadomości. Nie był w stanie określić, jak długo tak leżał. Czy minęły już dni – nie zauważone przez niego zmiany światła i nocy – czy może tylko godziny. Wiedział, że umrze prędzej czy później nie podejmując żadnych wysiłków, ale to wszystko tkwi już gdzieś poza nim, tak jakby żadna ze



spraw nie dotyczyła go osobiście.

Otępiały, przez dłuższy czas nie zauważył, że ktoś do niego podszedł. Kiedy wreszcie oczy ześrodkowały się na ubranej w zniszczony kombinezon sylwetce, twarz wydała mu się znajoma. Gdyby nie broda, długie włosy... Zawsze miał dobrą pamięć do twarzy, ale wszechogarniająca obojętność nie pozwalała na odpowiednie skupienie.

–Jestem Glen Chira – powiedział obcy.

Słowa spowodowały otworzenie kilku szufladek pamięci. Velpeau Pastier, jego piękna koleżanka i osoba, której szukali... Nie, to on miał go szukać. Tak? Ale co dalej?

Chira nachylił się nad nim, wyjmując z kieszeni zaostrzony kawałek blachy.

–Jesteś nowy... – nie było to ani pytanie, ani stwierdzenie. – Dlaczego cię zwięzali?

Opuchnięte, pokaleczone palce tamtego obmacywały więzy. Wreszcie zaostzona blacha dotknęła sznura.

–Chcesz?

Ramsay nie odpowiedział. Ręce Chiry uwolniły go jednak bez wezwania. Sznury opadły. Ramsay nie zamierzał się ruszać. Leżał dokładnie w takiej samej pozycji, zobojętniały na wszystko. Chira rozsiadł się obok, nie zamierzając najwyraźniej nigdzie odchodzić.

–Poczułeś nagłą pustkę w sobie? – spytał, ale takim tonem jakby nie zamierzał czekać na odpowiedź. Pustkę wokół siebie?

Popatrzył w górę na zaciągnięte chmurami niebo, jakby tam szukając kogoś, z kim mógłby porozmawiać.

–Ja też to przeżyłem. Ale nie tak szybko jak ty ciągnął ni to do leżącego obojętnie Ramsaya, ni to do równie obojętnego nieba. – Kiedy znalazłem się tutaj, w miejscu, gdzie Duckworth zsyła opornych i tych, którzy nie przekonali się do jego wiary, wydawało mi się, że mam w sobie dużo energii. Wystarczająco dużo, żeby stąd uciec... – uśmiechnął się nagle smutno. – Ale on jest mądry. W tej chwili nie ma tu nikogo, kto nie przyłączyłby się do niego, gdyby zobaczył choć skinięcie palcem. Tak... – westchnął ciężko. – Nie od razu zrozumieliśmy nasze błędy. Jego słowa układały się w jakiś powolny rytm ni to pieśni, ni ballady, w której wykonawca nie śpiewa, ale po prostu opowiada swoją historię do taktów sennej muzyki. – Kiedy nie było jeszcze tak ciężko, próbowaliśmy ucieczki. I to nie było jakiej. Wśród nas było dużo chorych i rannych. Nie chcieliśmy ich zostawiać.

Jakaś myśl zaświtała w głowie Ramsaya. Po co on mi to mówi? Czy nie mógłby po prostu odejść?

–Tak... – Chira smętnie pokiwał głową. – Tu wokół było mnóstwo kopalni... Kiedyś. Wszyscy zbuntowani trzymali się jeszcze razem i wpadliśmy na koszmarny w swym bezsensie pomysł wybudowania windy roześmiał się nagle. – Wiesz? Windy do nieba!

Śmiech przeszedł szybko w uporczywy kaszel i Chira długo łapał oddech. Nie zamierzał jednak kończyć swej opowieści.

–W głupocie swojej sam kierowałem wszystkim, zagrzewałem ludzi, tworzyłem plany. Wśród nas było wielu fachowców z różnych dziedzin. A materiał dostarczały nam kopalnie... Nie masz pojęcia, jakie rzeczy tam porzucono.

Spojrzał na swoje opuchnięte dłonie.

–Udało mi się porwać ludzi i opracowaliśmy projekt ogromnej wieży sięgającej ponad otaczające nasskały. Miała być okrągła i pusta w środku, tak, żeby można było

zamontować tam podest windy, która wynosiłaby na raz dużą liczbę ludzi na górę. Także rannych i chorych. Chcieliśmy jakiejś nocy błyskawicznie wysłać wszystkich na górę i albo uderzyć na tamtych, albo ukraść jakieś pojazdy i przedostać się w bardziej cywilizowane strony... Chcieliśmy zbudować maszynę parową, system lin, bloków i siłowników, które miały tym wszystkim poruszać. Nocami zbieraliśmy podtrzymujące stropy w kopalniach ciężkie belki i gromadziliśmy je w tej drugiej dolinie. Ludzie Duckwortha zrzucali nam resztki jedzenia gdzieś tutaj i była duża szansa, że nie zauważą budowy. Wydzielone grupy remontowały starą maszynę parową, też znaną w kopalni, pozostali ociosywali drewno wyprodukowanymi przez siebie narzędziami, prostowali znalezione gwoździe, pletli liny...

Chira znowu spojrzął do góry z wyrazem rezygnacji na twarzy. Po chwili znowu przeniósł wzrok na leżącego ciągle w tej samej pozycji Ramsaya.

–Wreszcie wszystkie plany były gotowe. Wszystkie materiały przygotowane i każdy znał swoje zadanie. Pewnej nocy zaczęliśmy budowę. Wykopano odpowiednie fundamenty, przygotowanymi wcześniej instrumentami zrobiono wszystkie pomiary i wreszcie zaczęliśmy wbijać pierwsze belki. Szło to bardzo opornie, nie dysponowaliśmy ani odpowiednimi narzędziami, ani odpowiednią wiedzą, ale było to wyzwanie... Wyzwanie skierowane przeciwko temu, co wtedy nie było jeszcze dla nas oczywiste.

Ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę rozcierał ją miarowo, potem popatrzył w stronę przesmyku do drugiej doliny.

–Ale mieliśmy zapał. Po pierwszych belkach i kamiennych umocnieniach przyszły następne i tak wznosiliśmy naszą budowlę metr po metrze. Pracowaliśmy tylko nocami, praktycznie po omacku. Nie wolno było palić ognisk ani się nawoływać. To był koszmar, noc po nocy wypełniona strachem, żeby tamci niczego nie usłyszeli – ani spadającej belki, ani krzyku człowieka, któremu źle położony kamień miażdżył palce. W dzień nie mogliśmy spać zbyt długo, żeby nie wydało się to podejrzanym. Drżeliśmy ze strachu, żeby nikt z tamtych nie wybrał się nad drugą dolinę. Żeby nikt nie podchodził zbyt blisko... Ale wieża rosła ciągle coraz wyżej i wyżej. Musieliśmy mieć coraz więcej materiałów, wydzielone ekipy pracowały nawet w dzień w ukrytych podziemnych chodnikach... Pewnej nocy – zagryzł na chwilę wargi – wieża zaczęła się chwiać. Wtedy myśleliśmy, że może w obliczeniach tkwił błąd. Wtedy też...

Potrząsnął głową, jakby nie mógł pozbyć się pewnych wspomnień. Tym razem milczał już dłuższy czas. Ramsay nie chciał słyszeć dalszego ciągu, ale ogarniająca go apatia sprawiała, że nie chciało mu się nawet otworzyć ust, żeby to powiedzieć.

–Wtedy też zginął pierwszy człowiek – podjął Chira. – Po ciemku stanął na jakiejś ruchomej belce i poleciał w dół roztrzaskując się na skałach. Był twardy w swoim zaślepieniu. Już lecąc nie wydał z siebie głosu, żeby nie zdradzić budowy... Zaczęliśmy wzmacniać konstrukcję, wynosić coraz więcej desek, z których powstawały podtrzymujące kratownice. Ale problemy rosły wraz z wysokością. Materiał odkształcał się, a przecież musieliśmy mieć idealnie okrągłe, puste wnętrza, żeby winda nie utknęła gdzieś w środku. Zaczęliśmy stosować zewnętrzne wręgi, ale to z kolei obciążało konstrukcję w nieodpowiednich miejscach – wieża chwiała się coraz bardziej, mniej wytrzymałe elementy zaczęły pękać... Wtedy też zniechęcili się pierwsi ludzie. Pozostałym coraz więcej czasu zabierało wzmacnianie tego, co powstało już do tej pory. Zaczęły się plotki, że Duckworth

ukarze nas za to, co robimy, że rozwalili wszystko za pomocą sił, którym służy... Ale wieża wciąż rosła.

Uśmiech Chiry, który pojawił się nagle na wychudłej twarzy, zamierał z każdą chwilą.

–Wymienialiśmy zniszczone fragmenty i budowaliśmy dalej, choć coraz więcej ludzi nie wierzyło, że może jeszcze nastąpić sukces. Odchodzili kolejno, a potem zaczęli namawiać pozostałych. Musieliśmy wystawić strażę, żeby nie podpalili wszystkiego. Strach zataczał coraz większe kręgi. Ci, którzy pracowali dalej, musieli trzymać się razem, żeby nie napadano pojedynczych ludzi. Było coraz ciężiej, ale też kolejne metry przybywały z każdą nocą. Wieża osuwała się, chwiała coraz bardziej, ale rosła. Rosła bez przerwy, choć z dnia na dzień topniały szeregi tych, którzy jeszcze nie zwątpili. Tam na górze było coraz bardziej niebezpiecznie, mieliśmy coraz więcej wypadków i coraz mniej siły. Cała konstrukcja skrzypiała, w nocy uginając się w podmuchach wiatru, co jakiś czas odrywała się źle umocowana deska, pękała zbyt obciążona belka, by spaść ze słyszalnym wszędzie hukiem.

–Po co on mi to mówi? – wołało coś w mózgu Ramsaya.

–Stało się jasne, że ludzie Duckwortha musieli coś zauważyć. Być może wiedzieli o wszystkim od początku i czekali tylko na interwencję sił, którym służyli. Strach zaczął opanowywać już wszystkich, nawet mnie.

Nie chcę tego słuchać – Ramsayowi zdawało się, że krzyczy. W rzeczywistości nie otworzył nawet ust.

–Wieża w każdej chwili groziła zawaleniem, ale byliśmy już bardzo blisko końca. W wietrzną noc trudno było ustać na szczycie, a wciągnięcie kolejnej belki powoli urastało do nierozwiązywalnego problemu. Ekipy zajmujące się maszyną parową i samym podestem windy dawno porzuciły pracę, ale my robiliśmy swoje, bo brakowało nam dosłownie metrów...

Chira spojrzał na otaczające dolinę prawie pionowe skały.

–Budowa wciągnęła nas do tego stopnia, że nie liczył się już cel, nie miało sensu podejmowanie jakiegokolwiek ucieczki. Chcieliśmy już tylko sprostać wyzwaniu. Wyzwaniu! Rozumiesz?

Chira chwycił Ramsaya za klapy, ale ten zwił mu bezwładnie przez ręce zastanawiając się, co zrobić, żeby przerwać tę opowieść.

–Pewnego dnia – Chira mówił teraz podniesionym głosem – nad urwiskiem drugiej doliny pojawił się człowiek. Długo obserwował całą konstrukcję, potem odszedł. Ci, którzy jeszcze nie poddali się bezwładowi, zamarli na dole, ale minął cały dzień, cała noc i nic się nie stało. Tak samo przeszły następne dni i stało się jasne, że Duckworth od dawna wie o wszystkim. Że pozwala nam ludzić się do chwili, kiedy z całą pewnością przeszkodzi nam coś, w co my nie chcieliśmy dotąd wierzyć.

–Po co mi o tym mówisz? – wyszeptał wreszcie Ramsay znużonym głosem. – Po co chrzaniś o...

–Bo wszyscy muszą wiedzieć! – Chira nachylił się nad nim. – Wszyscy!

Dłuższą chwilę dyszał ciężko, potem udało mu się uspokoić oddech.

–Stało się jasne, że nastąpi coś, co pokrzyżuje nasze głupie plany... – ciągnął. – Któregoś dnia rozszalała się wichura, która naruszyła stabilność konstrukcji. Wieża zaczęła się chylić i chwiać coraz bardziej... Pękały kolejne belki, łamały się kratownice, a ona

pochylała się coraz bardziej.

Chira zwiesił głowę na piersi.

–I zawałała się wreszcie – powiedział cicho.

–Co?

–Zawałała się. Runęła na ziemię.

–Co?! – Ramsay poderwał się na równe nogi. – Co powiedziałaś?

–Duckworth miał rację. Wieża runęła...

–Chryste, człowieku! – Ramsay doskoczył do Chiry, chwycił go za włosy i silnym szarpnięciem wykręcił mu głowę.

–A tam co stoi?! – krzyknął, wskazując przesmyk prowadzący do drugiej doliny. – No powiedz, co tam jest?!

Schodzące się dość blisko skarpy zasłaniały szerszą perspektywę, ale nawet z miejsca gdzie stali, widać było ogromną drewnianą konstrukcję. Wieża stała pochylona, opierając się o najbliższe zbocze, wygięta w ryzykowny sposób, przekrzywiona, ale stała. Wylot kolistego otworu, którym miała poruszać się winda, dotykał górnej krawędzi urwiska.

–Wieża się zawałała – powtórzył Chira patrząc we wskazanym kierunku. – Runęła już dawno.

–A niech was wszystkich szlag trafi! – Ramsay podniósł z ziemi swój motocykl. – Nie, ja jeszcze nie zwariowałem – uruchomił silnik, który napełnił dolinę wzmocnionym przez echo warkotem.

–To iluzja – powiedział do Chiry wskakując na siodełko.

Tamten zaprzeczył powolnym ruchem głowy. Ramsay nie mówił nic więcej. Coś przełamało się w nim, kiedy mknął środkiem doliny. Nie, dawna pewność nie wróciła wcale, lecz to, co stało się z ludźmi Chiry, podziało na niego jak strumień zimnej wody. Miał teraz jeden cel. Wściekłość kumulowała się w nim, zmuszając do znalezienia czegoś, na czym mogłaby się wyładować.

–Dopadnę cię, Duckworth! – Z dużą szybkością przejechał przesmyk, zatrzymując się u stóp drewnianej wieży. Spojrzał do góry na jej pochylony szczyt, oparty o krawędź urwiska. Bez trudu mógłby wdrapać się tam po nadwerężonych, ale w większości całych jeszcze kratownicach. Motocykl niestety musiałby w tym wypadku pozostać jednak na dole. Rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby mu pomóc. Jakieś pordzewiałe żelastwo, które kiedyś być może było maszyną parową, nie nadawało się do użytku. Zresztą i tak konstrukcja windy praktycznie nie istniała.

Przez niską i bardzo wąską szczelinę wjechał do środka wieży unosząc głowę. Puste, okrągłe wnętrze przypominało mu coś, co pamiętał z dzieciństwa. Przed oczami przemknęło mu wspomnienie nienaturalnie wielkiej twarzy ojca z kolorowej reklamy przed cyrkiem.

–Cholera...

Była to najwyższa ściana śmierci, jaką widział w życiu. Wiedział z doświadczenia, że wysokość nie ma żadnego znaczenia. Pod okiem ojca ćwiczył przecież na różnych maszynach, choć nigdy tak ciężkich jak jego BMW... Ale, tym razem nie była to nawet kwestia wysokości ani związanego z nią strachu. Nie wahał się też podjęcia próby po tak długim czasie. Nurtowały go tylko dwie myśli: czy wytrzyma konstrukcja samej wieży i co ma zrobić, kiedy już będzie na górze. Zjazdu ze szczytu ściany śmierci nie próbował jeszcze

nikt.

Ramsay klął i przyciskał gaz raz po razie, aż błękitne spaliny zaczęły przesłaniać widok. Wtedy ruszył nagle robiąc pełne koło i zatrzymał się znowu. Czy zdoła przeskoczyć szczelinę, którą dostał się tutaj? Znowu spojrzął do góry i znowu klął, dusząc się już w gęstniejącym obłoku. Złość jednak była silniejsza niż strach i rozsądek.

Ramsay wybrał odpowiednie przełożenie i znowu dodał gazu puszczając sprzęgło. Maszyna runęła do przodu zataczając kolejny krąg, potem jeszcze jeden. Wreszcie zdecydował się nagle, przechylił motocykl i ostrym szarpnięciem wjechał na ścianę. Motor zakolebał się, ale ostre dodanie szybkości wyprostowało go pozwalając na manewr. Ramsay ostrożnym zwrotem przemknął nad wejściową szczeliną i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech. Krążył teraz kilka metrów nad ziemią, oswajając się z panowaniem nad utrzymującą ~o w poziomej pozycji siłą odśrodkową. Wyrównał przyspieszony oddech i lekko pchnął kierownicę ruszając do góry po spirali. Ryk silnika głuszył trzeszczenie desek pod kołami, ale charakterystyczne drgania amortyzatorów mówiły mu, że podłoże bynajmniej nie jest stabilne. Wznosił się wciąż wyżej i wyżej, za wszelką cenę powstrzymując się od patrzenia na dół. Serce stawało mu kilkakrotnie, kiedy sądził, że widzi przed sobą przegniłą deskę. Zmuszał się do patrzenia przed siebie, ale to z kolei uniemożliwiał mu ocenę wysokości. Czuł tylko, że belki drżą coraz mocniej, a wycie silnika poprzez wzmocnienie akustyką gigantycznej rury ogłusza go coraz bardziej. Ręce zaczęły mu drżeć od ciągłego napięcia mięśni i wydawało mu się, że zaraz przebije drewnianą ścianę. Co chwilę zerkał na zegary, żeby odruchowo nie zmniejszyć prędkości.

Kiedy zobaczył po prawej wirujące niebo, zagryzł wargi aż do krwi. Dopiero teraz poczuł prawdziwy nie strach już, ale paraliżujące przerażenie. Jeśli choć trochę zmniejszy szybkość, zwali się w kilkudziesięciometrową przepaść, jeśli jej nie zmniejszy, nie będzie w stanie zobaczyć, po której stronie jest szczyt urwiska, a po której pustka. Szczyt wieży wystawał trochę ponad grań, o którą się opierał. Ramsay krążył jakieś dwa metry poniżej, czując, że jeszcze chwila, a puszcza napięte do granic możliwości nerwy. Nie widział skał, a szalejące w obłądnym młynie niebo nie mogło mu pomóc w określeniu stron świata. Nie miał pojęcia, co robić. Zdecydował się na skok? A jeśli wypchnie go nad dolinę?... Czeka go wspaniały lot zakończony zmiążdżeniem w huku eksplodującej benzyny. A może zjechać w dół? Nie, wiedział, że nie wytrzyma dłużej na tej potwornej ścianie i jeszcze moment, a popełni jakiś śmiertelny błąd. Z najwyższym trudem wyrównał oddech zbliżając się niebezpiecznie do krawędzi. Jeśli podzielić obwód koła na cztery ćwiartki, tylko skok z jednej z nich mógł zakończyć się dobrze. A więc skacząc na ślepo, miał jedną szansę na cztery. Klął głośno czując, że drżenie rąk zaraz może przerodzić się w skurcz.

Zupełnie mokry od potu puścił gaz i skręcił kierownicą. Wystrzelivując ponad krawędź oddzielił się od maszyny kurczowo zaciskając oczy i napinając wszystkie mięśnie. Ułamki sekund zwolniły swój bieg rozciągając się na tysiąclecia.

Dokładnie w chwili, kiedy był już pewny, że szybuje w głęboką przepaść, jego ciało uderzyło w ziemię na szczycie ograniczającej dolinę ściany. Ostry ból i kilka koziółków, które wywinął, pozbawiło go orientacji. Ocknął się sunąc na plecach po jakimś piasku. Kiedy świat wokół znieruchomiał wreszcie, długo nie mógł opanować kaszlu spowodowanego wstrząśnięciem płuc. Miętkość nóg i drżenie wszystkich mięśni pozwoliły

mu podnieść się dopiero po kilku minutach. Ale nawet wtedy nie wstał od razu. Na czworakach oddalił się od urwiska i dopiero w pobliżu leżącej kilkanaście metrów dalej maszyny strach zmalął na tyle, że zdołał się opanować. Ubranie wisiało na nim w strzępach, ale nie czuł bólu. Według zapamiętanej skądś instrukcji badał swoje ciało, przymykając kolejno oczy i zginając każdy staw. Były pewne podstawy, by sądzić, że upadek nie zdruzgotał go doszczętnie.

Czując wracającą wściekłość, która powoli przeradzała się w amok, podniósł maszynę uruchamiając starter. Silnik nie chciał jednak zaskoczyć, mimo wielokrotnie ponawianych prób.

Puściło coś poważnego? – spojrzał na poobijaną blachę. A może jest tylko zalany? Łamiąc paznokcie odkręcił osłonę wlotu i wyjął filtr powietrza. Dał gazu do oporu i znowu przycisnął starter. Tym razem silnik zaskoczył, wyjąc na wysokich obrotach. Ramsay włożył na powrót filtr i jedną ręką założył osłonę, bojąc się zdjąć drugą z pokrętła akceleratora, bo zdawało mu się, że gaśnie. Wskoczył na siodelko, własnym ciężarem składając podpórki i ruszył ostro nasłuchując, czy nie ma jakichś zgrzytów. Maszyna jednak pracowała bez żadnych nierównomierności, przynajmniej do momentu, aż zaczęły się wyboje. Ramsay zwolnił trochę, rozglądając się jednocześnie, w której stronie leży miasto. Gęstniejący deszcz utrudniał obserwację, ale czuł, że wyznawcy Duckwortha nie mogli wywieźć go zbyt daleko. Wreszcie zobaczył je ze szczytu jakiegoś wzgórza. Szare i ponure na tle zbierających się chmur zdawało się martwe, ale wiedział, że tym razem nie da się zwieść. Zjechał w kierunku jakiejś bocznej drogi, która doprowadziła go do szosy. Tu dopiero rozpędził się, nie zwracając uwagi na mokrą nawierzchnię, spiesząc się, żeby ciemniejące niebo nie przerodziło się w noc.

Cel gubił się w otchłannych pieczarach jego skołatanego umysłu. Jego ciało dosiadało mknącej, ekstatycznej mocy. On sam jednak szybował gdzieś do odległych źródeł antyku... Ku rejonom, które ominęła hierarchiczna moralność, gdzie tajemna mapa świata trwała nie zasnutą jeszcze posępnym całunem nadmiaru informacji. Brak duchowej równowagi, jakiej pozbawiły go losy własnego pokolenia, nie pozwalał mu nigdzie znaleźć oparcia przed niszczycielskim charakterem pragnących nim zawładnąć sił. Wypełniające go konflikty, które wynikały z pojmowania świata według jakiegoś urojonego paradygmatu, według całkowicie zmyślonych wzorców, paraliżowały jakkolwiek możliwość przeciwstawienia się presji.

Dotarł do miasta, kiedy przestrzeń wokół zasnuła się nie mrokiem jeszcze, ale przyniesionym przez nadchodzący zmierzch granatem, który szarzał w rozpraszonym przez chmury świetle. Wszystko stawało się sine, tracąc nagle kolory i kontury, rozmazując się w wypełnionym deszczem pędzie w jednolite pasma, uciekające przed rozdygotaną maszyną. Ramsay zwolnił dopiero wówczas, kiedy dotarł do zabudowanych przedziwnymi hybrydami wiejskiej i przemysłowej architektury ulic.

Jechał dalej, lawirując między płotami z desek, na których zachowały się jeszcze resztki napisów i reklam z czasów, kiedy deski były elementami skrzyń kryjących w swym wnętrzu rozmaite produkty. Teraz zestawione przypadkowo tworzyły niesamowitą mozaikę fragmentów słów i zdań, przedziwny konglomerat Mondrianowskich znaków złożonych z poszatkowanych rysunków. Mijał rosnące w rozłupanym asfalcie drzewa rozbijające jedność geometrycznego wąwozu ulicy. Przejeżdżał przez porośniętą sztucznie wyhodowaną

roślinnością halle biurowców, w których liany nienaturalnej dżungli oplatały ciągle błyszczące jeszcze, niklowane powierzchnie automatów, gdzie pnącza i gałęzie krzewów wgrzyzały się w segmenty ścian, a gęsta trawa kryła całe jeszcze fragmenty wykładziny. Ubłocone koła jego motoru wzbijały fontanny wody z płynących wśród butwiejących dywanów strumieni. Teleskopowe amortyzatory jęczały, kiedy wjeżdżał po jakichś schodach, przeskakiwał prymitywne mostki i rozpięte w miejscach skruszonych uderzeniami kilofów elewatorów, opony piszczały, kiedy zawracał klucząc w plątaninie zaułków i kiedy przyśpieszał odnajdując drogę w strzelistych wnętrzach katedr ze skundlonych eschatologii. Prąc przed siebie rozbijał wzniesione w poprzek ulic ściany domów z dykty lub suchego gipsu, przebijał umocowane jak drzwi szyby, darł papierowe przegrody, foliowe okna, przewracał nieliczne sprzęty.

Postacie żyjące wśród pękającego teraz krajobrazu iluzji trwały ciągle wśród rujnowanych dekoracji, zdając się nie dostrzegać przyczyny. Wyznawcy Duckwortha prowadzili dalej swoje wyimaginowane życie, należące do jakiegoś odległego świata, któremu nic, co rzeczywiste, nie jest w stanie zagrozić. Ramsay przyglądał się oderwanym scenom, jakimś tańcom, pojedynczym gestom, dyskusjom czy nieruchomym, pograżonym w dymie kadzideł ludziom. Słyszał urywki rozmów, śpiewów i okrzyków przebijających się ponad ryk silnika. Wszystko to zdawało się tworzyć dziwne misterium, przedstawienie złożone z onirycznych scen, które wciągało go w swój rytm. Manewrując kierownicą kluczył po wąskich przejściach, drewnianych krużgankach, mijał pokryte roślinnością, wykute w betonowych ścianach wykusze i coraz częściej zdawało mu się, że dostrzega wśród przemykających wokół sylwetek znajome postacie. Czy człowiek, który podawał innym jakiś napój, to Cadish? Czy to możliwe, że twarz, jaka mignęła mu w jednym z ostrołukowych okien, należy do jego ojca? Te przyzywające gesty, ten wyraz dezaprobaty, te... Nie. Wiedział, że musi się otrząsnąć, jednak oczy zawodziły go coraz bardziej. Czy wznosząca się ponad dachami postać to jego była żona? A dziecko bawiące się u wylotu jakiegoś korytarza?... Czy ten chłopiec z piłką, stojący z dala od innych z naburmuszoną twarzą to... Przecież to nie mogę być ja!

W jakimś oknie zobaczył twarz Idris, widział, jak macha do niego ręką, chciał zwolnić, ale nie było to potrzebne. Dziewczyna stała teraz obok ogniska rozpalonego wokół staromodnej latarni, a jej usta poruszały się w rytm płomieni liżących żeliwny słup.

–... z potocznych sytuacji tworzyłam rytuał, mur, który miał mnie osłonić przed zmianami – mówiła. Stworzyć pomost do zburzonego świata... Szukałam pomocy u wszystkich, aż zdałam sobie sprawę, że oni ciągle tkwią w betonowych schronach...

Ramsay odwrócił głowę w ostatniej chwili, żeby uniknąć zderzenia ze zdemolowanym hydrantem, który tysiącami uderzeń jakichś narzędzi przekuto w ażurową rzeźbę gdzieś tylko zachowującą wygląd oryginału.

Miał wrażenie, że ktoś za nim siedzi, że czyjeś ręce obejmują go coraz silniej, utrudniając manewrowanie kierownicą. Spojrzał do tyłu na czarny płaszcz i nieskazitelnie białą koloratkę. To Sprenger?

–... to nie są wątpliwości – pastor szeptał mu wprost do ucha – to nieustająca walka pograżonego w rozpacz wojownika...

–Poszli za silniejszym. Ty ich tylko do tego przygotowałeś.

To jego własne słowa?

–Nie chciałem tego powiedzieć... – urwał na widok kogoś, kto stał w grupie osób, które w przeciwieństwie do wszystkich innych tu spotykanych ubrane były jak zwykli ludzie z miasta. Na dźwięk pracującego silnika zaczęli się odwracać i wtedy zobaczył, że mają pomalowane twarze. Głowy części z nich przykrywały maski w kształcie ptasich dziobów, pod którymi kryli się przed dżumą mieszkańcy średniowiecznych grodów. Ale ten człowiek...

–Tato, ja...

–Nie mogę ci pomóc – jaśniejący w zapadającym mroku dym z okolicznych ognisk sprawił, że sylwetki stojących nikły w drgającym oparze. – Nadchodzi matriarchat. Przewartościowanie...

–Nie rozumiem – Ramsay znowu doświadczył tak dobrze znanego mu uczucia. Tak, był przyzwyczajony do życia w magicznym świecie, w otoczeniu mitów, gdzie każdy posługiwał się własnym tajemnym szyfrem, gdzie trzeba rozszyfrować jego kod, jego symbole, jego specjalny język znaków, którym się posługuje. Niestety, nie był dobrym specjalistą od szyfrów.

Nie czuł już, jak krople deszczu chłodzą rozpaloną twarz. Na niebie, w miejscach gdzie chmury rozchodziły się tworząc monumentalne studnie, dostrzegł pierwsze gwiazdy. Jedna po drugiej znaczyły atramentową pustkę jaskrawymi punktami, które zataczały się, pędziły w różnych kierunkach, przykrywały jedna drugą... Zaraz, ruchome gwiazdy? I do tego kolorowe? Odróżniał wyraźnie czerwień, brąz, zieleń... Otarł czoło nie wiedząc, czy należy jeszcze do rzeczywistego świata.

Musiał podjąć decyzję. Musiał dokonać aktu moralnego, wyboru określonego systemu wartości. Czuł nienawiść do siebie za to, co tkwiło w nim w głębi i ciągnęło, wręcz pchało pod skrzydła eschatologicznych figur rozpadu Duckwortha. Wiedział, że oznaczałoby to rezygnację... Co tam rezygnację – zdradę rozumu i kultury w imię oszałamiającego zaspokojenia tej odwiecznej tęsknoty do podporządkowania wyobcowanego wahaniem i wrażliwością umysłu czemuś jasnemu, klarownemu i jednoznaczному. Czemuś, co dałoby mu oparcie. Byłoby to zaspokojenie potrzeby uczestnictwa we wspólnocie, wspólnocie choćby i ślepych, z której wyrzucił go rozsądek, byleby tylko przyjęto go na powrót. Pochłonięte rytuałami społeczeństwo nie mogło już spełniać roli stada dla takich jak on, więc czemu nie miałby poszukać innej owczarni? W imię czego? Kultury, która rozdzierała go na milion części, nie tylko nie dając oparcia, ale wręcz zacierając wszelkie ślady dawnych utartych dróg?

Wzruszył ramionami o mało nie wywracając maszyny. Niechęć ludzi wrażliwych do samych siebie była odwieczna i równie cykliczna, jak przyływy i odpływy morza. Być może, kultura nie potrafiła zamienić się w kierunkowskaz, ale była jedyną rzeczą, jaką miał. Jedyną bazą, jaka jeszcze trwała.

A jednak Ramsay potrzebował Duckwortha i zdawał sobie z tego sprawę od dawna. Ale dopiero teraz dotarła do niego pełna świadomość, jak bardzo tamten wrósł w podtrzymującą go opokę, na zasadzie pasożyta, wroga i niszczyciela, ale również tego, który, jednocześnie cementował jej fundamenty. Rozumiał dobrze, że jego mimo wszystko niezłe samopoczucie miało swe źródło w burzeniu pętających go norm, które tamten



umacniał swymi atakami. Ramsay czuł się dobrze walcząc, gdy cel tkwił daleko poza granicami horyzontu. Czuł, że kiedy zrzuci wreszcie wszystkie kajdany, nie potrafi w powstałej pustce niczego zbudować. Wiedząc tylko, czego nie chce, potrzebuje zakazów, potrzebuje kart, które dzieliłyby go od uświadomienia sobie braku konstruktywnego programu.

Musiał więc wybrać między miastem racjonalizmu, gdzie jednak wymuszona indywidualizacja jednostki była kolejną ofiarą na ołtarzu Boga Samotności, a wsią Duckwortha, gdzie silna wspólnota przyjmowała każdego, każąc mu jednocześnie porzucić wszystko, co racjonalne, co nie mieściło się w jego ramach. Musiał wybrać pomiędzy nienasyconymi w swym perwersyjnym kanibalizmie strukturami myślowymi państwa a totalnym i uspokajającym rozkładem Duckwortha – pomiędzy rzeczami, które wyrosły przeciw z tych samych korzeni wojującego chrześcijaństwa.

Potrząsnął głową usiłując zrzucić obezwładniający go ciężar. Gdzieś z boku stał cyrk z ogromnymi plakatami reklamującymi ścianę śmierci. Widział wyraźnie olbrzymie namioty i rzędy zaparkowanych wozów. Cholera, przecież... Przecież nie może tu być... Poczł nagle uderzenie wichru. Nie, nie zachwiał się. Wiatr, a raczej potężny strumień powietrza, spływał prosto z nieba. Kiedy podniósł głowę, dostrzegł blask nie gwiazd już, ale silnych reflektorów i obracające się z nieprawdopodobną prędkością łopaty śmigłowca. Wokół dostrzegł manewrujące w uliczkach motocykle. Większość nomadów krążyła bez celu, chcąc jakby zastąpić dezorientację przez szybkość. Część z nich jednak utworzyła małe oddziały korkujące ulice i skrzyżowania, by zrobić miejsce dla lądujących oddziałów. Ryk helikopterowych silników zagłuszył warkot motocykli. Śmigłowce schodziły tuż nad powierzchnię placu, by zrzucić swój desant i unosiły się w niebo, cudem tylko unikając zderzenia z resztą krążących nad placem maszyn... Placem? Ramsay zdał sobie sprawę, że to już nie są majaki. Dotarł na plac, gdzie nie tak dawno przyprowadzono go przed oblicze... Duckwortha! Wśród żołnierzy walczących z kotłującymi się grupami sekciarzy dostrzegł jedną spokojną postać. Łysy, brodaty człowiek stał nieruchomo, kiedy Incy Sprenger zakładał mu kajdanki. Sprenger tutaj? Nieważne. To bez znaczenia, kim był naprawdę...

Ramsay uniósł się w siodełku wyciągając do przodu rękę. Fryzjer! To nic, że tamten nie ma włosów, wystarczy broda... Dodał gazu wychodząc na prostą, czując, że wreszcie będzie mógł wziąć odwet, zemstę za wszystko. Niewielki dystans kurczył się jednak powoli, jakby czas zaczął płynąć w zwolnionym tempie. A może to tylko Ramsay myślał zbyt szybko...

Znowu ogarnęło go uczucie zagubienia i znowu nie wiedział, co może przeciwstawić Duckworthowi. Czy totalitarny despotyzm tamtego to tylko nieudolna próba stworzenia raj? Czy archetyp, do jakiego się odwołał, nie leży przypadkiem poza granicą nie Edenu bynajmniej, ale prawdy? Czy zainstytucjonalizowane w jego enigmatycznych konstrukcjach spersonifikowane zło ma być odpowiedzią za zło rozproszone?... Co on mówił podczas spotkania na placu? "Tu nie ma żadnego Boga"... Ale co można przeciwstawić rozpadowi? Myśli kołowały mu w głowie jak zmęczone ptaki, usiłując wyrwać się gdzieś i uciec, by wreszcie znaleźć miejsce spoczynku.

A jeśli Duckworth zwycięży? Dostrzegł nagle eskadry okrętów, którymi Ameryka

rewanżowała się Europie nową konkwistą. Widział, jak zanika europesymizm, jak padają bastiony nacjonalizmów, jak nowa wojna przekształca pożółkłe karty starych atlasów w strzępy rozwiewanego wiatrem papieru. Zobaczył też wyrzutnie rakiet wysyłające ludzi w kosmiczną pustkę, by nieśli dalej ciemne światło. Nowy fanatyzm ogarnął go, ale zaraz szczył w wizji plaży, jaka pojawiła się przed nim. Czuł, że Duckworth chciał czegoś od niego, że wybrał go do spełnienia misji, ale... "Ale będzie tu szatan" – powiedział. Ramsay zrozumiał, że to on właśnie ma być tym szatanem. Że on mógłby zmienić historię, utrwalając to, co stworzył Duckworth. Chęć zaznaczenia tak trwałego śladu w otaczającej go pustce była bardzo silna. Wiedział, że szansa wzięcia udziału w czymś, co zmieni historię, więcej się nie powtórzy. Że jeśli nie zrobi teraz tego, na co liczył Duckworth, na zawsze już pozostanie nic nie znaczącym, bezimiennym pionkiem, numerem zapomnianym gdzieś wśród zetlałych kart książki telefonicznej swojego miasta. Dalej miał ochotę chwycić tamtego za długą brodę i szarpnąć ją łamiąc kark. Duckworth dostrzegł pędzącego ku niemu Ramsaya i odgadł jego zamiar. Spokojną twarz zmącił lekki, aprobujący uśmiech. A więc tamten chciał tego. Nie mógł znieść myśli o pozostaniu małym człowieczkiem na sali sądowej. Chciał zostać martwym symbolem – śmiertelnym natchnieniem nowego fanatyzmu.

Ramsay czuł jednak, że coś nie jest w porządku. Znowu zobaczył plażę, na której często widział, jak małym chłopcom nad brzegiem morza zazdrośni koledzy burzyli piaskowe zamki. Jeśli taki właśnie skrzywdzony budowniczy zanosił się rykiem i odchodził obrażony na cały świat, zwracała na niego uwagę połowa ludzi na plaży. On jednak wolał tych, którzy zagryzając wargi, z oczami pełnymi łez sypali od nowa piasek, wiaderko po wiaderku, aż wyrosły nowe baszty, mury i dziedzińce. Nikt na nich nie patrzył, nikt ich nie znał ani nie zapamiętał, ale idąc wieczorem przy linii fal mijano się właśnie ich budowle.

Ramsay czuł, że jeśli opuści uniesioną do ciosu rękę, to będzie przypominał chłopca, który biegnie z płaczem do rodziców, żeby wykrzyczeć wyłącznie swoją prywatną obrazę i niechęć do świata...

Stojący z boku Sprenger również zauważył pędzącą postać i uniósł swoją broń, ale Ramsay już zwalniał. Samym rozpędem, bez gazu minął klnącego teraz Duckwortha i siłą bezwładu sunął dalej, wciąż wolniej i wolniej, aż rozchwiana nagle maszyna wypadła mu spomiędzy nóg, waląc się na ziemię razem z właścicielem. Kiedy silnik zakrzuszył się zdławiony i zamilkł, Ramsay podniósł się ciężko i ruszył dalej wśród biegnących we wszystkich kierunkach żołnierzy, zdeorientowanych nomadów i prowadzonych do ciężarówek sekciarzy, potrącany i popychany, ale w gruncie rzeczy nie zauważany przez nikogo w powiększającym się z każdą chwilą chaosie. Zastanawiał się, czy można nienawidzić i być wolnym jednocześnie. Czy można kochać i być wolnym? Czy można kochać i nienawidzić, i być wolnym?...

Zastanawiał się, czy może jeszcze powrócić do normalnego życia, kiedy obok wraku dymiącego jeszcze, wypalonego samochodu zauważył skuloną na ziemi postać. Idris? Dziewczyna podnosiła się właśnie skrzywiona i jakby niepewna czy drżące nogi uniosą nawet jej niewielki ciężar. Potem starannie otrzepała spodnie. Ten prosty ruch, przez jakieś przedziwne skojarzenie, wydobyl z zakamarków pamięci Ramsaya wspomnienie starych legend. Powrócił skądś mit o Feniksie, mit o wiecznym odradzaniu się, o ciągłym budzeniu i

powstawaniu na nowo... Zrozumiał, że musiał utracić wszystko, musiał zrujnować swoją osobowość, żeby zrobić miejsce na wybudowanie nowej. Zawładnęło nim perfidne zadowolenie, trochę sadystyczna radość dziecka, które wyrzuciło wreszcie oklejaną wielokrotnie plastrami zabawkę, postanawiając zbierać pieniądze na kupno nowej.

Rozglądająca się podejrzliwie wokół Idris zauważyła go wreszcie. Zaczęła machać ręką, podskakując jak mogła najwyżej, żeby być widoczną zza pleców przebiegających między nimi żołnierzy.

–Hej, Warren! Przeżyłeś?

Zrobił gest w stylu: *no popatrz, a jednak*, który sprawił, że Idris skrzywiła się znowu, tym razem zabawnie. – Cholera, nie to chciałam powiedzieć... – energicznie zaczęła przedzierać się w jego kierunku.

Ramsay również ruszył z miejsca. Jego włożona do kieszeni dłoń napotkała znajomy kształt wymiętoszonego notesu, w którym zapisywał swe przejęcia. Utrwalone tam zdarzenia, potworna presja, jakiej podlegał, nie miały już żadnego znaczenia. To już koniec dziennika czasu plagi. Wyjął plik zmiętych, zawilgoconych kartek i odrzucił niedbale w pył rozległego placu. Nie towarzyszyło temu żadne uczucie, dziennik stał się niemy.

Czuł, że skończył się dla niego czas wahań, a zaczął czas poszukiwań. I miał nadzieję, że tak już zostanie.

Wrocław, 1990

This file was created with BookDesigner program  
bookdesigner@the-ebook.org  
2010-10-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)